

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 6/345

1976



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

E. LIPIŃSKI : **LIST OTWARTY DO TOW. E. GIERKA**

ZB. BYRSKI : **IMPERIALIZM SOWIECKI A PRZEMIANY
W RUCHU KOMUNISTYCZNYM**

M. HELLER : **III-CI TOM "ARCHIPELAGU GUŁAG" —
ZARYSY PRZYSZŁOŚCI**

SPIS RZECZY

Edward Lipiński:	<i>List Otwarty do tow. E. Gierka</i>	3
Michał Heller:	<i>III-ci tom „Archipelagu Gulag” — zarysy przyszłości</i>	15
Anatol Estryn:	<i>Hajże na Soplicę</i>	26
WIERSZE		
Andrzej Koraszewski:	*	39
Filip Istner:	* *	40
Bożena Wyszomirska:	* *	41
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Zbigniew Byrski:	<i>Imperializm sowiecki a przemiany w ruchu komunistycznym</i>	43
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	56
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	67
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	77
—	<i>Rusyfikacja Polaków w ZSSR</i>	83
Witold Wirpsza:	<i>Dezinformacja</i>	84
Wiktor Sukiennicki:	<i>Russkaja Vilnius w latach 70-tych</i>	85
E. Żagiell:	<i>Białoruś</i>	90
E. Żagiell:	<i>Kronika litewska</i>	91
Władysław Żeleński:	<i>Kronika ukraińska (Milena Rudnicka o mordzie profesorów lwowskich)</i>	92
Andrzej J. Chilecki:	<i>Nowy model stosunków PRL-NRF</i>	95
K R A J		
—	<i>Wyjaśnienia Episkopatu</i>	97
—	<i>Rozłam wśród katolików świeckich</i>	99
—	<i>List podróżników</i>	102
SPRAWY I TROSKI		
Benedykt Heydenkorn:	<i>Struktura organizacyjna Polonii Kana- dyjskiej</i>	105
Jerzy Dobrostański:	<i>Lekarze „dipiśi” w Australii</i>	108
KRONIKA KULTURALNA		
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>„Pamiętnik Literacki”</i>	111
Włodzimierz Odojewski:	<i>Malarstwo Hilarego Krzysztofiaka</i>	116
Michał Borwicz:	<i>Losy francuskiego przekładu książki Boya</i>	119
KSIĄŻKI		
Henryk Grynberg:	<i>Samokrytyka</i>	124
M. Broński:	<i>Nauka o Polsce Współczesnej</i>	131
Bogdan Mieczkowski:	<i>Karuzela reform gospodarczych w kra- jach komunistycznych</i>	135
Józef Garliński:	<i>„Muza i kamień”</i>	138
Florian Śmieja:	<i>Klasycy po hiszpańsku</i>	139
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>M a n i p u l a c j a</i>	141
—	<i>Nadstawane nowości wydawnicze</i>	143
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	144
◆		
A. Estryn, St. Kossowska, E. Kruszewski, A. Nasielski, J. Poniatowski i odpowiedź P. Emigranta, W. Sukien- nicki, Zarząd Gł. Samopo- mocy Marynarki Wojennej, St. Wysocki:	<i>Listy do Redakcji</i>	152

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Czerwiec - Juin

1976

F. 470,00	„Listy do Redakcji” (Estryn)
F. 112,00	Koła i Stół (Koraszewski, USA)
F. 102,00	„Hajże na Soplicę” (Estryn)
F. 150,00	„Kronika litewska” (Żagiell)
F. 400,00	„Kronika ukraińska” (Żeleński)
F. 100,00	„Listy do Redakcji” (Wysocki)
F. 100,00	„Listy do Redakcji” (Wysocki)
F. 90,00	„Listy do Redakcji” (Wysocki)

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Andrzej, Erika i Jaś Chileccy, Kolonia (NRF) — zamiast kwiatów na grób śp. Tadeusza Norwid-Nowackiego	F. 92,00
Romuald Czyzewski, Chicago, Ill. (USA), po raz drugi	F. 46,00
Dr Jan Dobrucki, Mississauga, Ont. (Kanada), po raz dwunasty	F. 92,00
Jerzy Juralewicz, Scarborough, Ont. (Kanada)	F. 470,00
Zofia i Stefan Koper, Arlington, Va. (USA)	F. 115,00
Prof. Jerzy St. Langrod, Paryż, po raz dwudziesty piąty	F. 100,00
Maria Leśniakowa, Londyn, dla uczczenia pamięci Męża śp. płk. dypl. Jana Leśniaka	F. 150,00
Irena Orska-Przeworska, Nowy Jork (USA), dla uczczenia pamięci Męża Tadeusza Orskiego-Przeworskiego	F. 460,00
Inż. L. W. Skonieczny, Toronto, Ont. (Kanada), po raz ósmy	F. 100,00
Stefan Taraszkiewicz, Eden, N.Y. (USA), po raz trzeci	F. 16,50
Bezimiennie, Panorama (Australia), po raz szósty	F. 100,00
Bezimiennie, Paryż	F. 20,00

DZIĘKUJEMY!

CHCESZ OTRZYMYWAĆ WCZEŚNIEJ « KULTURĘ » — PRENUMERUJ LOTNICZO!

Dopłata wynosi rocznie:

- w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Ameryce Południowej oraz w Afryce Środkowej i Południowej: \$ 9,50;
- w Australii i na Dalekim Wschodzie: \$ A. 10,00.

List Otwarty do tow. E. Gierka

Prof. dr h.c. Edward Lipiński
Warszawa, ul. Rakowiecka 22 c, m. 26

Warszawa, kwiecień 1976.

LIST OTWARTY DO TOWARZYSZA EDWARDA GIERKA

Wielce Szanowny Towarzyszu Pierwszy Sekretarzu,

Pozwalam sobie jeszcze raz niepokoić Pana moim listem, chociaż w ostatnich czasach było ich na pewno zbyt wiele. Raz było to w sprawie uwolnienia więźniów politycznych długo odsiadujących karę na podstawie niesprawiedliwego wyroku, innym razem o przyznanie prawa do amnestii młodym ludziom, którym odmawiano tego na mocy bezprawnego orzeczenia sądu, to znów chodziło o same zasady wymiaru sprawiedliwości i smutny obraz więziennictwa w kraju, albo o sprawę bezdusznego niszczenia przez biurokrację zasłużonego Towarzystwa Ochrony Zwierząt. Inny list dotyczył aresztowania bardzo młodych ludzi za rzekome przestępstwa polityczne. Razem z innymi przedstawicielami inteligencji polskiej domagałem się właściwego traktowania mniejszości polskiej w ZSSR.

W różnym czasie i wielokrotnie upominałem się o zatrudnienie zgodnie z kwalifikacjami wielu pracowników nauki, pozbawionych pracy w wyniku nagonki i decyzji administracyjnych w marcu 1968 roku.

Z przykrością muszę stwierdzić, że moje wystąpienia w tych

konkretnych sprawach były nie tylko coraz mniej skuteczne, ale również wywoływały coraz bardziej nieprzychylnie reakcje władz. Przecież tak niedawno jeszcze zostałem Zasłużonym Nauczycielem PRL, a wcześniej otrzymałem za swoją pracę naukową i nauczycielską: Sztandar Pracy I Klasy, Komandorię Orderu Odrodzenia Polski z Gwiazdą oraz Nagrodę Państwową I Stopnia. Obecnie, za moje wystąpienia stałem się przedmiotem różnych szykan. Prowadzi mnie to do wniosku, że jako socjalista i pracownik nauki mogę działać społecznie użytecznie tylko w jeden sposób — podejmując krytykę podłoża, na którym te i podobne zjawiska wyrastają.

W liście do delegatów na VII Zjazd, przesłanym 6 grudnia ub. roku na Pana ręce, domagałem się wraz z innymi sygnatariuszami, zapowiadanych po tragicznych wydarzeniach grudniowych na Wybrzeżu, lecz nie wprowadzonych w życie, zasadniczych reform w funkcjonowaniu władzy państwowej i partii, usuwających wady, które do tych wydarzeń doprowadziły. Następnie usiłowałem wziąć udział w ogłoszonej oficjalnie publicznej debacie nad zmianami w Ustawie Zasadniczej. Mam podstawy przypuszczać, że sprzeciw wobec niektórych propozycji zmian zgłoszonych przez kierownictwo państwowe, wyraziło w listach zbiorowych i indywidualnych — bardzo wielu obywateli. Wiadomo mi też, że większość listów popierających te propozycje była pisana przez pracowników instytucji państwowych na służbowe polecenie i według centralnie sporządzonego rozdzielnika. Publiczny charakter debaty konstytucyjnej polegał na tym, że w tzw. środkach masowego przekazu publikowano wyłącznie te własne głosy aprobaty. Zgodnie z tak preparowaną jednomyślną wolą narodu, Sejm niemal jednomyślnie uchwalił poprawki do Konstytucji z niewielkimi tylko ustępstwami w sformułowaniach na rzecz opinii publicznej. Wokół protestów i głosów krytycznych panowało głucho milczenie. Dlatego z zadowoleniem można by przyjąć wiadomość, że na niedawnym zebraniu dziennikarzy poświęcił Pan i tym głosom opinii publicznej kilka zdań. Omawiał Pan tam — zapewne *pars pro toto* — „list 59: [...] list nadesłany przez prof. Lipińskiego”. Ale niestety. To, co zostało na ten temat powiedziane, nie pozostaje w żadnym stosunku do treści listu, sposób zaś krytyki przypomina najgorsze czasy załatwiania krytyki epitetami i zaklęciami.

List nasz domagał się poszanowania i zagwarantowania podstawowych wolności i praw obywatelskich: wolności sumienia i praktyk religijnych, wolności pracy, wolności słowa i informacji oraz wolności nauki. Wysuwał więc problemy, w rozwiązaniu których jednakowo są zainteresowani wszyscy przedstawiciele

demokratycznej opinii publicznej, zarówno orientacji socjalistycznej, jak i chrześcijańskiej.

List nasz ocenił Pan jako kwestionujący „sformułowania dotyczące roli partii w życiu kraju oraz zasady naszej polityki zagranicznej” i następnie skomentował Pan: „[...] Co to jest, Towarzysze? Jest to nędzna próba ożywienia skompromitowanej przez historię koncepcji obozu polskiej burżuazji. Koncepcji, która doprowadziła do klęski wrześnieowej i tragicznej w skutkach niewoli. Próba odniesienia dawno przebrzmiałych poglądów do nowej epoki. Ludzie, którzy ją podjęli, niczego nie zrozumieli i niczego się w ciągu tych 30 lat nie nauczyli. Nie przemawia do nich oczywisty fakt, że w oparciu o jedynie słuszną zasadę sojuszu z krajem radzieckim naród nasz już 31 lat żyje w pokoju, że po raz pierwszy w swych dziejach sąsiaduje z zaprzyjaźnionymi państwami. Że ma powszechnie uznane granice oraz niezawodne gwarancje niepodległego bytu i bezpieczeństwa, i że wreszcie współpraca z bratnimi krajami socjalistycznymi stanowi potężną dźwignię rozwoju naszej gospodarki. To antykomunistyczne zaciętrzewienie, ta polityczna ślepotą uniemożliwia im zrozumienie podstawowych narodowych racji”.

Mocne to słowa. Usiłuję zrozumieć, jakimi racjami politycznymi zostały podyktowane? W liście 59 nie pisaliśmy w ogóle o polityce zagranicznej i sojuszach. Jeżeli mimo to, został on z tego punktu widzenia zaatakowany, to — przypuszczam — kryło się za tym następujące rozumowanie. Sojusz ze Związkiem Radzieckim, współpraca z krajami socjalistycznymi zapewniły nam pokój, bezpieczne granice, są dźwignią rozwoju naszej gospodarki. Dlatego sojusz ten i ta współpraca są sprawą nadrzędną dla naszego bytu narodowego i bezpieczeństwa. W imię nadrzędnej sprawy musimy postępować tak, jak sąsiedzi i sojusznicy. Nasza wewnętrzna polityka, nasze życie społeczne i polityczne, zakres swobód obywatelskich, nasze życie kulturalne muszą być w przybliżeniu takie, aby nie utrudniały nam współpracy z sąsiadami, głównie ze Związkiem Radzieckim.

Szanowny Towarzyszu Sekretarzu, zajmuje Pan w naszym systemie władzy zbyt eksponowane stanowisko, aby wolno było przechodzić do porządku nad takimi ocenami politycznymi. Ponieważ, niestety, zupełnie inaczej niż Pan widzę nauki płynące z historii naszego trzydziestolecia dla Polaków i ludzi zaangażowanych po stronie socjalizmu, czuję się zobowiązany do publicznej wypowiedzi w sprawach przez Pana poruszonych. Jako człowiek od 70 lat związany z ruchem socjalistycznym czuję się współodpowiedzialnym za to, jaką praktykę polityczną firmuje się w swoim kraju socjalizmem.

Miara sukcesów minionych 30 lat naszej państwowości ma

być proklamowane na ostatnim Zjeździe PZPR i wpisane do Konstytucji hasło, że żyjemy w społeczeństwie socjalistycznym. Jednakże z najpiękniejszych nawet słów nie rodzą się nowe socjalistyczne stosunki międzyludzkie, ani nowy, bardziej twórczy charakter pracy ludzkiej, ani równość ludzi, ani partnerskie stosunki między przełożonymi i podwładnymi, obywatelami i władzą. Nie ma dotychczas teorii, która poddawałaby analizie naukowej drogi, które prowadzą do społeczeństwa socjalistycznego po upaństwowieniu środków produkcji. Śledzę od dawna rozwój myśli socjalistycznej na Zachodzie (bo w Związku Radzieckim i u nas mamy do czynienia z całkowitym skostnieniem tej myśli), w szczególności we Włoszech, obserwuję ostatnie wypadki we Francji i Portugalii, badam pilnie rozwój praktyki politycznej w ZSSR i dochodzę do przekonania, że droga radziecka wyrosła na podłożu tradycji despotyzmu państwowości rosyjskiej i hamująca również obecny rozwój Związku Radzieckiego, nie jest drogą, którą powinna iść praktyka socjalistyczna w Polsce.

Polska od początku rozwijałaby się inaczej, gdyby nie nacisk ZSSR. Nie byłoby przymusowej kolektywizacji, byłby wykonany Plan Sześcioletni w jego początkowej formie. A później, gdyby partia nasza poszła konsekwentnie drogą Października, Polska byłaby dzisiaj krajem nieporównanie bardziej rozwiniętym ekonomicznie, społecznie, moralnie. Niestety, nie poszliśmy tą drogą. Nadal kurczowo trzymaliśmy się radzieckiego systemu politycznego w imię umocnienia władzy i chyba — przede wszystkim — pod naciskiem Związku Radzieckiego. Toteż w Polsce nie ma dziś sprawy ważniejszej, niż zdobycie suwerenności politycznej. Dopiero samodzielność polityczna pozwoli przeprowadzić konsekwentną reformę gospodarczą, taką przebudowę systemu politycznego i społecznego, która wyzwoli w narodzie potencjalne siły twórcze, usuwając niezliczone przeszkody i hamulce, dzisiaj rozwój społeczny powstrzymujące. Umożliwi to zasadniczą reformę systemu szkolnictwa, poprawi warunki badań naukowych, otworzy drogę pełnej informacji o sprawach wewnętrznych i międzynarodowych, uzdrowi wewnętrzne stosunki polityczne, zakończy chaos wynikający z podwójnej administracji — partyjnej i państwowej.

Nikt nie wątpi, że sojusz ze Związkiem Radzieckim stał się koniecznością polityczną. Mamy uznanie dla wielkiego narodu radzieckiego, dla bratnich narodów — ukraińskiego, białoruskiego. Chcemy dobrosąsiedzkich stosunków, chcemy budować podstawy wzajemnego zaufania. Ale jest to niemożliwe przed radykalnym oczyszczeniem polskiej polityki wobec Związku Radzieckiego z elementów służalczości. Nie jest także możliwe przed odważnym i otwartym przyznaniem się przez Związek

Radziecki do „błędów” popełnionych wobec Polski. Nie dla jątrzenia powracam do tej bolesnej sprawy. Narzucanie nam w obecnych warunkach miłości do państwa radzieckiego, wprowadzenie tego do Ustawy Zasadniczej, opiera się na całkowitym niezrozumieniu psychologii ludzkiej. Każdy Polak pamięta aż nadto dobrze „diabelski” pakt Ribbentrop-Mołotow, napaść na nasz kraj, masowe wywożenie do łagrów w 1944 i 1945 roku żołnierzy podziemia antyhitlerowskiego i, czynnej w walce z Niemcami, inteligencji polskiej, nieudzielenie pomocy powstaniu w Warszawie... Powtarzam jeszcze raz: to wszystko mogłoby pójść w zapomnienie, gdyby rząd Związku Radzieckiego otwarcie zbrodnie te potępił. Chruszczow uczynił krok w tym kierunku. Uznano nierówność wymiany handlowej (węgiel), potępiono rozwiązanie w 1938 roku partii komunistycznej i rehabilitowano część jej zamordowanych przywódców. Na krótko zaakceptowano „polską drogę do socjalizmu”. Ale na tym się skończyło. I nawet paktu z Niemcami broni się nadal wykrętnie.

Polska posiada bogate tradycje parlamentaryzmu, swobód obywatelskich i tolerancji. Obce są nam tradycje państwa policyjnego czy totalnego. Narzucenie systemu radzieckiego dokonało wiele spustoszeń w naszym życiu społecznym i moralnym. Było to wielkie nieszczęście w historii narodu. Jesteśmy zmuszeni do bezwarunkowego popierania zagranicznej polityki radzieckiej, przestaliśmy być samodzielnym czynnikiem polityki światowej. Jest to często sprzeczne z narodowymi interesami Polski. Wzięliśmy aktywny udział w wojskowej inwazji na Czechosłowację, przyczyniliśmy się do zduszenia procesu odnowy w tym kraju, gdy wyzwalał się właśnie z narzuconego mu radzieckiego systemu polityki ekonomicznej i kulturalnej, systemu, który cofnął ten kraj w jego rozwoju. Narody czeski i słowacki długo nam tego nie zapomną. Pogwałciliśmy ich suwerenność i tym samym utrwaliłiśmy własną zależność. W Organizacji Narodów Zjednoczonych głosujemy zawsze za Związkiem Radzieckim, popierając nawet najbardziej wsteczne wnioski (na przykład ostatnio uznanie syjonizmu za rasizm).

Na całym świecie, również wśród komunistów, wzrasta negatywny stosunek do polityki Związku Radzieckiego, wzmaga się zrozumienie demokracji politycznej w odwiecznym tego słowa znaczeniu, porzuca się hasła dyktatury proletariatu oraz dyktatury jednej partii. Płynie to nie tylko, choć i tak niekiedy bywa, z taktyki politycznej, ale też z poznania istoty procesu społecznego, procesu powstawania społeczeństwa socjalistycznego oraz z rosnącego zrozumienia ujemnych cech systemu radzieckiego.

Światowy ruch komunistyczny wszedł w nowy okres swego

rozwoju. Jest to również wyraz reakcji na ponad pół wieku trwające doświadczenie Związku Radzieckiego, na stalinizm, na zbrojną interwencję na Węgrzech i Czechosłowacji, na tajny referat Chruszczowa, na proces demaskacji związany z pismami Sołżenicyna, na odważną działalność wielkiego uczonego Sacharowa.

W krajach łańskich ruch komunistyczny stanowi wielką siłę polityczną i niedaleka jest chwila, kiedy komuniści włoscy i francuscy będą czynnie uczestniczyli w zarządzaniu tymi krajami. Ale jednocześnie komunizm włoski, francuski, hiszpański i w innych krajach uległ głębokim przeobrażeniom. Ruch ten głosi pluralizm polityczny zamiast systemu monopartyjnego, głosi potrzebę utrzymania wszelkich swobód demokratycznych, o które ludzkość walczyła wiekami, wolnych wyborów, pełnej swobody słowa, decydującej roli większości społecznej. Partie te wyrzekają się funkcji agentury imperialnych interesów Związku Radzieckiego, chcą prowadzić własną politykę, politykę narodową. Zmiany te i przeobrażenia ideologiczne mają wielkie znaczenie historyczne. Stanowią ważny krok na drodze do autentycznego socjalizmu.

Droga ta jest długa, trudna i mozolna. Socjalizm bowiem nie rodzi się z ideologii, czyli wiary, ale może być tylko efektem głębokich zmian w organizacji produkcji (zastąpienie taśmy przez system drobnych warsztatów w fabryce Volvo w Kalmarze większe ma znaczenie dla budowy socjalizmu niż upaństwowienie tej fabryki), przekształcenia hierarchicznych struktur społecznych i politycznych w struktury partnerstwa i dialogu, realizacji rzeczywistego, nie tylko w słowach współdecydowania społeczeństwa o swoich sprawach, powszechnego dobrobytu, a także wzrostu pierwiastka twórczego w pracy i piękna w życiu codziennym.

Socjalizm jest systemem ekonomicznym, w którym produkcja służy zaspokojeniu potrzeb, a przedsiębiorstwa oceniane są z punktu widzenia tego właśnie zadania. Potrzeby są takie, jakie może zaspokoić produkcja, oraz jaki jest stan kultury i wykształcenia mas ludzkich. Konsumpcja jest produkcją jakości życia, a konsumpcja jest taka, jak jest produkcja. Potrzeby można kształtować, kształcić, kierować nimi. Kapitalizm manipuluje potrzebami drogą reklamy oraz oferując określone dobra, na przykład przystępne dla wszystkich samochody. Samochód wówczas determinuje główny trzon produkcji kraju, styl konsumpcji masowej, a nawet wygląd miast i krajobrazu.

Kształtować konsumpcję można drogą kształcenia mas, zbliżania ich do dóbr kultury, rozszerzenia dostępu do wymiaru piękna, wywierania wpływu na otoczenie ludzkie w mieszkaniu, domu, osiedlu, pejzażu, fabryce, biurze. Zmieniając zarazem techniki produkcji, możemy stwarzać nowe kształty pracy,

wzmacniać ludzką kreatywność humanizując sam proces produkcji. To wszystko mogłoby oznaczać planowanie konsumpcji i planowanie nowej, wyższej jakości życia, a raczej możliwości naszej jakości życia, ostatecznie bowiem tylko sam człowiek jest zdolny nadać swemu życiu wartość. Sam dobrobyt ekonomiczny nie napełnia życia treścią, jak to wyraźnie widać w krajach wielkiego dobrobytu. Socjalizm to próba tworzenia obiektywnych warunków, które mogą ułatwić człowiekowi znalezienie tych wartości.

W ciągu ostatniego trzydziestolecia dużo się nauczyłem. Dziś wiem lepiej niż dawniej, że nie jest socjalizmem pełne zbiurokratyzowanie gospodarki oraz administracji kraju ani narzucanie tzw. materialistycznego poglądu na świat, ani przymusowy ateizm. Podstawą socjalizmu jest wolność, decentralizacja, współodpowiedzialność obywateli w decydowaniu o sprawach ekonomicznych, politycznych, społecznych. Dlatego należy domagać się zastąpienia demokracją systemu radzieckiego, zagrażającego procesowi rozwoju sił narodu. Jest prawdą, że świat stoi zarazem w obliczu kryzysu demokracji tradycyjnej, parlamentarnej. Jest również prawdą, że doświadczenia z demokracją w międzywojennym okresie historii Polski nie były najlepsze. Były nawet bardzo złe. Nie znaczy to, że dlatego można się zgodzić z opinią, że przedwojenna polityka Polski doprowadziła do „klęski wrześnieowej i późniejszej niewoli”. Jest to teza zbyt uproszczona, aby się można było z nią zgodzić. Przecież nawet rządy komunistyczne w ówczesnej Polsce nie odwróciłyby ataku Hitlera. Gdyby wojna wybuchła, każda Polska musiałaby przegrać tę wojnę. Byłaby w niewoli równie długo, jak była w niej w rzeczywistości.

Ale czy system monopartyjny jest systemem lepszym? Pamiętamy okres Bieruta, popełniano wówczas błędy, a nawet zbrodnie. Dziesiątki tysięcy ludzi siedziało latami w więzieniach, poddawano ich wymyślnym torturom. Pamiętamy obłądną akcję kolektywizacji wsi i zniszczenie rolnictwa, bezmyślne wyniszczenie rzemiosła. Krwawe rozruchy w Poznaniu przerwały dalszy byt tego systemu. Erę Gomułki zakończył wstrząs na Wybrzeżu i haniebne zduszenie wystąpień robotników. Nie jest skutecznym system polityczny pozbawiony mechanizmu stałej adaptacji, system sztwywny, niszczący wystąpienia krytyczne, pozbawiony kontroli społecznej, nie respektujący podstawowych wolności obywatelskich, wolności słowa. System w którym każda wymiana ekipy rządzącej poprzedzona jest przelewem krwi.

Rządy narzucone przez mniejszość prowadzą zawsze do totalizmu, są niezdolne do skupienia wokół siebie najlepszych umysłów narodu, zaś w interesie umocnienia swej władzy skłonne są niszczyć wszystko to, co stanowi bogactwo myśli społeczeństwa,

wyobraźni ludzkiej, a co rzekomo zagraża interesom „socjalizmu”, czyli władzy. Dlatego jestem po stronie komunisty Berlinguera, komunisty Marchais, komunistów hiszpańskich, a nie po stronie komunisty Breżniewa.

Dlatego niezbędna jest w kraju opozycja. Legalna, równo-uprawniona, zgodna z zagwarantowaną w Konstytucji zasadą swobody zrzeszeń i zgromadzeń. Pluralizm polityczny wyraża się także w niezbędnej swobodzie ruchu zawodowego, ruchu konsumentów, wolnej prasie. Gdyby nadal istniała Polska Partia Socjalistyczna, byłibyśmy teraz w innej sytuacji. Pluralizm ten nie musi wcale oznaczać tolerancji dla sił, które w interesie mniejszości pragnęłyby nie dopuścić do odnowy gospodarczej, politycznej, społecznej. Nie może być też tolerancji dla faszyzmu. Ale nawet po usunięciu burżuazji naród nie staje się jednolity światopoglądowo, społecznie, klasowo, ekonomicznie, ideowo. Rozwój odbywa się zawsze wśród sprzeczności, jeśli wolno użyć tej nadużywanej formuły. Sprzeczności muszą mieć możliwość swobodnego wyrażania się i przejawiania, zaś system demokracji parlamentarnej jest jedynym, w którym jest to możliwe. Mimo więc swych niewątpliwych wad stanowi on jedyny dotąd praktycznie wypróbowany system sprawowania władzy w sposób niesprzeczny z wolą większości. Wolności obywatelskie są warunkiem niezbędnym zdrowia społecznego, a więc warunkiem budowy socjalizmu.

Iluż to bojowników o postęp społeczny i socjalistycznych myślicieli podkreślało, że socjalizm nie może się narodzić ani rozwijać w państwie policyjnym, które niszczy wolną myśl lub po prostu odmienną od oficjalnie uznanej.

Ważnym problemem społecznym stał się nonsens cenzury, która prześcignęła nawet cenzurę carską. M.in. w kaleczeniu prac historyków, choćby zatracających o politykę dawnej Rosji. Niektórzy historycy dobrowolnie biorą na siebie rolę cenzorów. Historyk pisze na przykład o zdobyciu i rzezi Pragi w 1794: „przy czym ucierpiało sporo ludności cywilnej”. Dzieje się tak, aby nie urazić uczuć szowinistów rosyjskich. Przypomina to wiek XVIII, czasy haniebnej interwencji rosyjskiej w sprawy polskie.

Drastycznie ogranicza się dostęp obywateli do informacji, a ten stan w oficjalnych dostępnych źródłach prowadzi do zdziennienia świadomości społecznej. W kraju nie ma ani jednego dziennika godnego tej nazwy, a informacja telewizyjna i radiowa jest wprost skandaliczna w swej nieporadności (korespondent radia donosi: „Jemiołuski nadleciały nad nasze pola i niwy”). Stan prasy, nawet tej literackiej, jest po prostu żalostny z powodu braku wolności słowa i myśli. Mimo postanowień układu w Hel-

sinkach nie dopuszcza się do kraju ważnych dla narodowej kultury wydawnictw emigracyjnych. Konfiskuje się książki Gombrowicza, Miłosza, Kołakowskiego. Nie dopuszcza się do kolportażu prasy zachodniej, jeżeli znajdują się tam krytyczne uwagi o ZSSR. nonsens tych zarządzeń jest tak krzywdzący, że nasuwa się pytanie, komu to jest potrzebne i czemu to służy. Dlaczego czuje się zagrożony system polityczny, jeżeli 200 osób przeczyta krytyczne uwagi w *Le Monde*?

Doprowadzono do upadku nauk społecznych. Oficjalna teza brzmi, że nie jest na przykład potrzebne szukanie nowych dróg w ekonomii, potrzebne są tylko ekspertyzy tzw. węzłowych problemów narodowego planu gospodarczego. Cenzura, a w szczególności cenzura zastrachanych redaktorów, skreśla każdą myśl śmielszą, bardziej niezależną od skostniałych wyobrażeń „oficjalnych” uczonych. W ten sposób nauki społeczne nie mogą odgrywać tej pozytywnej i ożywczej roli, jaką spełniać powinny. Zamiast nauki krytycznej powstaje pseudonauka o charakterze „ideologicznym”, tzn. propagandowym. Tymczasem nauka społeczna, jeśli nie jest nauką krytyczną, przestaje być nauką w ogóle.

Wszyscy doceniamy osiągnięcia pięciolecia po roku 1970, kiedy wreszcie przerwano kredowe koło fikcji i przesądów poprzedniego okresu. Ale nie ma powodu do optymizmu. Podjęto zadanie reformy gospodarczej, ale w sposób niekonsekwentny i niezdecydowany, bo bez zapewnienia warunków niezbędnych do sprawnego działania nowych zasad funkcjonowania gospodarki. Uczyniono z nowego systemu narzędzie realizacji procesów inflacyjnych. Zamiast dążyć do kontroli cen środkami ekonomicznymi, lub nawet administracyjnymi, zachęcano w ten czy inny sposób do ukrytych podwyżek. Powołano do życia wielkie organizacje monopolistyczne, a nie zadbano o stworzenie równowagi rynkowej dającej szansę przynajmniej częściowo przeciwstawienia się nabywców tendencjom monopolistycznym. Nie dopuszczono do stworzenia organizacji konsumenckich. Z drugiej strony podejmowano decyzje inwestycyjne i inne o wielkim znaczeniu, bez publicznej dyskusji i bez wszechstronnego zbadania skutków. Prowadziło to do coraz większego naruszania równowagi wzrostu i do narastającego chaosu. Wielki wzrost żywnościowości w gospodarce i idąca z tym w parze degradacja planowania jako narzędzia świadomego sterowania procesami gospodarczymi. W tych warunkach próba zreformowania systemu funkcjonowania gospodarki musiała zawieść. Wycofano się też z niej w praktyce, szerokim frontem powracając do systemu nakazów i zakazów, którego sprzeczności i nieefektywność obnażone zostały w latach 50-tych i 60-tych.

Niepokój budzi również zaostrzająca się stratyfikacja społec-

czeństwa, istnienie i rozrost silnej grupy uprzewilejowanej, a zarazem niesporny fakt rzeczywistych i niemałych obszarów nędzy. Za mało czyni się w kierunku zlikwidowania nędzy mieszkaniowej, nędzy, z którą walczy się wysoce niedostatecznie, jak niedostatecznie zwalcza się rosnącą klęskę alkoholizmu. Obydwa te problemy są niezwykle trudne i być może brak jeszcze środków, aby je skutecznie rozwiązywać. Nie mogę też przemilczeć raka korupcji.

Stan euforii, wywołany osiągnięciami ostatniego pięciolecia, zasłania widoczność zjawisk ujemnych, a cenzura baczy, aby wiedza o obszarach zła nie była ujawniana.

Celem socjalizmu jest zaspokajanie potrzeb ludzkich w taki sposób, aby ludzie mogli rzeczywiście rozwijać się wszechstronnie, żyć w dobrobycie i zarazem bogacić się duchowo, czynnie uczestniczyć w życiu społecznym, aby nie zabijało ich uczucie, że życie ich pozbawione jest treści, skazuje ich na osamotnienie oraz ślepe dożywanie na morzu niepewności i rozpacz.

Socjalizmu nie można zadekretować. Rodzi się on i rodzić się może tylko w wolnym działaniu wolnych ludzi. Nadzieję budzi fakt, że po 30 latach praktyki politycznej, którą starałem się tu opisać, są jeszcze ludzie, którzy mają odwagę, aby myśleć i działać.

Jestem głęboko przekonany, że ruch odnowy będzie coraz silniejszy, że nasilające się ostatnio represje nie zdołają go na dłużej powstrzymać, chociaż są tak groźne dla społeczeństwa i sprawy socjalizmu.

Nie mogę, niestety, ograniczyć tego listu tylko do spraw ogólnych. Życie nasze obfituje w zbyt wiele nonsensów i dramatów ludzkich, bym mógł przejść nad nimi do porządku.

Do dnia dzisiejszego pozbawiony jest możliwości pracy naukowej pewien ekonomista (dr hab.) z Krakowa, zwolniony w ramach antyrewizjonistycznych i antysemitycznych czystek w marcu 1968 roku.

Do dziś nie mogą kontynuować pracy naukowej w kraju pozbawieni wówczas katedr Kołakowski, Brus, i inni.

Ostatnio wydłużyla się znowu czarna lista zakazująca imieniem publikacji i wystąpień publicznych, o nazwiska tych spośród pisarzy, artystów i uczonych, którzy podpisali lub napisali protesty przeciw zmianom w Konstytucji. Wielu sygnatariuszy tych listów jest przesłuchiwanym przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa, niektórym grozi się wyrzuceniem z pracy lub studiów, niektórych się znieważa, używa insynuacji, a nawet prowokacji. Reżyser Jerzy Markuszewski, który wraz ze mną podpisał tzw. „list 59” praktycznie pozbawiony został możliwości wykonywania zawodu.

Wielu młodym ludziom proponuje się konfidencyjną współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa, tj. pisanie wysokopłatnych donosów na nieprawomyślnych kolegów. W razie odmowy grozi im się utratą pracy, wyrzuceniem ze studiów, szykanami.

Nie dawno w Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie wyrzucono bez postępowania dyscyplinarnego studenta III roku, Jacka Smykała, za to, że na ćwiczeniach z nauk politycznych dyskutował i odmówił zeznań w trakcie przesłuchania w SB. Cytuję urzędowe uzasadnienie decyzji rektora: „[...] wypowiedzi obwinionego były dokonywane w obecności 30 osób grupy D. Wypowiedzi te pełne agresywnej dynamiki przytoczone w zeznaniach, musiały wpłynąć destrukcyjnie na światopogląd i postawę kolegów i koleżanek, wywołując w umysłach słuchaczy niepotrzebne wątpliwości a nawet spaczony obraz naszej rzeczywistości. Ponadto obwiniony stawiał bierny opór manifestując swoją nonszalancko-lekceważącą postawę w trakcie przesłuchiwania na terenie KW MO i tym samym udowodnił zupełny brak dyscypliny obywatelskiej wobec pracowników pionu bezpieczeństwa”.

W więzieniu śledczym w Lublinie na rozprawę karną już od 5 miesięcy oczekuje ciężko chory Stanisław Kruszyński, student V roku KUL, oskarżony o to, że w listach prywatnych do żony i brata „rozpowszechniał wiadomości fałszywe, mogące wyrządzić istotną szkodę interesom PRL”.

W tym roku obchodzę 70-lecie mego socjalizmu. Jednakże w Państwie, które zadekretowało socjalizm, nie ma miejsca dla moich przemyśleń i doświadczeń. Zakazano mi wygłaszać odczyty. Nie wolno mnie cytować w prasie, nie mówiąc już o druku prac. Wstrzymano wydawanie mojej książki w Państwowym Wydawnictwie Ekonomicznym, książki, która miała być jubileuszowa...

Wielce Szanowny Towarzyszu Pierwszy Sekretarzu,

Polska znajduje się obecnie w trudnym położeniu. Mamy ogromne trudności gospodarcze, będące skutkiem narastającego chaosu, inflacji, konieczności spłaty zadłużenia zagranicznego. Nie dysponujemy sprawnym systemem zarządzania gospodarką narodową. Nasz system polityczny jest anachroniczny: uniemożliwia pozytywną selekcję kadr, preferuje miernoty i karierowiczów, hamuje wszelką twórczość w kulturze i nauce, wywołuje nastroje frustracji i obojętności ludzi pozbawionych wpływu na bieg spraw społecznych. Jesteśmy krajem zależnym od ościennego mocarstwa z wszystkimi tego skutkami.

Konieczne są zmiany fundamentalne lub przynajmniej ich wyraźne zapoczątkowanie. W przeciwnym razie nie da się uniknąć tragedii, która przybrać może kształt gwałtownych zaburzeń albo

powrotu do stalinowskich metod rządzenia. Jednego i drugiego trzeba za wszelką cenę uniknąć w imię elementarnych interesów narodu polskiego i w imię socjalizmu. Wierzę, że socjalizm jest nadal ideą kształtującą dążenia przeważającej części naszego społeczeństwa. Ale idea ta będzie ulegać erozji, jeżeli praktyka społeczna mieniąca się socjalistyczną będzie tym, czym jest dzisiaj.

Wiem aż nadto dobrze, że nawet zapoczątkowanie zasadniczych zmian jest niezmiernie trudne. Wiem, jak mało realne jest obecnie przywrócenie pełnej suwerenności. Ale wiem również, że możliwe są pewne zmiany pozytywne, jeśli stojący na czele naszego państwa przywódcy znajdą w sobie dość męstwa, charakteru i politycznego rozumu by działać na rzecz poszerzenia naszej niezależności. W tym wysiłku znajdują oni pełne poparcie społeczeństwa, tak samo jak w demokratycznej ewolucji naszego systemu politycznego. Natomiast historia surowo oceni tych, którzy interesy narodu i socjalizmu podporządkują swojej wygodzie i grupowym interesom władzy.

Edward LIPiŃSKI

III-ci tom „Archipelagu GUŁag” - Zarysy przyszłości

Ostatni tom „Archipelagu GUŁag” zawiera trzy końcowe części: *Katorga*, *Zesłanie*, *Nie ma Stalina*. Kronika straszego Archipelagu śmierci i niewolnictwa została zakończona. Aleksander Sołżenicyn, sumienny historyk, postarał się niczego nie pominąć i zebrać wszystkie świadectwa. Na końcu książki znajdują się daty, podające czas pracy nad nią: 27. 4. 58 - 22. 2. 67. „Archipelag GUŁag” został zakończony w 50-tą rocznicę Rewolucji Październikowej — jako jej pomnik. „Kończę tę książkę — pisze Sołżenicyn w „Posłowiu” — w roku wyróżnionym, podwójnie jubileuszowym (a jubileusze te wiążą się ze sobą): 50-lecia rewolucji, która stworzyła Archipelag i 100-lecia wynalezienia drutu kolczastego”. I dorzuca: „Druga rocznica, obawiam się, zostanie pominięta milczeniem...”.

Relacja o katordze, zajmująca V-tą część książki, daje okazję do wspomnienia obu znamienitych rocznic. „Rewolucja — pisze Sołżenicyn jest niecierpliwa i ma hojną rękę. Od wielu rzeczy spieszenie odżegnuje się. Na przykład od słowa *katorga*. A to dobre, ważne słowo...”.

W istocie, rewolucja spieszenie odżegnała się od wielu „dobrych” słów: katorgi, więzienia, rozstrzelania, nawet — winy. Zamiast nich pojawiły się słowa lekkie i puste: zamiast więzienia — DOPR (*dom przedwariantelnego zakluczenia* [dom tymczasowego zamknięcia]); zamiast rozstrzelania — najwyższy środek obrony społecznej; zamiast winy — wpływ zgnitego środowiska kapitalistycznego. Tylko jedno nowe słowo — obóz koncentracyjny

3-ci tom „Archipelagu GUŁag” jest już w tłumaczeniu i ukaże się w Bibliotece „Kultury” na przełomie 1976/1977 roku. Tom ten będzie obejmował mniej więcej tyleż stron co tom 2-gi. Prosimy naszych czytelników o zamawianie już dzisiaj tego tomu, abyśmy mogli ustalić jego nakład. Cenę w przedpłacie ustalamy na F. 72,50 lub dol. 17,00 wraz z kosztami przesyłki. Ponieważ podwyżki drukarni i papieru — są coraz częstsze — tom 3-ci w sprzedaży będzie kosztował o wiele drożej.

— zachowa jak się okaże — wystarczającą ważkość i przetrwa, a wszystkie pozostałe zanikną, wyrugowane przez słowa stare i wypróbowane. Dotychczas przywódcy rewolucyjni burzyli wszystko sądząc, że skoro byt określa świadomość, to wystarczy zmienić byt, by powstała nowa świadomość. Nowy człowiek mógł obchodzić się bez starych, wypróbowanych słów. Tym bardziej, że odżegnano się tylko od słów, lecz nie od więzienia, katorgi i rozstrzeliwania. Ale w momencie, gdy ogłoszono, że socjalizm został zbudowany, nikt już nie mógł powoływać się na środowisko — Byt stał się idealny. Jeśli więc człowiek z jakiegoś powodu nie zgadza się z normami tego Bytu, wówczas wina (i słowo to powraca tryumfalnie do Kodeksu Karnego) jest wyłącznie jego. I należy go ukarać jak najsurowiej. Najlepiej katorgą.

Katorga zostaje wprowadzona dekretem 17 kwietnia 1943 roku, w 16 lat po rewolucji, wkrótce po „narodowym zwycięstwie stalingradzkim”, kiedy to — jak powiada Sołżenicyn — „Stalin poczuł, że jego wóz wyjechał pod górę”.

Pierwszym obozem katorżniczym był 17-ty szyb Workuty. Celu prawie nie ukrywano, pisze Sołżenicyn, „katorżników należało zapracować na śmierć”. Czym była stalinowska katorga? Sołżenicyn opowiada: mieszkano w namiotach, siedem metrów na dwadzieścia, obitych deskami i utkanych trocinami (śmieszna ochrona przed polarnym mrozem); w każdym namiocie po 200 katorżników; 12-godzinny dzień pracy bez przerwy, z pauzą 10-minutową na ogrzanie się; pozostałe 12 godzin przeznaczone były na dojście do pracy i z powrotem, jedzenie, apele, rewizje — na sen nie zostawało więcej niż 4 godziny. Pierwszy „alfabet workucki” (katorżnicy dostawali numery — litera + liczba od jednego do tysiąca), tzn. 28 tys. katorżników, zginęło w ciągu roku. „Podziwiać należy, że nie w ciągu miesiąca” — komentuje gorzko autor „Archipelagu” przypominając, że za czasów Czechowa na całym katorżniczym Sachalinie znajdowało się 5.905 katorżników. Ponadto przed rewolucją nie było katorżniczych robót dla kobiet. W Związku Sowieckim, który zniósł dyskryminację kobiet, wprowadzono też kobiece obozy katorżnicze.

Opisawszy warunki życia, a raczej śmierci na katordze, pisarz opowiada o jej mieszkańcach. Z góry przygotowany jest na zarzuty: „Już słyszę, jak współrodacy i współcześni krzyczą na mnie gniewnie: Prześciancie! O kim śmiecie nam opowiadać? Tak! Ich wywożono na zniszczenie — i słusznie! Przecież to zdrajcy, niemieccy pomagierzy i policjanci! Dobrze im tak! A wam może tęskno za nimi?? (Jako że, jak wiadomo, krytyka wykracza poza granice literatury i wchodzi w zakres organów). 'A te kobiety — to niemieckie kurwy!' — wołają na mnie żeńskie głosy”.

Znow, jak już niejednokrotnie w poprzednich częściach, pisarz wiąże w jeden niepodzielny łańcuch rewolucję, działalność porewolucyjną — i GUŁag. Zaczyna od kobiet. Zasądzano je na katorgę za „związek z okupantem”. „Ale czyją to wina? Czyją?

— pyta pisarz — kim byliśmy my, że nasze kobiety poszły do okupantów? Czy nie jest to jeden z tych niezliczonych długów, jakie płacimy, płacimy i jeszcze długo będziemy płacić za drogę, którą wybraliśmy w pośpiechu i przeszli w obłądzenie, nie oglądając się na straty, nie patrząc, co leży przed nami?”.

Ale mężczyźni — „mężczyźni to już na pewno za coś?! To zdrajcy ojczyzny i zdrajcy ustroju”. Sołżenicyn wciąż na nowo stawia męczące go pytanie: „Jedenaście wieków istnieje Ruś, wielu widziało wrogów i wiele wiodła wojen. A — wielu zdrajców było na Rusi? Czy wydała tłumy zdrajców? Jakoś nie... I wszystko to w ustroju wrogim wobec mas pracujących. A tu zaczęła się najbardziej sprawiedliwa z wojen w najbardziej sprawiedliwym ustroju — i nagle w narodzie naszym pojawiły się dziesiątki i setki tysięcy zdrajców”. Skąd oni się wzięli? — zapytuje pisarz. — Dlaczego? I powtarza: — Cóż ich skłoniło?... I kto?

Historycy sowieccy utrzymują, że takiego pytania nie ma, a tym kto je zadaje winny zając się organy. Historycy zachodni w większości swej krępują się je zadawać, by nie urazić znakomitego sojusznika w wojnie z hitlerowskimi Niemcami. Postawienie tego pytania i próby odpowiedzi na nie, ważne są jednak nie tylko dla zrozumienia przeszłości, ale i przyszłości.

Jak doszło do tego, że w dniach od 29 czerwca - 7 lipca, w bitwach pod Białystokiem i Smoleńskiem Niemcy wzięli do niewoli 320 tys. sowieckich żołnierzy i oficerów, 16 lipca pod Smoleńskiem 300 tys., 5-8 sierpnia pod Humaniami 103 tys., 24 września pod Kijowem — 665 tys., 18 października pod Brańskiem i Wjaźmą — 665 tysięcy? Sołżenicyn przytacza rozkaz Stalina (0019.16.7.41): „Na wszystkich frontach trafiają się liczne elementy, wybiegające nawet na spotkanie przeciwnika i przy pierwszym zetknięciu się z nim rzucające broń”. Autor „Archipelagu” nie zgadza się z oficjalnymi wyjaśnieniami „zaskoczenia”, „przewagi liczebnej” — podkreślając, że właśnie „wszystkimi tymi elementami przewagi dysponowała Armia Czerwona”.

Wyjaśnienie, które daje Sołżenicyn brzmi jednoznacznie: wojna sowiecko-niemiecka „zaczęła się 10 lat po morderczej kolektywizacji, 8 lat po wielkim głodzie ukraińskim (6 milionów ofiar, nie zauważonych nawet w sąsiedniej Europie), 4 lata po diabelskim rozrulaniu NKWD, rok po drakońskich ustawach o przemyśle, a wszystko to — przy istnieniu 15-milionowych łagrów i niewygastej jeszcze u ludności pamięci o życiu przed rewolucją...”. Wojna rozbudziła w narodzie przede wszystkim pragnienie „nabrania tchu i wyzwolenia się”, pragnienie wyrażenia „wstrętu do swoich władz”. Ludności ZSSR do 1941 roku — pisze Sołżenicyn — „wydawało się normalne, że wejście obcej armii oznacza obalenie reżymu komunistycznego”... A rzeczywistej istoty hitleryzmu ludność sowiecka, która „słusznie nauczyła się w niczym nie wierzyć sowieckiej propagandzie”, nie mogła zrozumieć dopóki nie doświadczyła programu hitlerowskiego na własnej skórze.

W 1950 roku autor „Archipelagu” osobiście poznaje przebywających na katordze, którą co prawda w tym czasie zaczęto nazywać łagrami Specjalnymi. „Siła robocza była potrzebna, a na katordze wymierała przedwcześnie”, dlatego stworzono specjalny — „niewiele łagodniejszy od poprzedniej kategorii, ale surowsze od zwykłych obozów”. Łagodność i surowość to pojęcia niewątpliwie względne. Na 1800 stronach „Archipelagu GUŁag” znaleźć można niemało okropności i bestialstwa, lecz opowiadanie o łagrze specjalnym w Spassku zajmuje szczególnie miejsce wśród najstraszniejszych epizodów. Spassk daje dobre pojęcie o tym, czym były specjalny. Do Spasska wysyłano inwalidów (*nota-bene* pracował tam jako chirurg dr Kolesnikow, jeden z „ekspertów”, którzy podpisali „kłamliwy raport komisji katyńskiej”). Sołżenicyn dodaje: „za to też dostał się tutaj przez sprawiedliwy wyrok Opatrzności”). Ale naczelnik Stepłagu, do którego należał Spassk, pułkownik Czeczniew nie uznawał kalektwa. „Lubił mawiać: ‘W całym Spassku jest u mnie tylko jeden inwalida — bez nóg. Ale i on ma lekką pracę — jako goniec’. Oto wynalazek Czeczniewa: czterech jednorękich do dzwigania nosiłek — dwóch leworękich, dwóch praworękich. Nawet w letnich — łatwiejszych — miesiącach 1949 roku w Spassku umierało po 60-70 ludzi, a zimą — po stu”. (Autor „Archipelagu” uspokaja czytelnika: Czeczniew jest obecnie emerytowanym generałem, mieszka w Karagandzie).

Sołżenicyn zaznajomił się po raz pierwszy z więźniami obozów specjalnych jeszcze w więzieniach po drodze na miejsce przeznaczenia. Bardzo interesuje się tymi, z którymi go losy zetknęły i stara się w nich wczuć. Większość uwięzionych to Bałtowie i zachodni Ukraińcy. Refleksje pisarza nad problemem narodowościowym w 3-cim tomie „Archipelagu” zasługują na specjalną uwagę. Może nigdy dotąd jeszcze nie sformułował on swych poglądów tak jasno i wyraźnie. „Wstyd być Rosjaninem!” — wykrzyknął Herzen, kiedy dławiliśmy Polskę. Teraz wobec tych spokojnych, bezbronnych narodów wstyd mi podwójnie” — pisze Sołżenicyn na temat Litwinów i Estończyków, dodając: „Wobec Łotyszów mam bardziej mieszane uczucia. Tutaj to jakby fatum. Wszak sami to siali”. Pisarz ma na myśli rolę strzelców łotewskich w Rewolucji Październikowej i w okresie wojny domowej i uważa to co spotkało Łotyszów po 1940 roku za rodzaj zemsty losu.

Mówiąc o szczególnie wyraźnie i ostro zaznaczonym stanowisku Sołżenicyna wobec problemu narodowościowego mam przede wszystkim na myśli jego wypowiedzi na temat Ukrainy i Ukraińców. Zwraca on uwagę na to, że określenia „banderowcy” i „petlurowcy” stały się w języku rosyjskim obelgami i nikt nie zastanawia się nad istotą tych słów. „A 'banderowcy' i 'petlurowcy’ — pisze Sołżenicyn — to właśnie ci Ukraińcy, którzy nie chcą obcego panowania. Stwierdziwszy, że Hitler nie niesie im obiecanej wolności, walczyli też przeciwko Hitlerowi przez całą wojnę, ale my o tym milczymy, ponieważ jest to nam tak samo

niewygodne jak Powstanie Warszawskie 1944 roku”. Pisarz zapytuje: „Czemuż to tak nas oburza nacjonalizm ukraiński, dążenie naszych braci, by mówić, wychowywać dzieci i układać etykiety we własnym języku?... Czemuż tak nas oburza ich chęć oddzielenia się? Żal nam odeskich plaż? czerkaskich owoców?”. Przyznaje: „Przykro mi o tym pisać: ukraińskość i rosyjskość zbiegają się u mnie w jedno we krwi, w sercu i w myślach. Ale długie doświadczenie przyjaznego obcowania z Ukraińcami w łagrach nauczyło mnie, *jaką* goryczą zostali przepojeni. Nasze pokolenie nie może uchylić się od zapłaty za błędy starszych”.

Sołżenicyn konkluduje: „Winniśmy pozostawić decyzję im samym — federalistom względnie separatystom, zależy kto kogo przekona. Nie ustąpić to szaleństwo i okrucieństwo”.

„Archipelag GUŁag” jest skrupulatnym zestawem faktów, świadectw i dokumentów. Równocześnie jest to analiza duszy narodu, żyjącego w GUŁagu i obok GUŁagu. Jak mogło do tego dojść, że naród pozwolił się zniewolić, czemu się temu nie sprzeciwił? — pytał autor we wcześniejszych częściach książki. Dlaczego uwięzieni znosili to bez oporu? — zapytuje w 3-cim tomie. I odpowiada: „Nie znosiliśmy tego bez oporu!”.

Tom trzeci, ostatnie części dzieła, są opowiadaniem jak więźniowie przeciwstawiali się, są opowieścią o Oporze. Sołżenicyn zaznajamia czytelnika z różnorodnymi formami tego oporu — od indywidualnego po zbiorowy, od ostrego słowa po nóż. Pisarz stwierdza: „W specjalnych podjęliśmy sztandar *więźniów politycznych* i staliśmy się nimi!”. W specjalnych... Katorga, a później obozy specjalne były najwyższym stadium rozwoju stalinowskiego systemu łagrów, jego najokrutniejszą formą. Równocześnie jednak selekcja więźniów, którzy zrozumieli, że nie mają przed sobą żadnej przyszłości, że nie mają nic do stracenia stworzyła warunki dla Oporu. „Powiew rewolucji” — taki tytuł daje Sołżenicyn rozdziałowi, w którym opowiada o transporcie z „szaraszki” w Marfino do obozu w Ekibastuzie: w więzieniach etapowych, w wagonach więziennych katorżnicy rozmawiali tak swobodnie, że byłoby to już nie do wyobrażenia dla tzw. wolnych obywateli sowieckich, tzn. nie aresztantów. Przyczyną tej nagle odkrytej możliwości swobodnego wyrażania swych myśli był brak nadziei na zwolnienie — większość więźniów miała 25-letnie wyroki — a za to nadzieję na wyzwolenie, obudzoną przez wojnę koreańską, którą sowieccy więźniowie traktowali jako preludium do wojny światowej. „Oto do czego nas doprowadzono — pisze Sołżenicyn — wojna światowa mogła nam przynieść tylko albo szybszą śmierć, albo wolność. W obu wypadkach wyzwolenie było znacznie bliższe, niż ukończenie wyroku w 1975 roku”.

Opór więźnia to przede wszystkim wewnętrzne wyzwolenie człowieka. Sołżenicyn opowiada o poetach obozowych, którzy znaleźli wewnętrzną wolność w słowie, w rytmie, w usiłowaniu, by wyrazić wierszami siłę ludzkiego ducha. Wśród nich był też autor „Archipelagu”, który wypracował sobie zadziwiającą technikę zapamiętywania dziesiątków tysięcy linijek poezji. Pisarz

opowiada o Pietji Kiszkinie, grającym rolę głupiego Jasia z rosyjskich bajek, *jurodiwego*, o którym więźniowie powiadali: Kiszkin jest mądrzejszy od nas wszystkich. Jednym celnym słowem potrafił on dojechać do żywego najbardziej tępemu więźniowi czy też obnażyć kłamstwo oficjalnych haseł. Wiele miejsca poświęca autor „Archipelagu” najodważniejszej ale też nie rokującej najmniejszej nadziei formie indywidualnego oporu — ucieczkom z obozu. Portret „uciekiniera z przekonania”, Georgija Tenno, oficera marynarki i sportowca, ceniącego wolność ponad wszystko w świecie jest jednym z najsympatyczniejszych w całej książce. „Cóż ty zdziałasz na swobodzie, zwłaszcza obecnej? Po co uciekasz? — pytali Tenno towarzysze. — Jak to — co? — dziwił się. — Będę wolny! Przeżyć dobę w tajdze bez kajdan — to już wolność!”.

Ze wspomnień obozowego kolegi Tenno — Aleksandra Dołguna („Amerykanin w GUŁagu”) które wyszły w Stanach Zjednoczonych wiemy, że po zwolnieniu z łagru, z „małej zony”, i rehabilitacji „uciekiniier z przekonania” Tenno marzył tylko o ucieczce z „dużej zony” — z ZSSR.

Rozdziały o ucieczkach w „Archipelagu” nie są tylko opowiadaniem o odwadze ludzi, rzucających z narażeniem życia wyzwanie spektakrom — jak mawiał Tenno: „Problem ma się tak: jesteście gotów na śmierć? Gotów. To znaczy: także do ucieczki”, — jest to też opowiadanie o trudnościach, które zaczynały się dopiero za drutami. Uciekiniier poruszały się po terenie nieprzyjacielskim, nie mógł nie tylko liczyć na pomoc, ale każdej chwili musiał oczekiwać ze strony każdego napotkanego wydania władzom. „Nasza ludność — pisze Sołżenicyn — *bała się pomagać a nawet sprzedawała uciekiniierów — dla zysku lub z przekonania*”. Ale co tam obcy — zdarzało się, że uciekiniierów sprzedawała rodzina.

I mimo to ci, w których żyła wolność, którzy byli gotowi na śmierć — uciekali, opierali się. Ale ucieczki, nawet jeśli były dokonywane grupowo, były tylko indywidualną formą oporu.

Centralne, najważniejsze miejsce w 3-cim tomie „Archipelagu” zajmuje opis masowych form oporu — strajków i buntów. W literaturze o obozach istnieje już sporo świadectw o wystąpieniach więźniów. W 1954 roku wyszła, tłumaczona na liczne języki, książka niemieckiego lekarza Józefa Scholmera „Powrót umarłych”, w której szczegółowo opisany został strajk więźniów workuckich w lipcu 1953 roku; w 1973 roku Dimitrij Panin w „Zapiskach Sołogdina” opowiedział o strajku w obozie w Ekibastuzie; Aleksander Dołgun podaje informacje o buncie w Kengirze w maju 1954 roku; o „40 dniach Kengiru” wspomina też uczestniczka tego buntu Ljubow Bierszadzskaja w książce „Zdeptane żywoty” (1976).

Sołżenicyn jako pierwszy stara się odtworzyć historię buntów i powstań — na ile to możliwe, biorąc pod uwagę fakt, że — jak pisze autor „Archipelagu” — „ich uczestnicy zostali unicestwieni, dalsi świadkowie boją się, a raporty pacyfikujących

spalono lub ukryto w czeluściach kas pancernych — tak, że powstania te zmieniły się już w legendę...”. Kronikarz Archipelagu zbiera okrucieństwa świadectw wśród ocalałych uczestników i opowiadania z drugiej ręki, porównując i sprawdzając przekazywane fakty. Ogromną pomocą jest tu jego własne doświadczenie. Sołżenicyn sam był uczestnikiem i świadkiem wystąpienia więźniów łagru w Ekibastuzie.

Pisarz wspomina o „pierwszych wybuchach” — o buncie w styczniu 1942 roku, kiedy to Retunin (nic o nim nie wiadomo) wyprowadził w lasy kilkuset więźniów, o legendarnym powstaniu w 1948 roku na terenie budowy kolei do Selhardu na dalekiej Północy. Wszyscy, którzy uciekli z Retuninem zostali wybici, z samolotów wystrzelano buntowników 1948 roku. Nowa epoka zaczęła się w początku lat 50-tych, kiedy to „stalinowski system obozowy zaczął przeżywać kryzys...”.

Zakończył się okres ucieczek, nastąpiła epoka buntów. Sołżenicyn szczegółowo omawia historię strajku-głodówki w Ekibastuzie i 40-dniowego powstania w Kengirze. Porównanie tych dwóch buntów pozwala wyróżnić typowe cechy, charakterystyczne dla momentu obudzenia się głodu wolności w obozach stalinowskich. Przebieg wydarzeń w Ekibastuzie i w Kengirze był identyczny. Kluczowe ogniwo, które pozwala zerwać łańcuch, zostaje uchwycone żywiołowo, instynktownie: jest nim likwidacja „stukaczy”, szpiegów obozowej władzy. „Zabij stukacza! — oto ono, ogniwo! Nóż w pierś stukacza! Robić noże i rznąć stukaczy — oto ono!”. Teoretycznie, siedząc za biurkiem w ciepłym pokoju pisarz przyznaje, że gwałt rodzi gwałt, że gwałtem niczego na świecie nie da się osiągnąć. Ale, ciągnie — „trzeba dostać dwadzieścia pięć lat za nic, włożyć na siebie cztery cyferki, ręce trzymać zawsze za plecami, być rewidowanym rano i wieczór, słabnąć od pracy, wędrować do BUR-u (*barak usilennogo reżima* [kercer]) na skutek donosów, być wdeptywanym w ziemię bez nadziei powrotu do życia — aby z tej perspektywy, wszystkie wypowiedzi wielkich humanistów wydały się tylko pustą gadaniną sytych *wolniaszek*”. W pierwszym tomie „Archipelagu” Sołżenicyn marzył o oporze wobec „przekłętej maszyny Stalina”: „Gdyby w czasie masowych aresztów... ludzie nie siedzieli po swych norach mdlejąc z przerażenia przy każdym trzaśnięciu bramy i krokach na schodach — a uświadomili sobie, że nie mają już nic do stracenia i gdyby urządzali odważnie zasadzki przy drzwiach, po kilku, z toporami, z młotkami, z czym popadnie...” ... „Przydały się lata męki, poniżeń i cierpień na to, by ludzie, którzy zrozumieli, że 'nie mają już nic do stracenia' chwycili za noże”.

Na pięć tysięcy więźniów zabito jakiś tuzin kapusiów, ale rezultat był oszałamiający: „Na pozór byliśmy nadal uwięzieni i znajdowaliśmy się w łagiernej zonie, ale w istocie staliśmy się *wolni* — wolni dlatego, że po raz pierwszy w naszym życiu jak tylko sięgała nasza pamięć zaczęliśmy mówić na głos, otwarcie, wszystko co myślimy!”. Autor dodaje: „Kto nie doświadczył

takiej zmiany nie może nawet sobie tego wyobrazić!". Likwidacja konfidentów — faza i oczu zarządców łagru na terenie zony — była pierwszą szłą oporu. Następną stanowili stworzenie organów kierujących: „Powstały i umocniły się niedostępne dla stukaczy ośrodki narodowe: ukraiński, jednolity muzułmański, estoński, litewski. Nikt ich nie wybierał, ale oparte były na tak słusznej zasadzie starszeństwa, mądrości, przebytych cierpień, że autorytetu ich w danej grupie narodowościowej nikt nie kwestionował”. Następnym etapem rosnącego w siły ruchu łagierniczego było postawienie żądań. „Ale krążyła w nas wciąż jeszcze niewolnicza, rabska krew. Powszechne zrzucenie z siebie psich numerów wydawało nam się tak śmiałym, tak zuchwałym i straszącym krokiem jak — powiedzmy — wyjście z karabinami maszynowymi na ulicę. A słowo „strajk” dźwięczało w naszych uszach tak przerażająco, że szukaliśmy sobie dodatkowego oparcia w głodówce...

Do głodówki mamy, jak się wydaje, jakieś prawo — ale strajk? Pokolenie za pokoleniem rosnęło u nas w przekonaniu, że śmiertelnie niebezpieczne i, naturalnie, kontrrewolucyjne słowo 'strajk' należy do tej samej grupy co *Entente'a*, Denikin, kułacki sabotaż, Hitler”.

Więźniowie ogłaszają głodówkę i strajk w momencie, gdy władze obozowe, chcąc zlikwidować poruszenie otwierają do więźniów ogień z karabinów maszynowych a następnie, po wdarciu się do zony strzelają z automatów do wszystkich, którzy nie zdążyli skryć się w barakach.

Opór więźniów, „powiew rewolucji” jaki przebiegł po obozie był dla *naczelstwa* zupełną niespodzianką. Straciło ono zupełnie głowę z chwilą, gdy wybito część kapusiów, a reszta uciekła pod opiekę władz. Reakcja tych władz, metody za pomocą których usiłowały stłumić bunt zostały poddane przez autora analizie z taką samą dokładnością z jaką opisał zachowanie się więźniów. Przede wszystkim władze próbują podzielić łagierników według grup narodowościowych — a zwłaszcza wydzielić Ukraińców, stanowiących główną grupę bojową. Usiłuje się stworzyć fałszywą nadzieję: zostaje utworzona fikcyjna komisja, która wywołuje więźniów i roztacza przed nimi miraż rychłego zwolnienia. Usiłuje się ogłosić rozpoczęty ruch za bandytyzm. W końcu władze obozowe uciekły się do najprostszego środka: użycia broni. W odpowiedzi na to więźniowie ogłosili głodówkę i nie wyszli do pracy. Strajk-głodówka ciągnął się przez trzy dni. „Tych trzech dni nikt z uczestników nigdy w życiu nie zapomni. Nie widzieliśmy naszych towarzyszy w innych barakach i nie widzieliśmy leżących tam nieopogrzbanych zwłok. Ale ponad upustszą zoną łagru łączyła nas wszystkich stalowa więź”. I *naczelstwo* zmuszone zostało do wyjścia naprzeciw strajkującym i do rozmów z nimi. I wtedy okazało się, że żądania więźniów są nieśmiałe, nie sprecyzowane, nie sięgające daleko: osądzić winnych strzelania, zlikwidować numery, usunąć z baraków kłódki. Nie wysunięto nawet, zauważa Sołżenicyn, żądania 8-godzinnego

dnia pracy. „Tak już odwykliśmy od wolności — komentuje autor — że wydawało się jakby już nas wcale nie pociągała...”.

Strajk zostaje zakończony. Więźniowie — jakże mogłoby być inaczej — doznają porażki. Brak im jeszcze siły i wytrwałości. Do galerii bohaterów obozowych Sołżenicyn dodaje portret inżyniera Polaka, Jerzego Węgierskiego, który po tym gdy cała brygada poddała się, odmówił przerwania głodówki. „Wtedy — pisze Sołżenicyn — zrozumiałem co to znaczy polska дума — i na czym polegały ich straszne powstania... Gdybyśmy wszyscy byli tacy dumni i twardzi, któryż tyran utrzymałby się u władzy?”.

Ekibastuz poddał się, ale „zaraza wolności” rozprzestrzeniła się. Następnym etapem walki było powstanie w Kengirze. Największe powstanie w historii Archipelagu. Rozpoczęty żywiołowo bunt w Kengirze stał się jakby kontynuacją ruchu wyzwolenczego: przez 40 dni łagier żył wolnością, wypędziwszy władze i wpuszczając je jedynie dla pertraktacji. „Osiem tysięcy ludzi nie tyle zbuntowało się, co uciekło w wolność” — pisze Sołżenicyn. Więźniowie wybrali *komisje* do pertraktacji z władzami i jako organ samorządowy. Po raz pierwszy od wielu, wielu lat sowieccy obywatele naprawdę swobodnie wybrali samorząd. Łagier został ozdobiony hasłami: „Niech żyje sowiecka konstytucja”, „Niech żyje Prezydium KC”, „Niech żyje władza sowiecka”... Na czele buntu stał b. pułkownik Czerwonej Armii, Kapiton Kuzniecowa, który twierdził: „Naszym ocaleniem jest lojalność. Winniśmy rozmawiać z przedstawicielami z Moskwy tak, jak przystoi sowieckim obywatelom”. Sołżenicyn pozostawia przyszłym historykom buntu w Kengirze zadanie „wyświetlenia roli tego człowieka”. Sam pisze następująco: „Czy stanął on na czele ruchu dlatego, że ruch ten go porwał? (Odrzucam to). Czy też, znając swoje zdolności dowódcy, po to by go uśmierzyć, ująć w karby i pozbawiwszy rozpędu rzucić pod nogi władzom? (Tak przypuszczam)”. Drugi przywódca buntu, b. porucznik Gleb Słuczenkow, który nie chciał iść na żadne kompromisy i dowodził konieczności walki na śmierć, bo wiedział, że tylko taki koniec go czeka — bardziej odpowiada gustom kronikarza „Archipelagu”.

Zadziwiająca solidarność wszystkich więźniów obozu — politycznych, mężczyzn i kobiet oraz przestępców kryminalnych, których kierownictwo próbując zapobiec zamieszkom przystało do łagru (po raz pierwszy Sołżenicyn znajduje taskawe słowo dla kryminalistów, stwierdzając wprawdzie, że dopiero po tym, jak polityczni poczęli zabijać konfidentów, tamci zaczęli ich „szanować”) — stanowiła główną siłę kengirskiego buntu. Pisarz ukazuje przerażenie władz w obliczu buntu i jego rozmachu. Co prawda nastąpił on po obaleniu Berii, które już wstrząsnęło posadami MWD. Tym niemniej przerażenie, zdumienie, niezdolność podjęcia decyzji przez kierownictwo MWD biją w oczy. MWD, które zmyśliło dziesiątki tysięcy rzekomych spisków i buntów w obliczu prawdziwego buntu straciło głowę. W ciągu

czterdziestu dni władze zastanawiają się jak postąpić z buntownikami usypiając ich w międzyczasie pertraktacjami. W tym celu przyjechały z Moskwy najwyższe władze — naczelnik GUŁagu, generał Dołgich, zastępca ministra Spraw Wewnętrznych. Więźniowie domagali się przyjazdu członka prezydium KC. Żądania ich były prawie identyczne z żądaniami w Ekibazie: ukaranie tych, którzy strzelali do więźniów, zdjęcie numerów, 8-godzinny dzień pracy, zwiększenie zapłaty za pracę (ale nie było mowy o zrównaniu płac z wolnymi), swoboda korespondencji z rodziną, rewizja spraw.

Władze usiłowały agitować więźniów przez radio, namawiały do poddania, w kilku miejscach zrobiono wyłomy w murze otaczającym obóz, nakłaniając tym więźniów do ucieczki z gniazda buntu. Wszystkiego poza zonę uciekło około tuzina. Sołżenicyn wyjaśnia: „Na tym kawałku ziemi temperatura tak się podniosła, że... przyziemne prawa, według których 'żyje się tylko raz', byt określa świadomość i lepszy żywy tchórz niż martwy bohater — na krótki czas uległy w tym zamkniętym miejscu zawieszaniu”.

Wczesnym rankiem 25 czerwca 1954 roku rozpoczął się szturm łagru — wjechały czołgi, a za nimi żołnierze z automatami. Tanki miażdżyły wszystkich po drodze, nie wyłączając kobiet. Nad łagrem lotem koszącym przelatywały samoloty, zwiększając groźbę. Liczba ofiar — o ile można ją ocenić — wyniosła ponad 700 ludzi. Sołżenicyn przypomina: „9 stycznia 1905 zabito około 100 ludzi. W 1912 roku w sławnej masakrze w kopalniach nad Leną, która wstrząsnęła całą Rosją, zabito 270 ludzi i raniono 250”. Historyk Archipelagu dodaje, że tego samego dnia w Moskwie odsłonięto pomnik Jurija Dołgorukogo: „I w ten sposób stał się on jakby pomnikiem Kengiru”.

Rozdział o powstaniach na poszczególnych wyspach Archipelagu są przekonywującym świadectwem: tak, sowieccy więźniowie istotnie stawiali opór. Sołżenicynowi udało się zapisać liczne białe plamy na mapie sowieckiej historii. Ale nie na tym jedynie polega znaczenie ostatnich trzech części dzieła. Podczas gdy dwa pierwsze tomy stanowiły kronikę przeszłości i przywracały pamięć, bez której naród żyć nie może, trzeci tom pozwala nam dostrzec zarysy przyszłości.

Leży przed nami książka, w której po raz pierwszy zostały opisane różnorodne formy niezadowolenia z reżymu, różnorodne formy oporu i walki. Pisarz poddaje je analizie, wskazując na wspólne cechy charakterystyczne: objawy niezadowolenia rodzą się zazwyczaj żywiołowo, w sposób niezorganizowany i z reguły skierowane są nie przeciw władzy sowieckiej, lecz przeciw jej przedstawicielom; noszą one charakter pokojowy: w czasie buntów obozowych zabijano konfidentów, ale nie przedstawicieli władz. Sołżenicyn pokazuje, jak w warunkach całkowitego zniewolenia osobowości następuje nagle moment wyzwolenia, moment zrywu, w którym śmierć przestaje być straszna i rodzi się świadomość wspólnoty, wznosząca człowieka na wyżyny heroizmu. Dlatego ze wszechmiar uzasadnione wydaje się włączenie

do „Archipelagu GUŁag” rozdziału, poświęconego wystąpieniu nowoczerkaskich robotników dn. 2 lipca 1962 roku — pierwsza relacja z pierwszej od dziesięcioleci otwartej, żywiołowej, gniewnej reakcji ludzi pracy na poczynania władz.

Ostatnia część książki: „Nie ma Stalina”, nie jest optymistyczna. Nie ma Stalina, rządzący zmieniają się, ale Archipelag trwa. Archipelag trwa, ponieważ trwa system społeczny, który go zrodził i który jest z jego istnieniem ściśle związany. Archipelag pozostał, pozostało Bezprawie. Kengirskich więźniów miażdżyły czołgi za Malenkowa, który przyszedł na miejsce Stalina. Do robotników w Nowoczerkasku, którzy zaprotestowali przeciw podwyżce cen, przerwali pracę i wyszli na ulice demonstrować pokojowo — strzelano za Chruszczowa, który zastąpił Malenkowa. „Już drugie półwiecze wznosi się ogromne państwo, ściśnięte stalowymi obręczami, i obręcze są — a prawa *nie ma*”. Tymi słowami kończy się kronika Archipelagu GUŁag, historia społeczności, w której terror i bezprawie zajęły miejsce prawa.

Hegel doszedł do wniosku, iż historia uczy tylko tego, że niczego nie uczy. Jednak pewne regularności historyczne składają do zastanowienia: pokojowe „chodzenie w lud” inteligencji rosyjskiej lat 70-tych ubiegłego wieku zastąpił terror; masakra pokojowej, wiernopoddańczej manifestacji 8 stycznia 1905 roku była pierwszą iskrą październikowego pożaru 1917 roku.

„Archipelag GUŁag” wywołał przerażenie wśród sowieckich przywódców nie tyle z tego powodu, że opowiada prawdę o przeszłości, lecz raczej dlatego, że zawiera zapowiedź przyszłości i ukazuje jej zarysy. W walce z tą książką zastosowano najostrzejsze środki. Najbardziej radykalnym z nich jest skreślenie z rosyjskiego słownika słowa „archipelag”. Nawet geografowie muszą je zastąpić słowem „grupa wysp”. Dzierżącym władzę łatwo zabronić używania słowa. Znacznie trudniej jest przeciwdziałać wpływowi słowa i zmienić kierunek myśli, nadany dziełem — wszystkimi dziełami — Aleksandra Sołżenicyna.

Michał HELLER

(Przełożył z rosyjskiego M. Broński)

Hajże na Soplicę

W połowie lat dwudziestych, kiedy byłem jeszcze uczniem gimnazjum, uczestniczyłem w zajeździe na Soplicowo. Starszy brat mego szkolnego kolegi zdał właśnie maturę, i znalazłem się wśród grona młodzieży, zaproszonej z tej okazji na wieczerzę do domu wziętego w Warszawie prawnika, ojca nowoupieczzonego maturzysty. Rozmowa zesłała na tematy maturalne. Brat mego kolegi wybrał z literatury polskiej temat: „Walory etyczne trzech Sopliców”. Pan domu odezwał się:

— Nie wiem coś tam nabazgrał. Najważniejsze, że zdałeś. Ale ja tych Sopliców nie trzymam w specjalnej estymie. Dużo by się dało powiedzieć o ich etyce.

W dyskusji, która się potem wywiązała, wielu z nas zabierało głos. Trudno mi po pół wieku przypomnieć sobie, co kto powiedział. Dla ułatwienia będę nazywał wszystkich zaproszonych „my”, a pana domu „prawnikiem”.

My: — Panie mecenasie, przecież Jacek był bohaterem narodowym, oficjalnie rehabilitowanym przez wodzów wojska polskiego, bił się, był więziony, cierpiał, poświęcał się dla sprawy narodowej. Sędzia miał łyzy w oczach na samą myśl o bliskim wkroczeniu armii polskiej na Litwę, a Tadeusz zaciągnął się do wojska.

Prawnik: — Nie neguję szczerego i bohaterskiego patriotyzmu Jacka, który ujawnił się dopiero po upadku niepodległości. Jacek dał wprawdzie synowi „Kościuszkowskie miano”, ale sam nie przystąpił do powstania. Nie neguję także dość taniego i powierzchownego patriotyzmu Sędziego, który polega głównie na przywiązaniu do staropolskich obyczajów, choćby niektóre z tych obyczajów, jak na przykład obżarstwo godne epoki saskiej lub polowanie bez szanowania czasu ochronnego, nie były bynajmniej

chwalebne. Sędzia rozrzewnia się na myśl o niepodległości, co nie przeszkadza mu zapraszać na biesiady carskiego oficera, czego nigdy by nie zrobił były konfederat barski Maciek nad Maćkami. Sędzia, który przyznaje się, że nigdy nie zajmował się polityką, co w owych czasach oznaczało obojętność dla sprawy narodowej, korzysta z usług jakie mu wyświadczyła w Petersburgu Telimena. Ale to nie najważniejsze. Etyka to nie tylko stosunek do *salus rei publicae*. To przede wszystkim zachowanie się w życiu codziennym. Przedstawiając Jankiela Mickiewicz chwali jego uczciwość, zalety towarzyskie, autorytet którym się cieszy u skłóconej szlachty, i dodaje „miał także sławę dobrego Polaka”. A przecież patriotyzm Jankiela to nie były tylko pieśni narodowe, kołomyjki, mazurki, melodie legionowe. Rosjanie uważali go za szpiega na usługach Księstwa Warszawskiego, to on oddaje Jackowi list od generała Fiszera donoszący o postanowieniu Napoleona zaatakowania Rosji. *A propos*, ten generał napoleoński Fiszer to przodek mego przyjaciela Franca Fiszera. Jankiel więc się naraża niemniej niż Jacek na „knuty, Sybir, stryczek”, a jednak Mickiewicz uważa za właściwe podkreślić, że miał dobre trunki i że rachował uczciwie. A jak w tej dziedzinie zachowywali się Soplicowie? O Tadeuszu nie mówię. To jeszcze dziecko. Ale Jacek i Sędzia? Co się stało z majątkiem Stolnika? Z jego dobrami?

My: — Zniszczone sekwestrami rządu, bezwładnością opieki, wyrokami sądu, w częste spadły dalekim krewnym po kądzieli a resztę rozdzielono między wierzcycieli.

Prawnik: — To była opinia krążąca w okolicy w kilkanaście lat po śmierci Stolnika. Opinia dość niejasna i jak się okaże stanowiąca alibi dla tych, którzy te dobra sobie przywłaszczyli bądź z łaski zdrajców i zaborców, bądź prawem kaduka. Co oznaczały „sekwestry rządu”? Jaki to był rząd?

My: — Targowica, która skonfiskowała część dóbr Stolnika i oddała je Soplicom.

Prawnik: — To prawda, ale w tym brak ścisłości. Sopliców było wielu. Jacek rządził 300-stu kreskami tego rodzaju. Sam Gerwazy zabił pięciu i wielu poranił („obciął im uszy”). Nikt z nich nie skorzystał z konfiskat poza Jackiem. „Oddać Soplicom” to wyrażenie języka potocznego, a nie termin prawny. Kiedy Protazy opowiada Gerwazemu o sporach zakończonych małżeństwem, wzmiankuje rodziny, bo tak się mówiło potocznie. Ale kiedy ten sam Protazy czyta dawną wokandę trybunalską, to znajduje tam wyłącznie nazwiska stron w liczbie pojedynczej, albo osoby prawne, instytucje, jak „Dominikanie” to znaczy klasztor, lub „Kahał”, to znaczy gmina żydowska. W XVIII wieku na Litwie rodzina to było pojęcie społeczne, a nie podmiot

prawa. Nieruchomości włącznie z ordynacjami, należały zawsze do określonego właściciela, lub do kilku określonych właścicieli, a nie do rodziny, choć mógł istnieć zakaz sprzedaży. Targowica oddała część dóbr Stolnika nie Soplicom, a Jackowi, który zresztą podkreśla, że mógł otrzymać więcej i zostać magnatem — tym razem Jacek mówi tylko o sobie, a nie o Soplicach. Zresztą fakt że dobra zostały oddane Jackowi wynika stąd, że pokajawszy się za swe winy, Jacek ślubował te dobra zwrócić. Tylko ten, kto otrzymał ma prawo i możność zwrotu.

My: — Jacek wypełnił ślub.

Prawnik: — Bynajmniej. Jacek nie zwrócił dóbr jedynej spadkobierczyni Stolnika, Zosi. Jacek pojął swe ślubowanie w dość dziwny sposób. Poleciał bratu opiekować się Zosią, wyznaczył jej pensję i liczył, że w przyszłości wyjdzie za mąż za Tadeusza i w ten sposób „intercyza cały załatwi kłopot”: będzie restytucja i nie będzie wstydu. Jacek uważa Zosię za *chasse gardée* Tadeusza, i korzystając z szacunku jakim cieszył się ubiór zakony, odpędza Hrabiego rubasznie od jej ogródka: „Wara Panie od szkody na tutejszej grzędzie”. Sędzia powierza wychowanie Zosi Telimenie i opiekunowie starają się, aby Tadeusz i Zosia nie zetknęli się w dzieciństwie z obawy by stosunki ich nie były zbyt braterskie, bo to może ostudzić płomień prawdziwej miłości. Telimena, która nie mogła jeszcze czytać „Le lys dans la vallée” (Mickiewicz też nie czytał tej książki napisanej później niż „Pan Tadeusz”) wyraża poglądy podobne do Balzaka i niewątpliwie słuszne, że należy nagle zabłysnąć w towarzystwie, a nie „rosnąć na widoku ludzi”. Kalkulacje matrymonialne Jacka nie oznaczają bynajmniej wypełnienia ślubu, złożonego w momencie uzyskania odpuszczenia.

My: — Jacek miał trudności z wypełnieniem ślubu, bo dobra były w ręku Sędziego, który nie miał zamiaru ich zwracać: „Dane mi dobra wziętem” — mówi Sędzia, który zresztą nigdy Jacka nie widział. Więc to Sędzia otrzymał dobra, a nie Jacek.

Prawnik: — To pewne, że po latach bojęw i cierpień, Jacek w młodszych latach pod bernardyńskim kapturem był nie do poznania. Nawet Gerwazy, który go dobrze znał za młodu i który dostrzegł go z daleka, kiedy Jacek strzelił do Stolnika, nie podejrzewał, że ksiądz Robak to Jacek Soplica. Trzeba było bystrego oka Maćka nad Maćkami, by domyśleć się kto się ukrywa pod zakonnym ubiorem kwestarza. Więc i Sędzia nie poznał brata. Ale czy go nie znał za młodu? W 1811 roku Sędzia opowiada, że przed 30 laty był żaręczony. Nie żaręczył się przecież kiedy był uczniem w jezuickiej szkole. Szkołę tę ukończył więc najpóźniej przed 30 laty. Potem spędził 10 lat na dworze woje-

wody. Służbę tę ukończył więc najpóźniej przed 20 laty, i wrócił do rodzinnego zaścianka. Stąd wynika, że w latach dziewięćdziesiątych XVIII-go wieku Sędzia mieszkał już w powiecie. Znał więc Jacka w okresie kiedy się urodził Tadeusz i kiedy zginął Stolnik — w kościuszkowskich czasach. Tę nieprawdopodobną historię, że brat nigdy brata nie widział, należy włożyć między bajki.

My: — Znał czy nie znał, ale gdzie dowód, że dobra otrzymał od Jacka?

Prawnik: — A od kogo mógł je otrzymać? Wprost od Targowicy z którą — i tym powinien się szczyć — nie miał nic wspólnego? Jacek zresztą mówi na spowiedzi, że to jego uważano za stronnika Moskwy i że to jego Targowica chciała złotem obsypać. Sprawa jest jasna. Jacek opuszczając kraj, by bić się w Legionach, wiedział, że w tym wypadku, „dobra na skarb carski zabierano”. Aby tego uniknąć przepisał cały swój majątek w drodze darowizny lub fikcyjnej sprzedaży na rzecz brata, i na emigracji przyjął pseudonim, pod którym dokazał cudów odwagi i bohaterstwa.

My: — Pseudonim „Robak” był oznaką pokory.

Prawnik: — Wybór pseudonimu był oznaką pokory, bo wszak Jacek mógł przybrać nazwisko „Orzeł” lub „Sokół”. Ale sam fakt ukrywania się pod pseudonimem był środkiem ostrożności. Jackowi, który chciał zmyć hańbę, która przyłgnęła do jego nazwiska powinno by zależeć, by wiedziano że męstwem i poświęceniem odkupił zdradę i zbrodnię. Ale chęć ochrony majątku przed konfiskatą była przemożna, i to ona zdecydowała o przyjęciu pseudonimu.

My: — Na Litwie ten pseudonim był niezbędny, by uchronić Jacka przed zemstą Gerwazego.

Prawnik: — Jacek mógł przyjechać na Litwę jako ksiądz Robak. Ale przedtem w Legionach gdzie Gerwazego nie było, przybrane nazwisko to był kamuflaż przed carskim wywiadem. Gdyby władze carskie stwierdziły, że Jacek walczy w Legionach, dobra nawet przepisane na Sędziego byłyby zagrożone.

My: — W każdym razie wypełnienie ślubu było niemożliwe, bo dobra były już przepisane na Sędziego, który na nich zbudował swą fortunę, bo przecież „to wyrosło z szlachciury”.

Prawnik: — Przepisanie dóbr, akt czysto formalny, to była dymna zasłona dla rządu i dla okolicy. Między braćmi panowało zaufanie i *de facto* dobra nigdy nie przestały należeć do Jacka. Dlaczego Jacek, który w momencie opuszczenia Litwy, nie złożył

jeszcze ślubu restytucji dóbr, i który nie mógł przewidzieć, że Sędzia nigdy się nie ożeni i nie będzie miał dzieci, i że Tadeusz będzie jego spadkobiercą, miałby pozbawiać Tadeusza majątku na rzecz stryja i ewentualnych braci stryjecznych? Niewątpliwie istniał między braćmi *pactum reservati domini* na rzecz Jacka. Był to przypuszczalnie pakt ustny, ale między szlachtą *nobile verbum* wystarczyło. Sędzia ten pakt szanował.

My: — Gdzie Pan mecenas to znalazł?

Prawnik: — W rozmowie Sędziego z Telimeną, gdzie Sędzia ujawnia, że z łaski Jacka ma w swym posiadaniu kapitały, którymi ich właściciel Jacek ma prawo rozporządzać i które przeznaczył dla Tadeusza i Zosi jeśli się pobiorą. Skąd ta fortuna Jacka, który nic nie posiadał przed śmiercią Stolnika? Nie zdobył jej przecież na polach bitew, w więzieniach zaborców lub kwestując dla klasztoru!

My: — Jacek mówił, że po śmierci Stolnika Targowica ofiarowała mu bogactwa, których nie przyjął. Może odmowa ta nie była tak kategoryczna. Jacek przyjął przecież włości Stolnika.

Prawnik: — Na łożu śmierci Jacek nie kłamał. Prawda leży gdzie indziej. Sędzia, który bynajmniej nie kwestionował legalności uchwał Targowicy, traktował nadal Jacka jako rzeczywistego właściciela skonfiskowanych dóbr Stolnika, a siebie jedynie jako zarządcę tych dóbr. Po odliczeniu kosztów utrzymania dworu, które były znaczne, bo żyło się wystawnie, skapitalizowany dochód był do dyspozycji Jacka, a Sędzia był tylko jego depozytariuszem. Jacek mógł więc wypełnić ślub, i Sędzia nie odważyłby się temu sprzeciwić. Ale dobra skonfiskowane przez Targowicę nie obejmowały całości majątku Stolnika. Co się stało z resztą tych dóbr?

My: — W części spadły dalekim krewnym po kądzieli...

Prawnik: — „Zniszczone bezładnością opieki”. Nieprawdopodobne. Po śmierci Stolnika nie było żadnej opieki. Dobra nie skonfiskowane przeszły na jego córkę już zaręczoną z wojewodą, za którego wkrótce wyszła. Wojewodzina nie opuściła Litwy, bo jeszcze w kraju wydała na świat w roku 1797 Zosię — Zosia ukończyła 14 lat w 1811. Nic nie wiadomo o nowej konfiskacie dóbr wojewodziny po jej wywiezieniu razem z mężem na Sybir. Jest zresztą prawdopodobne, że wojewodzina pojechała na Sybir dobrowolnie, aby towarzyszyć mężowi, bo Moskale kobiet nie zsyłali. Pod nieobecność wojewodziny mianowano niewątpliwie „opiekę nad dobrami osoby nieobecnej”, ale ta opieka mogła jedynie zarządzać, a nie rozporządzać. Spadek otworzył się dopiero po śmierci wojewodziny i jedyną spadkobierczynią była

Zosia, a nie „dalecy krewni po kądzieli”. Opiekę nad Zosią objęli Sędzia, który ją traktował jak „przybraną córkę” i Telimena, która była jej „piastunką”. Czy można przypuszczać, że ci opiekunowie pozwolili, aby jacyś dalecy krewni po kądzieli przywłaszczyli sobie majątek ich podopiecznej? Jacy to byli krewni? Najbliższym krewnym wojewodziny — w 7-mym stopniu, dobrze to obliczyłem — był Hrabia. W prawie spadkowym najbliższy krewny wyklucza dalszych — to było także przyjęte w Statutach Litewskich. Ale Hrabia był pod opieką, i ta opieka nie interesowała się specjalnie Zamkiem i dobrami należącymi do „Zamku dziedzica”. Jedno z dwojga: albo Sędzia przyłączył prawem kaduka nieskonfiskowane dobra zamkowe do tych, które otrzymał od Jacka i które Jackowi dała Targowica, albo zaniebując obrony praw swej podopiecznej pozwolił, aby jacyś „dalecy krewni po kądzieli” przywłaszczyli sobie jej majątek. W obu wypadkach Sędzia postąpił w sposób haniebny, bo obrona praw pupila zawsze była i jest świętym obowiązkiem opiekuna, a wykorzystywanie sytuacji opiekuna dla powiększenia własnej fortuny kosztem majątku pupila, to po prostu nadużycie zaufania, a więc czyn podlegający kompetencji sądów karnych. Ale to była tylko częśćka dóbr zamkowych. A co z resztą?

My: — Resztę rozdzielono między wierzycieli.

Prawnik: — „Zniszczone wyrokami sądu”. Jakich wierzycieli mógł mieć Stolnik, bogacz, pierwszy Pan w powiecie? Stolnik był przypuszczalnie posłem, bo tylko w celach wyborczych mógł potrzebować „kresek” szlachty, która tłumnie zbierała się w zamku na hucznych przyjęciach. Ale był spokrewniony z rodami senatorskimi, bo był siostrzeńcem kasztelana. Zresztą nie wystarczyło być wierzycielem, aby móc przejąć dobra ziemskie dłużnika, bo posiadanie tych dóbr było zastrzeżone dla szlachty; inni wierzyciele musieli zadowolić się dochodami z dóbr, to jest zbożem, drzewem, pieniędzmi. Jedyne długi jakie mógł mieć jeden szlachcic wobec drugiego pochodziły z obowiązków rodzinnych: działów spadkowych, posagów gdzie należało dopłacić część gotówką. Pożyczkodawcy nie należący do stanu szlacheckiego operowali często pieniędzmi, które im powierzali wielcy panowie świeccy i duchowni, ale ci zachowywali anonim; oficjalnie znani byli pożyczkodawcy, a ci nie mogli zabrać dóbr ziemskich za swe należności. Wyrażenia „dobra rozdzielone między wierzycieli”, podobnie jak te co „spadły dalekim krewnym po kądzieli” to eufemizmy pokrywające uzurpację tych dóbr przez Sędziego.

My: — Gdzie Pan mecenas to znalazł? Te terminy może pokrywają jakieś uzurpacje, ale gdzie dowód, że były dokonane przez Sędziego?

Prawnik: — W rozmowie między Tadeuszem i Zosią o uwłaszczeniu chłopów: „Wiesz, że znaczną część wiosek, które mam posiadać, według prawa na Ciebie powinny spaść. Ci chłopcy nie są moi, lecz Twój poddani”. Znaczna część, nie wszystkie. Sędzia podobnie jak Jacek, nie miał żadnego majątku osobistego: „wyrósł z szlachciury”. Włości skonfiskowane przez Targowicę, należące *de facto* do Jacka a *de iure* do Sędziego przypadną pełnym prawem Tadeuszowi, spadkobiercy obu braci Sopliców. Bo Targowica to była władza legalna choć zdradziecka i trudno było unieważnić fakty dokonane stworzone jej decyzją. Sędzia który jawnie i pod tytułem właściciela posiadał przez kilkanaście lat dobra skonfiskowane, miał już własne prawa nabyte w drodze zasiedzenia, czyli przedawnienia nabywczego — *usucapio*. Ślubowanie Jacka, że dobra te zwróci wypełni się *ipso facto* i bez wstydu przez małżeństwo Tadeusza, który z konfiskaty skorzystał, z Zosią, którą konfiskata skrzywdziła. Ale inne wioski, które Sędzia sobie przywłaszczył korzystając z małoletności Zosi, swej podopiecznej, to właśnie „ta większa część” która na nią spada. Nie ma więc żadnych „dalekich krewnych po kądzieli”, ani „wierzycieli”. Są tylko dobra Zosi, którymi Sędzia nie tylko zarządza jako opiekun, ale które także użytkowuje — *usufructus*, i z których ciągnie dochody w gotówce wpisywane na rachunek Jacka — dzięki temu Jacek ma „kapitały”. Sędzia żyje jak magnat, każdy posiłek w jego domu, włącznie ze śniadaniem, to prawdziwa uczta, ma wspaniałe zaopatrzoną piwnicę, pije się u niego szampana, tokaj i malagę, bo czerpie dochody ze wszystkich dóbr Stolnika, który był prawdziwym magnatem.

My: — Czy są jakieś inne dowody tych przywłaszczeń?

Prawnik: — Dość liczne. Na przykład sprawa starej karczmy, które należała do „Zamku dziedzica” i gdzie pod wodzą Gerwazego zbierali się stronnicy Horeszków. Ta karczma na pewno nie należała do Soplicy, który na złość Zamkowi postawił nową karczmę. Niedzielne zebranie chłopów i drobnej szlachty odbywa się w starej karczmie, w której miejsce Gerwazego zajmuje ksiądz Robak. Jankiel od lat dzierżawi tę karczmę i nikt „nie zaniósł nań skargi do dworu”. Otóż skargę zanosilo się do właściciela karczmy. Kompetencja dworu to znaczy Sędziego dla przyjmowania ewentualnych skarg na karczmarza oznaczała, że Sędzia przywłaszczył sobie starą karczmę i pobierał z niej czynsz. Zresztą major Płut zarzuca Sędziemu, że trzyma u siebie karczmarza, który jest antyrosyjskim szpiegiem.

My: — Major Płut mówił o karczmie. Może szło tu o nową soplicowską karczmę. Ponieważ nikt nigdy nie zaniósł skargi na Jankiela, więc kompetencja dworu w sprawie starej karczmy

nigdy nie została poddana praktycznej próbie. Jest możliwe, że czynsz za starą karczmę był wpłacany na ręce opiekunów Hrabiego, a następnie na ręce jego zarządców.

Prawnik: — Macie rację. To możliwe. Ale co zwraca uwagę, to że Sędzia „tyka Zamku swych kopców krawędzią”. Żaden większy dwór, a tym bardziej zamek nie był budowany na samej granicy dóbr, które do niego należały. Dom był otoczony parkiem. Sędzia przesunął swe kopce aż pod same mury zamku.

My: — To tylko domniemanie.

Prawnik: — Ale spór o Zamek to nie domniemanie. To proces który wypełnia powieść. Hrabia to była może „Horeszkom dziesiąta woda po kisielu”, ale Sędzia nie miał do Zamku żadnych praw. W imię czego żąda Zamku? Jaką ugodę proponuje Podkomorzy? To tylko dowodzi, że w owych czasach wystarczyło wytoczyć proces aby coś otrzymać. Cały spór jest absurdalny. Hrabia z Sędzią procesują się o Zamek, który nie należy do żadnego z nich, bo właścicielką jest Zosia, wnuczka Stolnika. Hrabia o tym nie wie, ale Sędzia, Jacek i Telimena wiedzą o tym dobrze. Ale o Zosi pomówimy potem. Stwierdzam, tylko, że wszystko wskazuje na to, że Sędzia przywłaszczył sobie cały majątek Stolnika, zarówno dobra skonfiskowane jak i te, których Targowica nie skonfiskowała.

My: — Czym Pan Mecenaz tłumaczy tę zaborczość Sędziego? Czy nie starczyły mu dobra, które mu przekazał Jacek?

Prawnik: — Oczywiście, że nie starczyły. Włości skonfiskowane należały *de facto* do Jacka. Ta sytuacja tłumaczy zabiegi Sędziego, aby powiększyć fortunę, składającą się na początku jedynie z włości skonfiskowanych, kosztem innych dóbr Stolnika, które wobec małoletności Zosi pozostały bezpańskie. To te dobra, o których mówiono, że były oddane dalekim krewnym po kądzieli i rozdzielone między wierzycieli. Tych dóbr Sędzia nie otrzymał od Jacka, ale zdobył je dzięki osobistym zabiegom.

My: — W jaki sposób można było przywłaszczyć sobie cudze włości bez żadnego tytułu prawnego?

Prawnik: — Wystarczyło być sąsiadem. Dawne tytuły własności, wyroki, decyzje nie odznaczały się ścisłością. Nie było kadastru. Zresztą i dzisiaj go nie ma. Prawo gruntowe dzisiaj obowiązujące, tak zwane Lex Wołowski z 1818 roku, tworzy z każdej nieruchomości bilans bez aktywów. Księga gruntowa gwarantuje identyczność właściciela, służebności i hipoteki, ale nie gwarantuje ani powierzchni ani granic. W miastach budowa określa powierzchnię, ale na wsi spory graniczne są bardzo częste. Dawne wokandy sądowe były nimi przepełnione. W tych warunkach

wszystko sprowadzało się do faktycznego zajęcia włości Stolnika i do wykładni decyzji konfiskacyjnej powziętej przez Targowicę, którą Moskwa uważała za legalną władzę Rzeczypospolitej w okresie poprzedzającym utratę niepodległości gdyż król przystąpił do Targowicy. Decyzja konfiskacyjna mogłaby być interpretowana w ten sposób, że obejmowała wszystkie lub prawie wszystkie włości Stolnika. Faktyczne posiadanie miało wielką wagę, często ono przesądzało w własności spornych dóbr. Protazy organizuje w Zamku przyjęcia dla gości Sędziego i w ten sposób, podczas gdy proces się toczy, chce stworzyć tytuł własności: to twój zamek, bo w nim jadasz. Jak długo szło o grunty, których granice nie były ściśle wytyczone, uzurpowanie ich przez Sędziego nie napotykało na przeszkody, zwłaszcza, że po wywiezieniu czy po dobrowolnym wyjeździe na Sybir wojewodziny, córki Stolnika, dobra te uchodziły za bezpańskie. Ale w sprawie Zamku, gdzie „herb Horeszków Półkoczic jaśniał na sklepieniu” Sędzia przegiął pałkę. Na horyzoncie pojawił się Hrabia i sprzeciwił się temu nowemu bezprawiu. Mimo absolutnego braku argumentów prawnych ze strony Sędziego Trybunały zajmowały się tym procesem dość długo, a kiedy wreszcie wrócił do sądów granicznych, Podkomorzy zamiast wprost odrzucić reklamację Soplicy, przygotował projekt układu, gdzie Zamek miał być wymieniony w zamian za jakieś *fundum*, to jest za grunty.

My: — Jakie trybunały orzekały w tych sprawach?

Prawnik: — W przypisach do „Pana Tadeusza”, autor wyjaśnia, że rząd rosyjski nie obala w krajach podbitych, praw i instytucji cywilnych, ale je podkopuje ukazami. Na Litwie pozostawiono całe sądownictwo z sędziami z wyboru. Ale ponieważ odwołania szły do Petersburga, dawnym instytucjom pozostał jedynie cień autorytetu. Ta sama sytuacja zaistniała w Królestwie Polskim po upadku powstania listopadowego. Utrzymano prawo cywilne, handlowe, hipoteczne, obowiązujące do dnia dzisiejszego, między nimi drugą i trzecią księgę Kodeksu Napoleona, ale kasacja szła do IX Izby Senatu w Petersburgu. W ostatniej instancji więc wszystko zależało od Petersburga.

My: — Rosja była zaborczym imperium, więzieniem narodów, krajem nierówności społecznej i carskiego absolutyzmu. Ale w sprawach czysto cywilnych sądy rosyjskie były nie mniej sprawiedliwe niż sądy w innych krajach. W jaki sposób mógł Sędzia uzyskać w Petersburgu zatwierdzenie swych samowolnych przywłaszczeń?

Prawnik: — Spór nie był czysto cywilny, miał zabarwienie polityczne. Konfiskata dóbr Stolnika i oddanie ich Jackowi, było aktem represji przeciwko wrogom Moskwy i aktem wynagrodze-

nia stronnika Moskwy — przypomnijcie sobie spowiedź Jacka. W tych wypadkach trudno było liczyć na bezstronność Petersburga, zwłaszcza, że wojewoda, zięć Stolnika był tam uważany także za wroga i został zesłany na Sybir już po przyjeździe Zosi na świat, więc najwcześniej w roku 1797. W tych czasach Rosja była jeszcze krajem feudalnym, gdzie panowały intrzygi dworskie — car Paweł, syn Katarzyny padł ofiarą spisku kierowanego przez hrabiego Pahlana — oraz samowola wysokiej administracji i kół zbliżonych do Pałacu — przypomnijcie sobie opowieść Telimeny o perypetiach małego carskiego urzędnika, którego nikt nie wziął w obronę i z którego kłopotów car się śmiał.

My: — Ale skąd Sędzia mógł mieć dostęp do tych kół?

Prawnik: — Osobiście nie miał żadnego dostępu, i dlatego uciekł się do usług Telimeny. Sędzia i Telimena mieli „wspólnych rodziców” nie będąc rodzeństwem. To może oznaczać jedno: ojciec Jacka i Sędziego, podczaszy Soplica po owdowieniu poślubił wdowę, która miała córkę Telimenę. Ci „wspólni rodzice” traktowali ich jak rodzeństwo. Kiedy trzeba było znaleźć opiekunkę dla Zosi, Sędzia i Telimena wyszukali w labiryncie litewskich koligacji jakąś daleką więź łączącą Zosię z Telimeną i dlatego Telimena mogła twierdzić „byłam jej piastunką, jestem krewną, jedyną Zosi opiekunką”. Telimena nie była bynajmniej „bogata pani” jak się przechwalała przed Tadeuszem i być może przed innymi, aby ukryć smutną prawdę, że nie miała własnego majątku i była finansowo całkowicie zależna od Sędziego. Ta „bogata pani” która nie ma własnego domu, lecz od dwóch lat mieszka jako rezydentka u Sędziego, planuje wydać Zosię za Hrabiego, aby w przyszłości mieć schronienie w domu młodego małżeństwa jako matka. Zresztą układając swe plany myśliwskie przyznaje sobie że jest nie bogata. Jacek wyznaczył pensję Zosi, ale Telimena mówi o hojności „dla nas”, to znaczy że i ona żyła z tej pensji. Sędzia z wiedzą Jacka wysłał Telimenę z Zosią do Petersburga, i tam jak to Telimena opowiada Tadeuszowi, wyświadczyła Sędziemu niezmierne usługi.

My: — Jakie to były te usługi? Sędzia nie dbał przecież o urzędy z łaski dworskiej, szanował jedynie urzędy ziemskie z wyboru.

Prawnik: — Podczaszy Soplica był szlachcicem zaściankowym. Tytuł podczaszego miał charakter czysto grzesznościowy. Ale dał zarówno synowi jak i pasierbicy staranne wychowanie. O wychowaniu Jacka nic nie wiemy, ale musiał nieźle znać łacinę, skoro mógł bez żadnego przygotowania zostać księdzem. Sędzia ukończył szkołę Jezuitów a następnie był 10 lat dworskim woje-

wody, to była szkoła grzeczności, dobrych manier i szlacheckich obyczajów. Telimena mówiła biegle po francusku. To był w tym czasie język wysokich sfer w Petersburgu — przypomnijcie sobie w „Wojnie i Pokoju” Tołstoja całe strony rozmów między członkami rosyjskiej arystokracji w języku francuskim. Znała niewątpliwie rosyjski, a co najmniej białoruski, bo na Litwie często używano tego języka w stosunkach ze służbą (Wańka, krzyknął na chłopca Asesor po rusku). Poza tym była układna, miała dobre maniere i przyjemną powierzchowność. Miała więc warunki, by nawiązać stosunki z ludźmi mającymi wpływy na dworze carskim i w ministerstwach. Na to trzeba było mieć środki i tylko Soplicowie mogli ich dostarczyć. Telimena wynajmuje letni pałacyk pod miastem, zna wysokich urzędników i według wszelkiego prawdopodobieństwa prowadzi tryb życia, który pozwala jej obracać się w sferach dworskich. Jakie panowały wtedy obyczaje na wszystkich dworach monarszych nie mam potrzeby wam tłumaczyć. Katarzyna dała przykład i dwór petersburski niczym nie przypominał klasztoru. Dzięki swym stosunkom Telimena uzyskała w stolicy decyzję lub potwierdzenie decyzji dzięki którym objęcie przez Sędziego całego majątku Horeszków nie było kwestionowane. Po wykonaniu tej misji jaka jej była zlecona Telimena nie mająca nic więcej do roboty w Petersburgu, wróciła do Soplicowa gdzie osiadła w domu Sędziego.

My: — To nie wynika z tekstu.

Prawnik: — Tekst mówi o niezmiernych usługach. Jakich innych usług mógł potrzebować w Petersburgu litewski szlachcic gardzący carskimi urzędami? Przecież to było wkrótce po zaborach i od niedawna Petersburg był stolicą Wielkiego Księstwa. Sytuacja mówi sama za siebie. Zresztą to wszystko było możliwe jedynie dzięki temu, że nikt poza Jackiem, Sędzią i Telimeną nie wiedział, że Zosia była wnuczką i jedyną spadkobierczynią Stolnika.

My: — Jak to?

Prawnik: — Hrabia który doszedł do wniosku, że Zosia nie była heroiną romansu mylił się. To był klasyczny romans, o jakim Hrabia marzył, tylko bez dramatycznych powikłań i ze szczęśliwym zakończeniem. Sierota-spadkobierczyni wielkiego majątku wychowywana jest przez opiekuna, który przywłaszcza sobie jej dobra, utrzymuje ją w nieświadomości jej pochodzenia i jej praw i ukrywa jej identyczność przed otoczeniem. Zosia to nie Kopuszek, królowna śnieżka czy śpiąca królowna. Nikt jej nie więzi i nic jej osobiście nie grozi, ale hrabia był bardzo bliski prawdy mówiąc o „zazdrosnym opiekunie”, bo sytuacja była prawdziwie molierowska, z tą różnicą, że opiekun nie zamierzał

poślubić swej bogatej pupilki, ale przeznaczał ją dla swego synowca. O tym, że nikt nie wiedział, że Zosia była wnuczką Stolnika wynika z opowieści Gerwazego o tym jak Zosia zapobiegła walce dwóch ptaszków, z których jeden wyobrażał Horeszków, a drugi Sopliców. Mówiono potem, że to ona pogodzi dwa rody, ale myślano o Hrabim, a nie o Tadeuszu. Bo Hrabia reprezentował Horeszków chociaż dziesiąta woda po kielecu, a Zosię uważano za przybraną córkę Sędziego. Gdyby wiedziano że Zosia była wnuczką Stolnika, małżeństwo z Hrabią nie zakończyłoby sporu. Ale ten fakt jest zazdrośnie ukrywany, i nawet Telimena, która wszystko wie o Zosi i wychowuje ją od dzieciństwa, nie uważa jej za posażną pannę, to znaczy nie jest świadoma praw Zosi do „większej części wiosek” którymi zarządza Sędzia. Zresztą spór o Zamek potwierdza tę atmosferę sekretu, który otacza osobę Zosi.

My: — Dlaczego?

Prawnik: — Przecież Sędzia mógł zakończyć spór jednym zdaniem: Panie Hrabio, panu nic do tego, ten zamek należy do wojewodzianki Zosi, wnuczki Stolnika, mojej podopiecznej. W jej imieniu obejmuję ten Zamek. Nie byłoby ani sądów, ani kosztów procesu, ani hucznych biesiad w domu Sędziego z okazji wizyty Podkomorzego. Ale gdyby Sędzia ujawnił prawną sytuację Zosi, to zmusiłoby go do zwrotu innych przywłaszczonych dóbr i do zdania rachunków z opieki. Sędzia mógł uzyskiwać przychylnie decyzje w sądach krajowych i Petersburgu jak długo dobra Stolnika uchodziły za bezpieczne, bo o dalekich krewnych nikt się nie troszczył. Na naradzie w zaścianku Dobrzyńskich Prusak wyraźnie oświadcza, że drobną szlachtę nic nie obchodzi spory dwóch bogaczy: Sędziego i Hrabiego. Ale Zosia to była sierota wzięta pod opiekę. Za nią wszyscy by się ujęli. Nie pomogłyby Sędziemu wyroki krajowe i petersburskie. Znalazłby się na marginesie społeczeństwa szlacheckiego, które w sprawach tego rodzaju nie pobłażało. Mianowano by nowych opiekunów Zosi i Sędzia byłby zmuszony zwrócić wszystko i zdać rachunki z opieki. Dlatego Sędzia nie wyprowadza nikogo z błędu, gdy wszyscy uważają Zosię za jego wychowanicę, przybraną córkę, której ręką rozporządza. Ojciec Saka Dobrzyńskiego prosi Sędziego o rękę Zosi dla syna. Tadeusz oświadcza stryjowi, że jest zakochany w jego wychowance. Dopiero spowiedź Jacka na łożu śmierci ujawnia Gerwazemu, że Zosia, córka wojewodziny, wnuczka Stolnika, jest jego Panią. Ale wtedy niebezpieczeństwo już minęło: Tadeusz to nie molierowski starzec, lecz młody i dziarski szlachcic. Zosia go kocha, młodzi się pobiorą i intercyza załatwi całą kłopot.

My: — A gdyby Zosia zdecydowała się poślubić Hrabiego?

Prawnik: — To trudne do pomyślenia. Zosia była bardzo młoda i słuchała się opiekunów. Hrabia był krewnym Zosi w ósmym stopniu. To nie było „kanoniczne powiązanie”. Gdyby Zosia poślubiła Hrabiego to byłaby katastrofa dla Sędziego, bo Hrabia miał środki na wyprocosowanie dóbr, a po wejściu wojsk polskich na Litwę można było uzyskać unieważnienie konfiskat orzeczonych przez Targowicę. A przede wszystkim opinia publiczna byłaby po stronie Hrabiego.

My: — Widocznie jednak Sędzia nie był zbyt przywiązany do dóbr doczesnych, gdyż po wejściu wojsk polskich, zgodził się na uwolnienie i uwłaszczenie chłopów.

Prawnik: — Decyzja niewątpliwie szlachetna powzięta w momencie patriotycznego entuzjazmu. Tym aktem Soplica się rehabilituje. Ale ja nigdy nie uczyłem się moralności na „Panu Tadeuszu”. W rosyjskim gimnazjum gdzie otrzymałem maturę, „Pan Tadeusz” nie był szkolną lekturą. Dla nas był to przepiękny utwór literacki, który czytaliśmy w domu i znaleźliśmy prawie na pamięć. Do dnia dzisiejszego czytam to dzieło raz do roku i nie przestaję go podziwiać. Ale kiedy mojemu synowi każą dyskutować o walorach etycznych Sopliców, zaciągam się do orszaku Gerwazego, ruszam w bój i hajże na Soplicę! A po zajeździe, jak Dobrzyńscy, godzę się z Soplicami. Panowie pijemy za zdrowie trzech Sopliców!

Anatol ESTRYN

Wiersze

Andrzej KORASZEWSKI

★★

Okno
nasz najpiękniejszy obraz
śnieg zdeptany dziecięcymi butkami
zamyślony bałwan
białe drzewa
i księżyc wrysowany w okienną ramę
a za plecami
pokój
z twoim oddechem

★★

Nawołujemy się z miasta do miasta
z kraju do kraju
z stulecia w stulecie
Nawołujemy się wierszem i czynem
spotykamy się nad trumną
niepewni kto jest szpiclem

Wystarczy przejść granicę moralności kata
pozbyć się strachu
cieszyć się wolnością
oddychać
widzieć

Nad łóżkiem dziecka
powracam w krainę strachu

panicznego lęku
ochraniam je przed razami kata
modłę się
by znało odwagę
by doznało samotności
by usłyszało głosy
zza gór
przestrzeni i czasu

Andrzej KORASZEWSKI

Filip ISTNER

APOKALIPSA EUTERPE

Olsniona zagładą rzeczy
wniebowzięta nicością
sięgnęła w próżnię —
Właśnie wtedy
świat szedł na rozwałkę —
Nie spięta klamrami porodowych rymów
nierytmiczna —
wolna od zabamowań interpunkcji
nie znajduje już sensu nigdzie —
Jest tylko otchłani
i ona jest niczym —
Koniec mistyfikacji —
opadły łachmany metafizyki
nie pomoże już żadna metafora
nie ocali wykrzyknik —
Nie znajdzie już gniazda przytulnego
w „kręgu wszechrzeczy”
ani schronienia w dziupli miłosnej
(O sonety! O erotyki!) Nie ocali Erato —
Ciasno w trzech wymiarach —
w czwarty dostępu bronią
formuły matematyczne
cerbery u kraja otchłani —
Spalone zwoje
puste ręce ma Klio
straskana tabliczka Kaliopie —
Puste symbole —

W wieżach z kości
niedopalonych ludzkich
nie mogą już szukać schronienia
wieszczący kaptani —
Pozbawieni nadziei i wiary
wspinają się po chybliwych rusztowaniach
UMIĘLOWANA MĄDROŚCI
do nikąd —
Nie ma dostępu
w regiony poza-ludzkie —
Nawet powietrze-ogień-woda
żywioty i materia wszelaka
dostępne tylko poprzez człowieka —
Więc jak jej być nad - (ponad-?) ludzką —
Nie ma przeskoku poza granicę
człowieczego losu —
Stąd też jej wzgarda dla praw i nakazów
barbarzyńskie deptanie reguł —
Odrzuciła zabawę w „pure nonsensy”
świadoma kosmicznego nonsensu rzeczy ludzkiej —
Tak w nicość wnikając unicestwia siebie —
W samozagładzie bliższa ginącemu światu
ziemsko człowieczemu —
Po mitach — Hezjoda z Askry i Ferykedesa z Syros
u kresu kosmo- i teogonii
już dostrzec można KONIEC
Świata
i poezji.

Filip ISTNER

Bożena WYSZOMIRSKA

*
**

dwie poziome kreski
na przegubie dłoni
dwa krwawe wąwozy
biegnące przez żyły
gdy widzisz te ślady
u przypadkowo

napotkanego człowieka
 na przegubie dłoni
 już wiesz
 nie myśl
 nie pytaj nigdy
 czy to przez miłość
 zwątpienie
 nie pytaj
 pomyśl raczej
 skąd wziął na to tyle
 odwagi

kwiaty krzyczały

kwiaty krzyczały
 w nocy
 obmyśliśmy łzami
 skorupki twarzy
 zamieniliśmy się
 w czystość prawdy
 zebraliśmy fragmenty
 ze strun włosów
 splukaliśmy wodą
 zmarszczki bólu
 leżeliśmy pod strumieniami
 konarów drzewa
 kwiaty krzyczały
 nadal

Bożena WYSZOMIRSKA

Archiwum polityczne

Imperializm sowiecki a przemiany w ruchu komunistycznym

Walka z komunizmem i walka z imperializmem sowieckim — to dwie powiązane ze sobą ale różne sprawy. Istnieje na Zachodzie kilkanaście albo i więcej odmian komunizmu — tzn. takich kierunków politycznych, których wyznawcy nazywają siebie — w odróżnieniu od socjal-demokratów — rewolucyjnymi marksistami. Niektórzy z nich, nazywając siebie komunistami, akceptują system sowiecki, inni — akceptują, choć unikają słowa „komunista”, posługując się bardziej efektownymi nazwami. Jeszcze inni, bez względu na wybór szyldu, bywają zarówno zajadłymi przeciwnikami Sowietów jak i zachodnich systemów demokracji kapitalistycznych. Są to najczęściej zwolennicy bardzo niesprecyzowanej i zmiennej drogi do komunizmu w wersji maoistowskiej, ale na tym nie wyczerpuje się bogactwo odcieni. Bywają bowiem i takie ugrupowania — bynajmniej nie anarchistyczne, ale wyznające marksizm — które pozostają w opozycji do wszelkich systemów politycznych, jakie istnieją na świecie.

Jak wszystkim z dawna wiadomo, komunizm w niektórych swoich odmianach jest i był instrumentem sowieckiego imperializmu, ale w innych — nie tylko nie jest i nie był, ale stanowił i stanowi nadal jego przeszkodę. Pierwsze więc moje twierdzenie brzmi: nie można zawsze i wszędzie walczyć z komunizmem i równocześnie skutecznie przeciwstawiać się sowieckiemu imperializmowi. Należy jednemu z tych dwóch celów przyznać pierwszeństwo. Według mnie powinna nim być nie walka z komunistami wszystkich odcieni, ale walka z Sowietami. Komunizm, jako ideologia, przy obecnej różnorodności, nie byłby groźny dla demokracji zachodnich — bardzo niedoskonałych, ale będących na razie jedyną strukturą zachowującą wartości oparte

na zasadach cywilizacji greckiej i łacińskiej — gdyby nie drażące je od wewnątrz procesy rozkładowe¹.

Komunizm na Zachodzie, w swych licznych odmianach, jest ideologią wyznawaną przez miliony ludzi. Choć posługuje się uproszczonymi schematami, które w obecnym skomplikowanym społeczeństwie brzmią jeszcze bardziej prymitywnie niż w zaraniu komunizmu, to nie da się zaprzeczyć, że cechuje ją pewien dynamizm, przejawiający się choćby samą różnorodnością jej odcieni i zajadłymi konfliktami między grupami jej wyznawców. Nie da się więc zaprzeczyć, że jest to jednak ideologia — może fałszywa, zgubna, czy zbrodnicza — tym niemniej ustawiczny jej ferment i zmienność świadczą o jej żywotności. W swej najistotniejszej treści, a nie w zewnętrznych akcesoriach, jest więc czymś zupełnie odmiennym od komunizmu sowieckiego. sowiecki komunizm nie jest żadną ideologią. Jest to zinstytucjonalizowana, państwowa, oficjalna doktryna — martwa, skamieniała forma oficjalnie przyjęta i narzucona przez Partię u władzy. Wątpię czy ktokolwiek tę „ideologię” wyznaje, natomiast większość ludzi żyjących w sowieckim imperium, a zwłaszcza szukający awansu społecznego, musi ją praktykować.

Następna sprawa to rola, jaką spełniały i spełniają ruchy komunistyczne poza granicami ZSSR od chwili jego powstania. Do chwili objęcia władzy przez Stalina żadna z pozasowieckich partii komunistycznych nie pełniła funkcji agenturalnych. W pierwszej fazie swego istnienia Sowiety miały w nich sojuszników, w wielu wypadkach wspomagały je finansowo, ale nie oznaczało to wcale, że partie te pełniły wobec nich rolę służebną. Zresztą rozdzielana ruchami opozycyjnymi: prawicowym — Bucharina i lewicowym — Trockiego, Komunistyczna Partia sowiecka do roku 1930 nie była skonsolidowana. Podobnie działo się z partiami komunistycznymi na Zachodzie, w szczególności w latach dwudziestych, gdy najpotężniejsza partia komunistyczna Zachodu, K.P.D., była skłócona ruchami frakcyjnymi. To wszystko skończyło się gdy władza w WKP(b) została ostatecznie zmonopolizowana przez Stalina w latach 1930-33.

Wskutek spenetrowania zachodnich partii komunistycznych przez agentów Kominternu — spenetrowania którego mechanizm

1. To nie ruchy rewolucyjne rozsadzają demokracje zachodnie, ale rozpad więzi społecznych trwający od wielu lat. Tłumaczy się on wieloma zjawiskami, które wymieniłem w artykułach publikowanych w *Kulturze* w n-rach 334-335 (1975), 340-341 (1976). Postępujący paraliż i niemoc, które cechują Zachód, nie są następstwem ani agresywności sowieckiej, ani wewnętrznych ruchów rewolucyjnych. Przeciwnie — Sowiety, trafnie oceniając apatię cechującą zachodni świat, dostosowują do niej zabierze plany. Podobnie postępują niektóre ugrupowania lewicowo-terrorystyczne, używające nieraz najdziwniejszych szyldów politycznych.

nie został całkowicie ujawniony — Sowiety stalinowskie potrafiły całkowicie podporządkować sobie partie komunistyczne, działające poza granicami ZSSR. Dotyczyło to również KPP (co nie uchroniło jej przywódców od fizycznej likwidacji w latach 1937-1938; jest to jednak sprawa odrębna i nie związana z niniejszą tematyką). Odtąd wszystkie te partie stały się zwykłymi agenturami Sowietów. Ich wierność dla „międzynarodowej ojczyzny proletariatu” zmanifestowała się jaskrawo nie tylko w momencie paktu Mołotow-Ribbentrop, gdy niemal wszystkie zachodnie partie komunistyczne posłusznie podporządkowały się dyrektywie Moskwy, ale jeszcze znacznie wcześniej — na kilka lat przed wybuchem II-ej wojny światowej — mianowicie w czasie tragicznych dziejów walki z faszystowskim przewrotem gen. Franco. W owych latach Sowiety — nie tyle własnymi rękami, co rękami zachodnich komunistów, głównie francuskich — starały się wyeliminować wszelkich innych antyfrankistowskich konkurentów do władzy. Piętnowano mianem agentury faszystowskiej każde niesowieckie ugrupowanie marksistowskie, w tej liczbie i P.O.U.M.², walcząc z nimi znacznie zajadłej niż ze zwolennikami gen. Franco. Była to stara zasada, znana zresztą i wymyślona nie przez komunistów, że heretyk groźniejszy jest od innowiercy. Możliwość pomyślnego zakończenia walki z rebelią gen. Franco bez dominującej roli sowieckiej partii i jej totalitarnych rządów, a więc perspektywa stworzenia odmiennej, a co gorsza bardziej demokratycznej, wersji socjalizmu, była zmorą która spędzała sowieckim przywódcom sen z powiek. Zmora ta odrodziła się znacznie później — po wojnie. Początkowo wskrzesił ją Polski Październik, później Imre Nagy na Węgrzech, wreszcie Dubczek w okresie Praskiej Wiosny 1968 roku. Epilog tych spraw jest nam wszystkim dobrze znany.

Te wydarzenia przeszłości wspominam dlatego, że na ich tle lepiej można zrozumieć ewolucję, która bynajmniej nie konsoliduje politycznie obozu komunistycznego, lecz przeciwnie — przy rosnącej potędze militarnej ZSSR i ich roli protektora krajów Trzeciego Świata, izoluje go zwolna od ruchów komunistycznych Zachodu i Wschodu. Frondy i przemiany partii komunistycznych zaczęły się, jak wiadomo, jeszcze za życia Stalina, przy czym, rzecz charakterystyczna, objęły w pierwszej kolejności nie partie komunistyczne Zachodu — które pozostawały w opozycji do istniejących tam struktur społecznych — ale partie komunistyczne które doszły do władzy. Pierwszą z nich była Komunistyczna Partia Jugosławii, przemianowana później na Ligę Komunistów

2. Partido Obrero Unificacion Marxista (Zjednoczona Marksistowska Partia Robotnicza).

Jugosławii. Po zerwaniu z Sowietami i usunięciu jugosłowiańskiej Partii z Kominformu, Tito i jego Partia znalazły się pod takim ostrzałem Moskwy, że bladły przy nich wszelkie ataki na imperialistyczny Zachód. Po tej pierwszej frondzie nastąpiła jeszcze poważniejsza — chińska, chociaż zerwanie było tu o wiele mniej gwałtowne niż z Jugosławią. W jednym i drugim wypadku źródłem konfliktu nie były różnice ideologiczne, ale problem władzy czyli niezależności od Sowietów. Tito — przynajmniej w pierwszej fazie zerwania z Sowietami — należał do grona tzw. najbardziej atakowanych „rewizjonistów”. Odwrotnie niż Chiny, które znalazły się na przeciwnym biegunie, oskarżając w tym wypadku o rewizjonizm Chruszczowa i jego następców. Te wszystkie oskarżenia o zdradę komunistycznych ideałów były oczywiście najzwyczajszą fasadą. Źródła konfliktu sowiecko-chińskiego tkwią w dawnych podbojach carskich i bezprzykładnej brutalności sowieckiej wobec innych krajów komunistycznych. Między państwami komunistycznymi trudno mówić o przyjaźni. Przeważa stosunek albo wzajemnej wrogości albo podporządkowania słabszego przez silniejszego. Jak dalece tzw. różnice ideologiczne niewiele miały wspólnego w konfliktach między Sowietami a Chinami — dowodzi stosunek do inwazji Czechosłowacji w roku 1968. Gdyby stosować tu kryteria ideologiczne, Dubczek w opinii chińskiego kierownictwa musiałby uchodzić za jeszcze bardziej niebezpiecznego rewizjonistę niż był nim w oczach Kremla. Logicznie więc Chiny powinny były poprzeć inwazję wojsk Paktu Warszawskiego. Niemniej Chiny postąpiły odwrotnie, piętnując imperializm sowiecki znacznie bardziej zdecydowanie niż to uczynił Zachód. Zrobiły to nie z miłości do Dubczeka i entuzjazmu dla „Praskiej Wiosny”, ale z nienawiści do imperializmu Rosji. Podobnie, choć znacznie łagodniej, wyraziła swą dezaprobatę Jugosławia i jeszcze ostrożniej, ze względu na swe bezpośrednie sąsiedztwo, Rumunia. W roku 1968 Tito pozbył się już z dawna resztek liberalizmu, którymi w latach ostrego konfliktu ze Stalinem kokietował Zachód. Zarówno on jak i Ceaucescu są obecnie wytrawnymi dierzymordami, przy których Gierek i Kadar mogli — przynajmniej do niedawna — uchodzić prawie za liberałów. Tak zwana „własna droga do socjalizmu” mogła doprowadzić do pluralizmu politycznego w wypadku Czechosłowacji, Węgier, a jeszcze wcześniej Polski, zanim nie stłumił go Gomułka przy poparciu aparatczyków i całej aprobacie Chruszczowa, który na pewno był zadowolony, że w tym wypadku obeszło się bez czołgów. Ta „własna droga do socjalizmu” w wypadku Rumunii i Jugosławii oznacza monopolistyczną władzę partii nad narodem, bez wtrącania się w wewnętrzne sprawy lokalnych Piłotowiczów. W jakiejś mierze czyni to zadość dezyde-

ratom dumy narodowej, zwłaszcza że kraje bałkańskie przywykłe były od wieków do rządów despotycznych. Ruchy więc odśrodkowe partii komunistycznych w imperium satelickim Sowietów lub na jego peryferiach mogą być ostatecznie tolerowane — tak jak w wypadku Rumunii i Jugosławii — pod warunkiem, że nie będą reformować swoich struktur w duchu pluralizmu i swobód, do czego zresztą ani sędziwy Tito ani względnie młody Ceaucescu nie zdradzają najmniejszej ochoty. Jeśli chodzi o Chiny, to oczywiście ich pozycja, ze względu na potęgę i potencjał ludnościowy, jest zupełnie szczególna. Chiny mogą być zniszczone przez Rosję, ale nie mogą zostać podbite.

Te wszystkie konwulsje, które wstrząsały obozem komunistycznym od chwili śmierci Stalina, musiały wywrzeć wpływ na postawę partii komunistycznych na Zachodzie. Stalin stworzył gmach oparty na fałszu i terrorze, ale mający jakąś wewnętrzną logikę, dającą sowieckiemu systemowi pozory trwałości, gdyż w ówczesnym społeczeństwie nikt nie odnajdywał sił, które mogłyby państwo stalinowskie rozsądzić od wewnątrz. Właśnie ta spoistość i żelazna konsekwencja przytłaczały tych, którzy w nim żyli, a urzekała innych. Działanie stalinowskiej struktury nie ograniczało się bynajmniej do milionów „zniewolonych umysłów”, żyjących w granicach imperium. Jej wpływ sięgał dalej i obejmował swym zasięgiem wielu ludzi z rozmaitych środowisk na Zachodzie, których terror stalinowski nie mógł osiągnąć. Nie łatwo pojąć te zjawiska, ale gdy pod wpływem przemówienia Chruszczowa na XX Zjeździe, obalającym pomnikową postać Stalina, nastąpiły krwawo tłumione ruchy rewolucyjne w Polsce i na Węgrzech, właśnie francuska partia komunistyczna przeżyła największy szok, godząc się z wielkim trudem i oporami na przyjęcie nawet tego nikłego rąbka przerażającej prawdy, którą ujawnił Nikita Chruszczow. Obecna — zreformowana po latach — sowiecka doktryna komunistyczna, poza uchynieniem stalinowskiej legendy i zerwaniem z masowym terrorem zachowała u podstaw wszystkie kłamstwa o demokracji, wolności i władzy ludu. System sowiecki nie został zliberalizowany na tyle, żeby zbliżyć go do Zachodu, ale przez usunięcie masowego terroru i złagodzenie metod policyjnych zliberalizowany został wystarczająco, aby obalić mit o nienaruszalności sowieckiego monolitu. Dzięki temu mógł się rozwinąć ruch dysydencki, utrzymywany przez władze bezpieczeństwa w pewnych granicach, ale który był nie do pomyślenia w epoce Stalina. Rozluźnienie terroru przyniosło jednak jedną ogromną korzyść, która równoważy z nadwyżką szkody powstałe z obalenia mitu. Przyniosło gigantyczny wzrost militarnej potęgi Rosji. Za czasów Stalina, niszczącego z maniacką pasją własną biurokrację i elitę techniczną, taki wzrost

potęgi sowieckiej był nie do pomyślenia. Gospodarka sowiecka kuleje i kuleć będzie dalej w nieskończoność, ale w pewnych wybranych działach osiągnęła imponujące sukcesy.

Jeśli imperium sowieckie znajduje swych klientów — a nie satelitów — na świecie, jeśli zbliżenia z Moskwą szukają tacy władcy czy prezydenci, o których Kremlowi nigdy się nie śniło, jest to następstwem nie politycznej atrakcyjności sowieckiego komunizmu, ale jego potęgi i postępującej słabości Zachodu, a w pierwszym rządzie Stanów Zjednoczonych. To właśnie słabość Stanów Zjednoczonych i potęgą sowiecka przyciągająca do nowego imperium klientów Trzeciego Świata, zaczyna przerażać partie komunistyczne Zachodu. Na luksus podziwiania państwa stalinowskiego mogły one sobie pozwolić wówczas, kiedy zbrojna potęga Sowietów nie groziła Zachodowi. Teraz karty zostały odwrócone. Nie tylko proporcją arsenałów, ale gotowością do ponoszenia ofiar. O tę gotowość do ponoszenia ofiar nikt się wprawdzie nigdy mieszkańców imperium sowieckiego nie pytał i w tym sensie po tamtej stronie nic się nie zmieniło, za to pytają się o to mieszkańcy Zachodu. Jaką dają odpowiedź dzisiaj — wiemy. Pragną pokoju. Skoro nie może to być „Pax Americana”, niechaj będzie „Pax Sovietica”.

Kluczowym zagadnieniem w nowych programach niektórych partii komunistycznych Zachodu — w pierwszym rządzie włoskiej i francuskiej — jest problem zdeklarowanego pluralizmu, który przekreśla tezę o tzw. dyktaturze proletariatu i stwierdza własną drogę do socjalizmu. Znaczna liczba przeciwników komunizmu określa ten nowy kierunek, a w szczególności tezę o pluralizmie, posunięciem taktycznym dla zdobycia przewagi wyborczej, zwłaszcza że poważny procent głosujących na partie komunistyczne Zachodu wyraża swymi głosami nie tyle pragnienie stworzenia w ich ojczyźnie ustroju sowieckiego, ale raczej zdecydowaną opozycję wobec istniejącego ustroju. Inni — twierdzą, że przemiany te odzwierciedlają naturalną ewolucję polityczną w partiach komunistycznych, zapoczątkowaną przed laty słynną tezą Togliattiego o policentryzmie w ruchu komunistycznym.

Choć — moim zdaniem — odrzucenie tezy o dyktaturze proletariatu i rozluźnienie (na razie jeszcze nie przekreślenie) związków z Moskwą odzwierciedla rzeczywisty stan umysłów partii komunistycznych Zachodu, to całą sprawę traktować należy w innej płaszczyźnie. Nie chodzi tu o ewolucję polityczną poglądów gór partyjnych na Zachodzie, ale o uświadomienie sobie roli partii w wypadku opanowania Europy Zachodniej przez Sowiety. Sprawa ta ma kilka ważnych aspektów. Przede wszystkim partie masowe od wielu lat przestały być tylko i wyłącznie

tym co nazywamy „organizacją polityczną”. Dotyczy to zarówno partii komunistycznych, jak i innych — nie-komunistycznych — w wolnym świecie. Partie komunistyczne w Europie Zachodniej przekształciły się w swego rodzaju koncerty, kontrolujące znaczną część związków zawodowych, mające własną centralną i lokalną prasę, rozbudowujące wiele przedsięwzięć, mających wzmocnić finanse partii oraz rozległą siatkę jej funkcjonariuszy. Pod tym względem te przemiany przypominają gigantycznie rozrośnięte partie Stanów Zjednoczonych, powiązane z bankami, światem przemysłowym i ruchem zawodowym³. Oczywiście istnieje tu jedna ważna różnica. Ponieważ racją bytu „partii politycznej” jest polityka, partie kapitalistyczne akceptują w zasadzie strukturę społeczną w której działają, natomiast partie komunistyczne, z racji swych założeń politycznych, muszą ją negować. W ten sposób legalnie działające masowe partie komunistyczne Francji i Włoch, które w życiu społecznym tych krajów urosły do roli prawdziwych gigantów — nie tylko politycznych, ale i gospodarczych — popadają w swoistego rodzaju wewnętrzny konflikt. Jako partie komunistyczne „sprzedawac” muszą „towar”, którym jest walka z systemem w którym istnieją, z którego negacji wyrosły i z którego czerpią życiodajne soki. Jeśli system ten przestanie istnieć to co je czeka? W odpowiedzi na to pytanie tkwi sedno całego zagadnienia.

Skoro rola satelicka nie dogadzała żadnej partii komunistycznej Europy Środkowo-Wschodniej, skoro przyjmowały ją tylko wówczas, gdy nie miały innego wyboru, trudno przypuszczać, aby dobrowolnie chciały ją przyjąć komunistyczne partie włoska lub francuska. Komunisci zachodni znają znacznie lepiej swych moskiewskich ex-przyjaciół niż naiwni, otumanieni pobożnymi życzeniami politycy Zachodu. Ci pierwsi nie mają żadnych złudzeń, tak jak nie mają ich Chińczycy. Nie wierzą w obłaskawienie Sowietów przy pomocy metod kissingerowsko-sonnenfeldtowskich. Penetracja sowiecka w coraz odleglejsze geograficznie terytoria, paraliż Europy, apatia Stanów — cały tragiczny obraz wolnego świata wywołują u nich zrozumiałe przerażenie. Dobrze było wychwalać pod niebiosy Stalina lub przekomarzać się przy-

3. Jest to zresztą powtarzający się w historii cykl zinstytucjonalizowania pewnych grup, które zrodziły się po to, by szerzyć takie czy inne ideały, a które w trybie ewolucji przekształciły się w gigantyczne organizacje o potężnych zapleczeniach materialnych. Organizacje tego typu — czy to będzie Zakon Krzyżowy, Partia Republikańska w Ameryce, Partia Komunistyczna w ZSSR lub we Francji — starać się będą zawsze o zachowanie swej ideowej „racji bytu”, ale ich praktyczna działalność podporządkowana będzie aktualnej „racji stanu”, którą zawsze jest istnienie i potęga organizacji jako takiej.

jacielsko z kapryśnym i awanturczym Chruszczowem, gdy jeden i drugi byli słabi w obliczu potęgi Stanów. Znacznie jednak mniej atrakcyjnie, a nawet wręcz groźnie wygląda dla przywódców partii komunistycznych Zachodu perspektywa quislingowskiego żywota i krótkotrwałego lokajstwa w podbitej przez Breżniewa lub jego następców Europie. Znając bowiem politykę Sowietów, nie mają wątpliwości, że nawet ta niechlubna rola w ich politycznych karierach miałaby krótki żywot. Że wkrótce zastąpiłiby ich nowi — bardziej zaufani pełnomocnicy Kremla, którzy w sytuacji podporządkowanej sobie Europie porzuciliby wszelkie polityczne ceregiele. Czymże byliby oni wobec wielkorządców moskiewskich, jeśli się porówna ich obecne role polityków, mających za sobą milionowe masy, kontrolujących związki zawodowe, wywierających doniosły wpływ na rządy? W tej sytuacji nie mogą pragnąć takiej odmiany, która w najbliższej perspektywie zmiotłaby ich z powierzchni. Na luksus tworzenia własnego totalitarnego mocarstwa, z możliwością wycofania się w każdej chwili, może sobie pozwolić Fidel Castro, mający pod bokiem jedyną materialną potęgę, mogącą wciąż jeszcze mierzyć się z Sowietami. Gdyby zawisła nad nim zguba, to jeśli nie on, to jego następcy nie zawahaliby się prosić o pomoc imperialistyczną Amerykę. W tej sytuacji nie jest ani Francja ani Włochy, których nie oddziela od Moskwy ocean i które mieszczą się w centrum zainteresowań Moskwy.

Rzecz jasna, że ta konfliktowa sytuacja, w jakiej znalazły się zachodnie partie komunistyczne — które lękają się jak zarazy „wyzwolenia Zachodu” przez Sowiety — nie pozwala im jeszcze ani na całkowite i jawne przekreślenie tego wszystkiego co przez ponad pół wieku głosiły, ani na ostateczne i gwałtowne zerwanie z Moskwą. Ale proces ten został zaczęty i to w sposób bardziej drastyczny niż można było oczekiwać. Nieobecność Marchais i przemówienie Berlinguera na ostatnim zjeździe KPZS były wystarczające niedwuznaczne. Nie ma też wielkiego znaczenia rodzaj krytyki skierowanej pod adresem Moskwy, tak jak nie ma znaczenia co w sprawach doktrynalnych zarzuca Pekin Moskwie i odwrotnie.

Sednem sprawy jest rosnący konflikt i obawa zachodnich partii komunistycznych przed opanowaniem Zachodu przez Sowiety. Z tego powodu, w swoim dobrze rozumiałym interesie, te dwie najpotężniejsze komunistyczne partie zachodniej Europy pragną obecnie nie tylko zachować NATO, ale włączyć w nie nowe życie. Sytuacja ta jest tylko pozornie paradoksem. Nie trzeba było być w dawnych latach komunistą, aby rozsądzać NATO i osłabiać obronę Europy. Czynił to niezwykle skutecznie zdekla-

rowany antykomunista gen. de Gaulle. Gdyby de Gaulle był politykiem o głębokim poczuciu realizmu, nie zadałby w czasie swej warszawskiej wizyty w roku 1967 Gomułce i Cyrankiewiczowi pytania: „Skoro ja wyzwoliłem Francję z dominacji Ameryki, dlaczego wy nie możecie uniezależnić się od ZSSR?”. Gdy pytanie to usłyszał Gomułka, początkowo kompletnie zbaraniał, ale wprędce nabrawszy oddechu wydukał krótkie przemówienie o wierności i miłości dla Związku Sowieckiego. Cyrankiewicz — jak utrzymują naoczni świadkowie owego osobliwego spotkania — nie odpowiedział nic, ale jego apoplektyczna twarz napęczniała jeszcze bardziej. Nie z oburzenia, ale z tłumionego śmiechu. De Gaulle niczego, zdaje się, nie rozumiał z owej wizyty. Obrażony, postanowił Europę Wschodnią lekceważyć, czemu dał wyraz w chwili inwazji wojsk Paktu Warszawskiego na Czechosłowację. Ten wielki człowiek przeżywał ustawicznie złudzenia — na równi z partiami komunistycznymi Zachodu — tylko, że odwrotne. De Gaulle stale podejrzewał USA o ekspansjonizm, który grozi w pierwszym rządzie Francji, nawet wówczas, gdy Ameryka stawiała się już cieniem własnej potęgi. Inaczej — komuniści francuscy. Nie mieli żadnych wątpliwości co do Sowietów, za to długo hodowali złudzenia, że przed ewentualną inwazją rosyjskich przyjaciół ochronią Zachód gwarancje militarne Ameryki i połączone armie zagrożonej Europy. Obecnie wyzbyli się wszelkich złudzeń. A więc partie komunistyczne Europy Zachodniej mają bronić jej przed Sowietami? Tak jest. I nie ma w tym żadnego paradoksu. Tak jak nie ma paradoksu w ustawicznych perswazjach, a ostatnio niemal błaganiach ChRL pod adresem Ameryki, aby przestała praktykować samobójczą śmierć na raty pod nazwą *détente* i spojrziała tragicznej prawdzie w oczy.

W tej sytuacji wnioski są jasne. Dywersji antysowieckich partii komunistycznych Zachodu nie należy bagatelizować. W obliczu wspólnego niebezpieczeństwa sowieckiego mogą one stać się rzeczywistym sojusznikiem Zachodu. Zmysł polityczny komunistów — tych, którzy biorą rozwód z imperium sowieckim — jest lepiej wyostrzony od producentów Pepsi Cola i fabrykantów amerykańskiej technologii, których możliwości przewidywania ograniczone są terminami kredytów i wysokością spodziewanych zysków.

Jak wobec tego w opisanych przeze mnie warunkach należy odnieść się do przestroż dr. Kissingera, który oświadcza, że udział zachodnich partii komunistycznych w rządach krajów NATO jest nie do pogodzenia z założeniami i celami Paktu? Jak wiadomo, ideą NATO nie była walka z komunizmem jako ruchem politycznym, ale ochrona Europy i Ameryki przed agresją sowiecką.

Postulat zmęczonego Sekretarza Stanu świadczy o nierozumieniu dynamicznych zmian w światowym ruchu komunistycznym w kontekście sowieckiej potęgi.

Ustępliwość wobec Sowietów idzie u niego w parze ze schematyzmem w rozumieniu wszystkich złożonych implikacji, jakie wynikają z imperializmu sowieckiego wobec świata Zachodniego, aspiracji Chin i ruchów społecznych, których wciąż potężnym motorem jest marksizm. Dr Kissingerowi i całej czeredzie polityków, zarówno ze skrzydła tych, którzy zalecają nieustępliwość jak i tych którzy są zwolennikami *détente*, brak jest elastyczności i umiejętności szybkiego dostosowywania się do nowo powstałych historycznych zakrętów, na których znalazł się świat. Ludzie ci są jak generałowie, tkwiący w okowach przestarzałych doktryn wojskowych, niezdolni do stosowania nowej strategii w zaskakujących ich sytuacjach. W omawianym przeze mnie wypadku ich formuła jest prosta: ponieważ partie komunistyczne Zachodu przez 25 lat, od chwili powstania NATO zwały go zażarcie, nie można dopuścić myśli, że może nastąpić zwrot o 180 stopni. Tymczasem właśnie historia ruchu komunistycznego zna takie zwroty.

Talent Kissingera zabłysnął w pełnym blasku gdy sytuacja wymagała szybkich i doraźnych posunięć, co przy umiejętnościach perswazji i zdolności manewrowania wielorakimi atutami dawało imponujące wyniki. Sekretarz Stanu potrafił świetnie zażegnawać i odraczać kryzysy, ale rozwiązać żadnego z nich nie potrafił. I tu tkwi główna słabość jego krótkotrwałych posunięć. Ludzie, pełniący funkcje Kissingera, nie powinni historii łątać. Powinni ją tworzyć⁴.

Ostrzeżenie pod adresem Włoch i Francji, by nie dopuściły komunistów do udziału w rządach, wywołało rozdrażnienie u francuskich i włoskich wyborców, wśród których ani Ameryka ani w szczególności dr Kissinger nie cieszą się dużą popularnością. Skutek więc może być odwrotny od zamierzonego. Cokolwiek jednak nastąpi, rygorystyczna postawa, wykluczająca zachodnie partie komunistyczne od udziału w rządach, motywowana troską o NATO, może tylko opóźnić rozwijającą się frondę między nimi a Moskwą. Zamiast dążyć do pogłębienia rozłamów i przyspieszenia procesu socjaldemokratyzacji zachodniego komunizmu — do którego niewątpliwie on zmierza, rząd Stanów

4. Nikt trafniej nie scharakteryzował polityki Kissingera jak b. szef operacyjny Marynarki Wojennej Stanów Zjedn. Elmo Zumwald, który powiedział, że: „dr Kissinger posiada niezwykłą umiejętność ukazywania strategicznych klęsk jako taktycznych sukcesów”.

Zjednoczonych popycha komunistów z powrotem w objęcia Moskwy.

Ale o tych wszystkich sprawach powinien wiedzieć wytrawny znawca dziejów ludzkich dr Kissinger. Dlatego trafnie się sądzi, że źródłem polityki Kissingera i jego przyjaciół jest głęboki pesymizm jeśli chodzi o przyszłość świata zachodniego. Temu pesymizmowi w wielu wywiadach, udzielanych zagranicznym dziennikarzom, Kissinger nie przeczył. Jego fatalizm w ocenie przyszłości Zachodu, którym podszyty jest niemal każdy jego krok, doprowadza do tego, że gotów jest okupić za wszelką cenę jeszcze kilka wątpliwych lat, w czasie których Amerykanie mogliby spokojnie jeździć na wakacje, oglądać mecze, upajać się wyborami prezydenckimi i tymi czy innymi skandalami. Ta właśnie troska dyktuje mu zapewne unikanie wszystkiego co może wywołać rozdrażnienie, a zwłaszcza panikę u sowieckiego „adwersarza”. Nie jestem pewien czy nie z tego właśnie powodu, (a nie z racji błędnie rozumianej troski o losy NATO) nie życzy sobie Kissinger udziału komunistów w rządach Włoch i Francji. W każdym razie zagadkowe na tym tle jest oświadczenie Sekretarza Stanu, który przyznał, że Europa Zachodnia pod władzą komunistów byłaby „kłopotem zarówno dla nas jak i dla ZSSR, który prawdopodobnie wcale nie pragnie, by komuniści zachodni objęli w zachodniej Europie rządy⁵”. Jeśli tak — to Kissinger, znający dzieje komunizmu, powinien zastanowić się dlaczego. Jakich to „komunistów” lęka się Moskwa? Czy nie takich, którzy forsując nową wersję socjalizmu, bardziej dostosowaną do tradycji i historii Europy mogą zagrozić jej panowaniu nad światem?

Tam gdzie dr Kissinger występuje z propozycjami zahamowania sowieckiego imperializmu — jak to miało miejsce w wypadku Angoli — odnosi się wrażenie, że Sekretarz Stanu czyni to dla okazania swego antysowieckiego alibi. Jakież bowiem znaczenie mogło mieć przyznanie antysowieckim frakcjom w Angoli, spóźnionej o wiele miesięcy, 30-stomilionowej pomocy wobec nieprzerwanego strumienia sprzętu wojskowego, płynącego z portów sowieckich i korpusu ekspedycyjnego armii kubańskiej?

Podobny skutek i sens mają powtarzane od czasu do czasu puste antysowieckie pogroźki które, jak papiery bez pokrycia, wywołują tylko pobłażliwy uśmiech na Kremlu, obniżając jeszcze bardziej autorytet Ameryki wśród tych krajów, w których nie osiągnął on jeszcze poziomu absolutnego zera. To, co czynią i głoszą Kissinger i Sonnenfeldt, nie zasługuje na nazwę „gry

5. „Summary of Kissinger speech to U.S. Ambassadors”, *New York Times* z 7. IV. 1976.

na zwłokę", ponieważ gra na zwłokę implikuje odczekanie złej passy i stawienie czoła przeciwnikowi w korzystniejszych warunkach. Sekretarz Stanu nie przewiduje jednak żadnych okoliczności, które postawiłyby Amerykę w sytuacji mniej beznadziejnej, niż pozostaje ona obecnie.

Departament Stanu, a wraz z nim amerykański Kongres, przy aprobacie znacznej części opinii publicznej i niezliczonych głosach sprzeciwu przytomnych w tym kraju ludzi, walczą tylko o zwłokę przed nieszczęściem, bez żadnej określonej perspektywy odwrócenia obecnego rozwoju wydarzeń. Żadna cena nie jest zbyt wysoka za uzyskanie tej prolongaty. Jeśli chodzi o Europę Wschodnią, nie mają już niczego więcej Sowietom do ustąpienia, bo wszystko już ustąpili. Wytrwale więc szukają jakiegoś gestu, który by Sowietom ukazał ich maksymalną pojednawczość przekraczającą nawet oczekiwania przywódców KPZS. Wezwanie dr. Sonnenfeldta, aby uczynić związki pomiędzy ludami podbitymi a Sowietami bardziej „organicznymi” — nie zaś opartymi wyłącznie na sile, służą właśnie temu celowi⁶.

Teza, a raczej postulaty dr. Sonnenfeldta, przesyczone hipokryzją, zawierają co najmniej dwa kłamstwa. Hipokryzja — to rzekoma troska o to, aby ludy podbite korzystały z większej autonomii w obrębie imperium, co — jak wzmiankuje Sonnenfeldt — ma miejsce w wypadku Polaków. Ci — jak konstatuje optymistycznie Sonnenfeldt — „przełamali swoje romantyczne skłonności, które w przeszłości sprowadziły na nich nieszczęścia”. Sonnenfeldt „troszczy” się więc o inne narody. Z Polaków i Węgrów jest raczej zadowolony, co właśnie powinno napełniać nas i ich niepokojem. Pierwsze kłamstwo Sonnenfeldta — to twierdzenie, że panowanie Sowietów nad narodami Europy Wschodniej oparte jest wyłącznie na sile. Tak było za okupacji Hitlera, który tępił i prześladował Polaków, ale zgodnie z ideologią „Herrenfolku” nie próbował ich przemodelowywać według swych rasistowskich wzorów. Sowiety obecnie nie niszczą ludów podbitych biologicznie. Niszczą narody — zostawiają ludzi. Dotyczy to nie tylko Europy Wschodniej. Ofiarą tej terapii padają wszystkie narody w ich sferze panowania, nie wyłączając Rosjan. Pomiędzy Polakami a sowiecką władzą tak samo nie ma „organicznych” związków jak między Rosjanami a KPZS. Jeśli ktoś o tym nie wiedział, pouczył go Aleksander Sołżenicyn — wróg

6. Oświadczenie p. Sonnenfeldta brzmiało celowo bałamutnie, żeby ukryć jego właściwy sens. Później słowo „organiczne” zastąpione zostało przez „historyczne”. Sens jednak tzw. doktryny Sonnenfeldta w wykładni Departamentu Stanu, opublikowanej 6 i 7 kwietnia przez *New York Times*, pozostaje ten sam.

nr 1 Ameryki Kissingerów, Sonnenfeldtów, Fordów i Fulbrightów. Drugie kłamstwo Sonnenfeldta — to obawa, że owe „nienaturalne stosunki ludów Europy Wschodniej z sowiecką władzą prędzej czy później doprowadzą do wybuchu III-ej wojny światowej”. Argumentacja Sonnenfeldta jest wręcz zdumiewająca, ponieważ nadmienia on, że „konflikt między ludami Europy Wschodniej a Sowietami może zakłócić równowagę sił na świecie i w ten sposób zagrozić interesom USA”. A zatem stwierdza wprost i bez ogródek, że w interesie Ameryki jest obecny stan poddaństwa ludów w imperium sowieckim i że wszelkie zmiany byłyby na równi zagrożeniem interesów sowieckich jak i amerykańskich.

Nic bardziej nie mogło udelektować Sowietów od tzw. „doktryny” Sonnenfeldta, która jest niczym innym jak dopełnieniem „doktryny Breżniewa”. Tym apelem do całkowitego poddaństwa, skierowanym pod adresem ludów satelickich, Sonnenfeldt pragnie wyprosić od Moskwy dodatkową chwilę oddechu⁷.

Jeśli poprzednio zacytowaną przeze mnie uwagę dr. Kissingera, iż władza komunistów nad Zachodnią Europą może być kłopotem nie tylko dla Ameryki, ale i dla Sowietów, zestawi się z obawą Sonnenfeldta, by ruchy rebelianckie ludów satelickich nie zachwiały równowagi świata doprowadzając do wybuchu III-ej wojny — wówczas nasuwa się końcowa przygnębiająca konkluzja. Pomijając całkowicie krytykę układu w Helsinkach w prasie i w Kongresie — dokonano dalszego aktu kapitulacji. Ameryka usuwa spod nóg Sowietów wszelkie kamienie na Wschodzie i na Zachodzie, mogące być przeszkodą na ich drodze do podporządkowania sobie świata.

Przy całej materialnej potędze i potencjalnych możliwościach obrony Ameryka zachowuje się jak skazaniec w celi śmierci — gotowa jest kosztem wszystkich swoich przyjaciół, współników i klientów wyjednać łaskę u oprawcy albo przynajmniej odwlec chwilę egzekucji.

Już teraz wiemy — *Komu bije dzwon.*

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 1 maja 1976 r.

7. Gwoli prawdy należy stwierdzić, że polemizując ze swym oponentem Ronaldem Reaganem w jednym ze swoich wystąpień wyborczych Gerald Ford dość nieoczekiwanie stwierdził, że Ameryka wspiera aspiracje wolnościowe ludów Europy Środkowo-Wschodniej. Było to krótkie i lakoniczne oświadczenie, którego już więcej nie powtórzył publicznie. Tym mniej nie zadał sobie trudu wyjaśnienia słuchaczom w jaki sposób jego stanowisko da się pogodzić z oficjalnymi oświadczeniami jego najbliższego współpracownika i twórcy polityki zagranicznej — Kissingera.

Widziane z Brukseli

GDZIE JEST JEDENASTY ROSJANIN?

„No a teraz, moi panowie, nieco sobie popływamy”. Słowa te należy potraktować poważnie — dosłownie i w przenośni. Wypowiedział je prezydent Finlandii Kekkonen w pewien październikowy dzień roku 1961. Piknikował właśnie w czarownym pejzażu wysp hawajskich, wypoczywając w przerwie męczącej podróży po USA, kiedy jeden z sekretarzy powiedział: „Panie Prezydencie, telefon z Helsinek”.

Co u czorta, wypocząć nie dadzą, zaklął w duchu po fińsku prezydent po czym dystyngowanie ujął słuchawkę i powiedział „hallo”. Po chwili wszystko było jasne. Spokój tropików bezpowrotnie minął. Kiedy w 1962 r. wybuchnął tzw. kryzys karaibski, Chruszczow sypiał w gabinecie na Kremlu, całkowicie ubrany. „Chcę uniknąć, mawiał, sytuacji polityka, którego kryzys zaskakuje w gaciach”. Kekkonenowi się to nie udało, kryzys zaskoczył go w majtkach kąpielowych. Kryzys, albowiem to czego Kekkonen przez telefon wysłuchał, to był tekst noty rządu sowieckiego, przekazanej kilka godzin wcześniej ambasadorowi fińskiemu w Moskwie. W dokumencie tym, przypominającym bardziej ultimatum niż notę dyplomatyczną, Kreml żądał przeprowadzenia w trybie nagłym „konsultacji wojskowych” przewidzianych przez fińsko-sowiecki układ o przyjaźni i wzajemnej pomocy z roku 1948. Musimy, mówił Kreml, skoordynować naszą akcję, niezbędną w obliczu „zachodnio-niemieckiego zagrożenia dla pokoju w Europie”. Innymi słowy chodzić mogło o bazy wojskowe, logistyczne itd... Nota brzmiała tym groźniej, że kryzys berliński sięgał szczytu, a tego samego dnia Rosja eksplodowała swą najnowszą 50-megatonową zabawkę atomową.

Finlandia znowu znalazła się na pierwszych stronach gazet. „Jeszcze jeden bezbronny kraj demokratyczny pada ofiarą sowieckiej zachłanności przy całkowitej obojętności świata”, napisał *New York Times*. Pewien dziennik szwedzki wysłał nawet specjalną ekipę dziennikarską na wschodnią granicę Finlandii, aby nie przegapić, broń Boże, nadejścia sowieckich czołgów.

„Panowie, no to teraz sobie popływamy”, powiedział więc Kekkonen. I popłynął. Dosłownie i w przenośni. Dosłownie, to znaczy stylem klasycznym, dostojnym, niemęczącym, przez wody Pacyfiku. I stylem fińskim, ostrożnym choć ryzykownym, przez wody rzeki Moskwa. Zanim Kekkonen zanurzył swe prezydenckie ciało, wydał kilka poleceń. *Primo*, nie przerywamy podróży i udajemy się, zgodnie z planem, na manewry *marines*ów w Kalifornii. *Secundo*, minister spraw zagranicznych

uda się do Moskwy aby przekazać Kremlowi odpowiedź Kekkonena. Finlandia, mianowicie, nie odrzuca brutalnie noty sowieckiej, ale nie przyjmuje do wiadomości argumentu o zagrożeniu zachodnio-niemieckim. „Niech Pan im spokojnie wytłumaczy, że „konsultacje wojskowe” są zbędne i błędne, bo nie chodzi o konflikt, w który Finlandia jest wplątana, a tylko o konflikt między super-wielkimi, od którego Finlandia stroni i na zewnątrz którego, jako kraj neutralny i Rosji życzliwy, chciałaby pozostać. Rosja, i tak już pogrążona w super-wielki konflikt nic nie zyska na rozwaleniu skandynawskiego *status quo*, a tym przecież musiałyby się skończyć wszelkie naruszenie czy nadużycie neutralności Finlandii. I niech Pan doda, że skłonny jestem to wszystko osobiście Chruszczowowi wytłumaczyć”.

Od Hawai do Nowosybirsk

Miesiąc później i 20.000 km. dalej niebo się rozjaśniło. 24 listopada 1961, Kekkonen spotkał się z Chruszczowem nie na Hawajach, a wprost przeciwnie, w Nowosybirsku. „Była to najtrudniejsza podróż w mojej karierze”, zanotował wówczas Kekkonen. Ale się udało. Po 24 godzinach Chruszczow wycofał żądanie „konsultacji”. Oczywiście nie za darmo, a za ponowne, uroczyste osobiste proklamowanie ścisłej neutralności Finlandii.

Co to jest ścisła neutralność Finlandii? To jest coś w rodzaju „absolutnego problemu chińskiego”, tak jak go widział Lejzorek Rojtszwaniac. Nie ma dokładnej definicji tego typu neutralności. „Chodzi tu, mówią fachowcy z Helsinek na użytek ignorantów z Zachodu, o politykę absolutnie wrażliwą na to wszystko co, tak w dziedzinie zagranicznej jak i krajowej, mogłoby w granicach terytorium Finlandii zagrażać najogólniej pojętemu, a więc nie tylko wojskowemu, bezpieczeństwu ZSSR”.

W chwili kiedy ta definicja została po raz pierwszy sformułowana, nowe słowo weszło do światowego słownika politycznego. „Finlandyzacja” rozpoczęła swą błyskawiczną karierę.

Kekkonen nie jest pierwszym prezydentem Finlandii, który musiał i umiał rozmawiać z Rosjanami, a Nowosybirsk nie jest jedynym miejscem, gdzie się takie rozmowy odbywały. Sam Kekkonen miał ich już coś około trzydziestki, na wszystkich szerokościach geograficznych ZSSR i Finlandii, z kolejnymi trzema sowieckimi carami.

W 1939 roku, Stalin, który dzięki Hitlerowi był już właścicielem trzech republik bałtyckich, wzywa Finów do Moskwy i tak do nich mówi: „Ja znam życie i wiem, że mój pakt z Hitlerem nie jest wieczny. On w końcu zaatakuję nasz kraj, a żaden atak na nas nie może nie przejść przez wasze terytorium. Potrzebujemy więc u was baz, aby się przed tym bronić”. Finowie poprosili o czas do namysłu, wrócili do domu i zapytali o zdanie sojuszników zachodnich. Ledwo te wielkie demokracje miały

czas na udzielenie Finom zbawiennym i bezinteresownych rad i zaleceń ostrożności („ich odwaga była odwrotnie proporcjonalna do oddalenia od granic sowieckich”, zanotował wówczas kronikarz) a już bomby sowieckie leciały na Helsinki. Wybuchła wojna 1939-1940. Sto pięć dni później Finlandia utraciła terytorium większe, niż to jakiego Stalin przed wojną żądał, ale stało się tak w wyniku krwawej wojny i przemocy, a nie drogą monachijskiej kapitulacji. Mimo przegranej wojny Finlandia pozostała krajem suwerennym i wysnuła z tego dwa wnioski.

- 1) O niepodległość trzeba się bić w każdych warunkach.
- 2) Trzeba mieć poczucie rzeczywistości i poczucie odpowiedzialności.

Lekcja ta przydała się prawie natychmiast. Finlandia bowiem, jak wszystkim wiadomo, przystąpiła do wojny u boku Hitlera. Ale była to bardzo dziwna wojna. Po pierwsze, mimo obecności ponad 200.000 żołnierzy hitlerowskich na ziemi fińskiej, Finlandia nigdy nie stała się satelitą III Rzeszy, nie zaakceptowała nazizmu, nie zmieniła w zasadniczy sposób swych tradycyjnych instytucji, mimo ostrych presji nie prześladowała np. swoich Żydów. Po drugie, prowadziła własną wojnę. Odmówiła udziału w ofensywie Wehrmachtu na Leningrad czy na Murmańsk.

Rachunek był niemniej słony. W 1944 roku Finlandia uzyskuje zawieszenie broni, ale traci dziesiątą część terytorium, pomaga wyrzucić Wehrmacht, który w odwrocie niszczy całą Laponię, zobowiązuje się do wypłacenia 300 milionów dolarów (kurs 1938) odszkodowania, grzebie 90.000 zabitych — liczba ogromna jak na 5 milionowy naród, wchłania mimo zrujnowanej gospodarki 400.000 uchodźców z oddanej Sowietom Karelii. Ale, jak to prawidłowo sformułował Mołotow: „Wy, Finowie, możecie się uważać za szczęśliwych, wy nie ponosicie kosztów naszej okupacji”.

Mołotow miał rację! To był cud. Mimo swej „równoległej wojny”, Finlandia jest, obok Anglii i Rosji, jedynym europejskim uczestnikiem (i to uczestnikiem zwyciężonym) drugiej wojny światowej, który ani przez chwilę nie był naprawdę okupowany przez obce wojska. Jest to okoliczność ważna, to jedynie dzięki niej Finlandia zachowuje niezależność i może, bez wstrząsów, i bez zmiany swych podstawowych instytucji, dokonać przejścia do okresu powojennej odbudowy. Rząd w Helsinkach nie stracił ani na chwilę kontroli nad krajem. Polakom może się to nie podobać, ale ani jedna „kolaborancka” głowa nie spadła. Ryti — prezydent formalnie odpowiedzialny za wojnę antysowiecką — skazany został na 10 lat więzienia, i to tylko dlatego, że przewidywał to traktat pokojowy podpisany w Paryżu. Kiedy jednak Ryti zmarł urządzono mu pogrzeb na koszt państwa z wszystkimi honorami, a przemówienie żałobne wygłosił... Kekkonen, który nie zawahał się powiedzieć, że „wszystko co Ryti zrobił było w interesie Finlandii”.

Najpierw zaufanie, potem dobrobyt

„To co nas pasjonuje, to odpowiedź na pytanie dlaczego Stalin pozwolił Finlandii utrzymać niepodległość”. Nie była to — jak wynika z ostatnio ogłoszonych wspomnień kilku niewiast — jedyna pasja Johna Kennedy'ego, prezydenta USA, ale właśnie on skierował to pytanie do Maxa Jacobsona, ówczesnego delegata Finlandii w ONZ. Nie wiem co Jacobson odpowiedział, historia często notuje głupie pytania wielkich ludzi, a pomija mądre odpowiedzi. Dla mnie jednak istnieje tylko jedna odpowiedź rzeczowa i poważna. To był cud, jak już powiedziałem. Tak — odpowiadają na to historycy — prawdziwi materialści wierzą w cuda, ale cuda się nie powtarzają, nawet w Izraelu, a cóż dopiero w Finlandii.

Nie powtarzają się? No to posłuchajcie. 23 lutego 1948 roku, w godzinie komunistycznego puczu w Pradze, do Helsinek nadchodzi z Moskwy list. Podpisany jest przez Józefa Stalina. Jest to zwyczajne ultimatum. Ojciec narodów proponuje bowiem Finlandii zawarcie traktatu o przyjaźni „takiego samego, jaki zawarliśmy z Rumunią i Węgrami”. Wszyscy zrozumieli. Gustowne porównanie do Rumunii i Węgier, które właśnie zdychały po rosyjskim pocałunku śmierci, oznaczało wyrok śmierci. *Finis Finlandiae*. Zachód znowu nie szczędził bezinteresownych rad: raczej ustąpcie, wszystko lepsze od wojny, to zwyczajni chuligani, ale my wam pomóc nie jesteśmy w stanie.

Prezydent nazywał się wtedy Paasikiwi. Historia milczy na temat co Paasikiwi zrobił po przeczytaniu noty Stalina. Nie wiadomo więc, czy poszedł się kąpać jak Kekkonen, czy też, jak każdy normalny Fin, poszedł do sauny, wiadomo tylko, że powiedział: skapitulować zawsze zdążymy, przedtem spróbujmy stylu fińskiego.

Sześć tygodni później, po niesłuchanie zrećnie prowadzonych rokowaniach, podpisany został w Moskwie traktat fińsko-sowiecki. Ale ani na wzór rumuński ani na wzór węgierski. Wzór jest fiński. Nie proklamuje on satelickiego sojuszu wasalo-służebnego, nie narzuca przywódców ani konstytucji, nie każe łączyć partii a stanowi porozumienie o bezpieczeństwie, zawarte przez dwa sąsiadujące ze sobą, równe i niezależne państwa.

Oczywiście, nie zawracajmy sobie głowy. Rosja, w tym układzie była jak u Orwella, bardziej równa i bardziej niezależna od Finlandii. Układ z 1948 roku, który po mniej lub bardziej uroczyście przedłużeniach, ważny jest do dziś, choć istotnie zagwarantował Finlandii niepodległość i życie w takim ustroju, jaki naród fiński w wolnych wyborach co jakiś czas, sobie wybiera, zakłada spore koncesje i poświęcenia. Dysproporcje są zbyt wielkie, samotność Finlandii wobec kolosa ze wschodu zbyt przytłaczająca, aby mogło być inaczej.

W 1948 roku zrujnowana i wykrwawiona Finlandia odrzuca plan Marshalla. „To wariactwo”, krzyczą gazety. Ale Jacobson

spokojnie tłumaczy: „W owej chwili musieliśmy dokonać wyboru i przedłożyliśmy zaufanie Moskwy nad dobrobyt w kraju. Wszystkie więzy łączyły nas z Zachodem, ale musieliśmy w każdy możliwy sposób redukować nieufność Moskwy”.

W 1956 roku ledwo co przyjęta do ONZ, Finlandia przechodzi straszną próbę. Na przekór kolosalnemu i absolutnie jednomyślnemu oburzeniu w kraju, delegat fiński wstrzymuje się od głosu nad rezolucją potępiającą sowiecką pacyfikację Węgier. „W naszej ówczesnej sytuacji — tłumaczy mi jak dziecku pewien dyplomata fiński — nie mogliśmy sobie pozwolić na sentymenty, choć nie muszę Panu opowiadać co czuł przeciętny Fin wobec krwawej jatki w Budapeszcie”.

Finlandia staje się dziwakiem międzynarodowej dyplomacji. Odmawia wszelkiej pomocy, której źródła czy intencje mogą się Moskwie wydać podejrzane. Rusk, były minister Spraw Zagranicznych u Kennedy'ego do dziś nie może wyjść ze zdumienia. „Kekkonen — mówi — był jedynym politykiem, który o nic nie prosił i który wyciągał dłoń tylko po to, aby uścisnąć moją!”. Finlandia, to pierwszy kraj niekomunistyczny, który uznał obie republiki niemieckie, ale który uznając Wietnam Północny, zignorował Południowy. „No i mieliśmy rację, sam Pan widzi” — powiada cynicznie kolega z Helsinek. Kekkonen staje się nawet apostołem sowieckiego projektu strefy bezatomowej w Skandynawii. Robi to z tym większym entuzjazmem, że wie, iż jest to projekt absolutnie nierealny, zakłada bowiem wyjście Norwegii i Islandii z NATO.

Wybory zdalnie kierowane

W 1972 roku parafowany zostaje w Brukseli układ między Finlandią a EWG. Nic bardziej logicznego. Ale to tylko parafa, do podpisu daleko, Moskwa się nie godzi, fińska kompartia rozpętuje kolosalną kampanię przeciw EWG „orężowi monopoli i antykomunizmu”. Tylko Kekkonen jest spokojny. Ja to załatwię, mówi. Załatwianie trwa 15 miesięcy. Moskwa się godzi, ale pod trzema warunkami. Po pierwsze układ z EWG ulegnie zawieszeniu, gdy tylko okaże się, że szkodzi stosunkom Finlandii z ZSSR. Po drugie, Finlandia podpisze podobny układ z RWPG. Rokowania prowadzi syn Kekkonena, a Finlandia staje się pierwszym krajem niekomunistycznym formalnie związanym z RWPG. Po trzecie..

To po trzecie wyszło na jaw znacznie później. Ujawnił to dziennik nie fiński a szwedzki. Bomba wybuchła w październiku 1972, kiedy szwedzki *Dagens Nyheter* opublikował dokładne sprawozdanie z tajnych rozmów Kekkonena z Breżniewem, sprawdzonych w dacy pod Moskwą. Wynikało z tego sprawozdania, że trzecim warunkiem zgody Moskwy na układ Finlandii z EWG było zobowiązanie się przez Kekkonena do narzucenia parlamentowi poprawki konstytucyjnej, umożliwiającej mu po-

nowny wybór na prezydenta i osobiste, w ten sposób, zagwarantowanie ciągłości neutralnej polityki Helsinek. Szum był olbrzymi, Kekkonen nie zdementował, trzech ministrów socjalistycznych oskarżonych zostało (ale nie skazanych) o złamanie tajemnicy państwowej. Mniejsza o szczegóły, ważne, że w styczniu 1973 Kekkonen został wybrany prezydentem, a układ z EWG podpisany.

— Czy to Pana nie dziwi? Wy, Szwedzi, tak szalenie wrażliwi na waszą neutralność, że już nie widzicie różnicy między USA a ZSSR, patrzycie bez protestu, a nawet zdziwienia jak u waszego najbliższego sąsiada prezydent zostaje wybrany w zdalnie kierowanych wyborach. Gdzie, według was, powinna kończyć się ingerencja Moskwy w sprawę Finlandii? Czy to nie za wysoka cena, nie mówiąc już o precedensie?

Siedzę w gabinecie naczelnego redaktora dużego szwedzkiego dziennika. Nie należy się memu pytaniu dziwić, jak wszyscy szwedzcy fachowcy od polityki, mój rozmówca jest dokładnie zorientowany w stanie zdrowia Finlandii, stanowiącej coś w rodzaju państwa buferowego między Szwecją a ZSSR. W odpowiedzi usłyszałem dość dokładny wykład real-polityki model Skandynawia 1976.

— Pan zapomina — drogi kolego — że tylko Finlandia wysłała cało z Jałty. Roosevelt i Churchill zgodzili się ze Stalinem, że Rosja ma prawo mieć za sąsiadów narody zaprzyjaźnione, demokratyczne i niezależne. Gdzie są te kraje? Ani zaprzyjaźnione, ani demokratyczne, ani niezależne. Wy, na Zachodzie, patrzycie Finlandii na ręce (popatrzcie raczej na własne) ale zapominacie, że ze wszystkich sąsiadów Rosji, tylko Finlandia uniknęła satelizacji. Niech Pan nie zapomina, że Stalin odzyskał (nie mówiąc już o nowych zdobyczach) wszystkie utracone przez rewolucję 1917 roku tereny z wyjątkiem Wielkiego Księstwa Finlandii...

— A dlaczego, jak Pan to tłumaczy — pytam — tylko niech mi Pan nie mówi o cudach.

— My tu w cuda nie wierzymy, za daleko do Boga, za blisko do Rosji. Fińska operacja polega nie na cudach, a na rzeczowej dyplomacji oraz na charakterze i inteligencji przywódców, a także, jeżeli nie przede wszystkim, na widocznej i nie ulegającej kwestii determinacji bicia się w razie co... Oczywiście, niezbędna jest umiejętność lawirowania, spora doza cynizmu, a co za tym idzie nieuniknione są koncesje. Wbrew pogłodom niektórych polityków z krajów satelickich taka mieszanek zdolna jest Moskwę przekonać, a nawet ostudzić. Tak chyba myślał Tito w 1948 roku...

Dwie strony medalu

Tak to wygląda ze Sztokholmu, gdzie można bez strachu wypowiadać każdy pogląd, nawet brednię. Przychodzi to tym

łatwiej, że niektóre ze składników „rzeczowej dyplomacji” osiągnęły w Szwecji bardzo wysoki poziom sztuki. Kilka urzędników szwedzkiego MSZ-u przekonywało mnie np. że w Angoli nie było obcej interwencji, bo w Luandzie jest suwerenny rząd, który może — jeżeli chce — godzić się na obecność Kubańczyków, albo też może w każdej chwili nakazać ewakuację kubańskiej legii cudzoziemskiej. Inni znowu dziwili się, że Kissinger robi tyle wrzasku na temat perspektywy wejścia komunistów do rządu w Paryżu czy w Rzymie. „Czego się boicie, my sobie z komunistami świetnie radzimy, a w parlamencie, dzięki nim właśnie, nie jesteśmy w mniejszości”. Zupełnie jak ten facet, co się dziwił, że dostał po pysku od pewnego milionera, od którego zażądał forsy, podczas gdy jego 19-letnia siostra przecudnej urody, nie tylko dostała forszę, ale została nawet u milionera przez kilka dób.

Bardziej świadomi od urzędników szwedzkiego MSZ okazali się słuchacze mojej pogadanki w Klubie *Kultury* w Sztokholmie. Swoją elegię zacząłem mianowicie od tytułu, który brzmiał oryginalnie „Widmo komunizmu krąży nad Europą”. Kiedy dodałem, że *copyright* tego tytułu należy nie do mnie a do Karola Marksa, z końca sali doszedł mnie szeptem wypowiedziany w *yidish*, biblijny werwet: „Oby imię jego szczerzo po wsze czasy...”.

Finlandia nie może nawet szeptem i nawet w *yidish* takich werwetów wypowiadać, więc musi płacić i to nie tylko w sferze czystej dyplomacji (co ma właściwie drugorzędne znaczenie) za możliwość życia w demokratycznym kraju no i w niewątpliwym dobrobycie jak na kraj biedny i mało uprzemysłowiony. Jak płaci?

Film „Jeden dzień Iwana Denisowicza” nie wszedł na ekrany. „Wspomnienia” Chruszczowa — choć tu specjalnie ciekawe — nie ukazały się w fińskim wydawnictwie. Telewizja musiała przeproszać, kiedy nadała nową wersję „Ninoczki”. Pewien zagraniczny dziennikarz podliczył kiedyś bilans wiadomości dotyczących USA i ZSSR, nadanych w ciągu pięciu miesięcy przez radio i telewizję fińską. Wynik, jak w Warszawie, albo i gorzej: USA — 482 wiadomości nieprzychylne, ani jedna przychylna. ZSSR — 493 wiadomości przychylnie, ani jedna przeciw. Dochodzi do zupełnego absurdu, nie mającego równych chyba, że w pomarcowej Polsce: z programu filharmonii trzeba było wykreślić utwór skomponowany przez Czecha zwolennika wiosny praskiej.

„To jest folklor”, tłumaczył mi fiński dyplomata. Nie miał on przy tym na myśli lapońskiego, podbiegunowego otoczenia, w którym 130 dziennikarzy z 30 krajów świata uprawiało swe tegoroczne narciarsko-gastronomiczne harce, a miał na myśli mój wywód fińskizujący. Wdawanie się w licytację nie miałyby sensu, szkoda czasu, powiem Panu tylko, że Gułag Sołżenicyna wyjdzie w Finlandii, podobnie jak ostatnia książka Sacharowa. Narobiliście wrzasku (to zresztą dobrze), że oddajemy Rosji jej zbiegów. Może kiedyś tak było. Ale ten ostatni Nie-

miec nadwożański, który uciekł na łódce z Estonii, a którego wyłowił nasz okręt na pełnym morzu jest, mimo presji Moskwy, nie na Syberii a w NRF. Oczywiście, raczej się kontrolujemy, ale kiedy trzeba to wybuchamy. Tak właśnie było, kiedy ku bardzo wielkiemu niezadowoleniu Moskwy prasa fińska złażała spisek milczenia na temat atomowych prób sowieckich, od których trzęsło się nasze miasto Lahti, nie mówiąc już o jego mieszkańcach...”.

Tyle dyplomata. Ale ponieważ dyplomata, więc musiał przemilczeć to, co naprawdę ważne. Mianowicie podstawowym elementem „fińskiej finlandyzacji” jest kłeska fińskiej partii komunistycznej. Jest to kłeska paradoksalna. Komuniści fińscy mają bowiem dwa atuty, z których gdzie indziej jeden wystarczyłoby do zsatelizowania kraju. Po pierwsze, mają siłę fizyczną, gdyż z wyjątkiem partii francuskiej i włoskiej, tylko fińska jest w stanie skupić około 20 % masy wyborczej. Po drugie, na ich korzyść działa kolosalna presja sowiecka, obecna we wszystkich dziedzinach życia w Finlandii. A tymczasem nie tylko, że rząd fiński potrafił w 1948 roku zdusić w zarodku próbę powtórzenia w Helsinkach puczu praskiego*, ale komuniści nie mają właściwie żadnej szansy objęcia w Finlandii władzy w drodze demokratycznej, ani żadnej innej drodzy, chyba że poprzez najazd z zewnątrz, ale wtedy już i tak będzie wszystko jedno.

— Proszę Pana, podsumował mnie krótko pewien publicysta fiński — to nie sfinlandyzowana Finlandia odczuwa „totalitarną pokusę”, to Francja i Włochy. A przecież na Renie nie ma armii czerwonej...”.

Koszmar Europy czy koszmarna Europa

No więc, co to jest finlandyzacja? Zależy dla kogo. Jak wynika z moich głębokich badań naukowych, pierwszy użył tego pojęcia Ryszard Loewenthal, profesor z Berlina, dla którego

* To bardzo ciekawa historia z tym nieudanym puczem. W początku roku 1948, pod nadzorem dwóch specjalnych emisariuszy z Moskwy, powstaje w Helsinkach specjalna komunistyczna siła uderzeniowa. Kiedy, tydzień po zamachu w Pradze, wszystko było gotowe do puczu w Helsinkach, Stalin wezwał delegację rządu fińskiego do Moskwy celem podpisania „traktatu jak z Rumunią i Węgrami”. W delegacji wyznaczonej na Moskwę znajdował się również ówczesny minister Spraw Wewnętrznych, komunistą Leino, stary kominternowiec, ożeniony z Hertą Kuusinen, przewodniczącą kompartii fińskiej, córką twórcy partii i słynnego działacza bolszewickiego, członka Politbiura w Moskwie, Otto Kuusinen. Dziesięć lat później wyszło na jaw, że to Leino w przeddzień wyjazdu do Moskwy uprzedził prezydenta o przygotowaniach do puczu. 30.000 żołnierzy obsadziło miasto i wyaresztowało puczystów, zaskoczeni komuniści ani drgnęli, Moskwa także nie. Leino najpierw stracił żonę, wikt i opierunek, potem legitymację partyjną, a w 1958 roku ogłosił książkę o całej historii. Taki już los komunisty i patrioty. Książki Leino nie ma w księgarniach w Helsinkach.

pozornie polityka światowa nie ma tajemnic. Wymyślił to pojęcie albowiem potrzebny mu był slogan dla zdefiniowania celów sowieckich w okresie kryzysu berlińskiego z 1961. Nie wiem czy Loewenthal przejdzie do historii, ale jeżeli tak, to przede wszystkim dzięki temu odkryciu. Mimo, że nigdy jeszcze jedno słowo nie kryło tylu nieporozumień, żaden chyba skrót polityczny nie zrobił takiej kariery od czasu „zimnej wojny” i „żelaznej kurtyny”.

Dla Alistaira Buchana, byłego dyrektora Instytutu Badań Strategicznych w Londynie, finlandyzacja to „sytuacja kraju niezależnego, ale wyczulonego i ulegającego w pewnym stopniu sowieckim presjom”. Dla Pierre Hassnera z Instytutu Badań Międzynarodowych w Paryżu jest to „elastyczna i nowoczesna forma sowietyzacji”. Dla Jean François Revela (autora świetnie tu omówionej przez Brońskiego „Pokusy totalitarnej”) finlandyzacja to „forma uległości i autocenzury w interesie stalinizmu”. Dla Franza Józefa Straussa to zwięzła definicja „zniszczenia Europy Zachodniej jako samodzielnej siły politycznej”. Dla Cyrusa Sulzbergera z *New York Times'a* jest to po prostu „koszmar Europy Zachodniej”.

Z tym, najpełniejszym chyba w literaturze przedmiotu, zestawieniem tego czym jest finlandyzacja, udałem się na rozmowy do specjalistów. A oto synteza ich stanowiska.

Koszmar widziany ze Sztokholmu

„Może się to Panu wydać cyniczne, ale w Szwecji i rząd i opozycja uważają, że sfinlandyzowana Finlandia stanowi czynnik skandynawskiej równowagi, obok absolutnie neutralnej Szwecji oraz Norwegii i Danii w NATO. Finowie mieli następującą alternatywę: albo „germanizacja” to znaczy wojskowa okupacja, w ich przypadku sowiecka, a Pan przecież wie co to znaczy, albo „finlandyzacja”, to znaczy ten właśnie podejrzany dla was rodzaj neutralności ostentacyjnie pro-sowieckiej. Ale model fiński jest unikalny i należy do absolutnie wyjątkowego kontekstu historycznego. Stosowanie tego pojęcia do innego kontekstu politycznego i historycznego jest więc po prostu nie tylko głupie, ale i niebezpieczne. Nie mówiąc już o tym, że polegała operacja na zwyczajnej hipokryzji i zastosowanie przez Loewenthala pojęcia finlandyzacji do określenia braku woli Zachodu do obrony swych podstawowych wartości jest po prostu nieuczciwe. Nie chcemy dawać nikomu lekcji ani polityki ani moralności, ale zadam Panu następujące pytanie. Moskwa proklamuje, że *détente* nie oznacza politycznego ani społecznego *status quo* i że wobec tego nie implikuje wiecznego odsuwania komunistów od władzy na Zachodzie. I Moskwa ma rację. Ale my nie rozumiemy dlaczego wobec tego Zachód nie proklamuje tego samego pluralistycznego hasła w odwrotnym kierunku. Inaczej mówiąc, dlaczego zamiast praktykować to, co nazywacie waszą własną

finlandyzacją, nie domagacie się „finlandyzacji” państw Europy Wschodniej. Jakiż to byłby ogromny postęp w tej stronie świata?!”.

Koszmar widziany z Helsinek

„Zachód chce nam udzielać lekcji?! Śmieszne, sami się leczcie! Moskwa cynicznie gwałci chyba wszystkie punkty układu z Helsinek, a zachodnie stolicy udają, że nic się nie dzieje. Pomijam już stałe „pozycje”: odmowa wiz dla dziennikarzy, przeszkody w emigracji, procesy polityczne, cenzura, „żelazna kurtyna” w cyrkulacji idei, wymienię tylko ostatnie kwiatki takie jak odmowa wpuszczenia dyrektora BBC, bo się odważył nadać wywiad z Sołżenicynem, cenzura tekstu Ionescu w biuletynie UNESCO, bo nie odpowiadał on poglądom Moskwy na kulturę itd. Dlaczego Hiszpania poszukująca utraconego dziewictwa musi zacząć akurat od negocjowania eksmisji nadajników Radia Liberty, chociaż informacji w ZSSR brak dziś bardziej niż w Hiszpanii za Franco i choć Liberty to właśnie podstawowe źródło informacji dla ok. 250 milionów ludzi sowieckich? To nie premier fiński, a francuski skrytykował Piuszcza za publiczne sprawozdanie z insulinowego gułagu. Olaf Palme, przywódca szwedzkiej socjaldemokracji, potraktował Husaka jak opryszka za jego napaść na Dubczeka, podczas gdy Mitterrand, szef socjal-demokracji francuskiej, udając się do Breżniewa w 1975 roku spokojnie oświadczył, że o Czechosłowacji „należy dyskutować w Pradze a nie w Moskwie”. Dlaczego, czyżby zgodnie z formułą Revela „za napaść odpowiadał napadnięty a nie napastnik”? A przecież Palme jest szefem rządu bardzo neutralnego, któremu naprawdę zależy na bardzo dobrych stosunkach z Moskwą, podczas gdy Mitterrand jest na razie tylko kandydatem do władzy. Nawet u nas, „sfinlandyzowanych” Finów, trudno sobie wyobrazić komentarz o sprawach czechosłowackich bez aluzji do inwazji. A to przecież Pan sam pokazał mi wycinek z socjalistycznego pisma belgijskiego, gdzie jeden z najbardziej znanych polityków i publicystów, który był gościem na kongresie partyjnym w Pradze, pokazał sztukę bez precedensu, napisał mianowicie o tym kongresie ani razu nie wspominając inwazji. I ci panowie chcą nas uczyć moralności? I na nich mielibyśmy w razie co liczyć? Pojechaliby do Breżniewa, mówiąc, że o sprawach fińskich należy rozmawiać w Helsinkach, tylko że na razie się nie wybierają... Tak jak do Pragi”.

Koszmar widziany z Suomantunturi

Oczywiście, nie było to takie proste. Monologi były dialogami, trwały długo, w wielu językach, nie zawsze były na poziomie, często zamieniały się w dyskusje a nawet spory, zawsze

zresztą kulturalne, bez nerwów, po skandynawsku. Streszczając chciałbym dodać, że z mojej podróży skandynawskiej wywozłem dwie rzeczy.

Po pierwsze zupełnie koszmarną grypę, niespotykaną na kontynencie, chyba syberyjską, jak to ktoś mile powiedział: „w końcu cię dopadli”.

Po drugie, jasny wniosek o tym, że stosowanie pojęcia „finlandyzacji” poza terytorium Finlandii to zwyczajny szwidel, polityczny i naukowy. Nie ma bowiem między Finlandią a Europą Zachodnią żadnego porównania. Z jednej strony mały kraj, oko w oko z super-potęgą, bezwzględna i bezkarna, z którą na dodatek przegrał dwie wojny. Z drugiej strony, Europa Zachodnia, kolos gospodarczy, przemysłowy i demograficzny, całkowicie zdolny fizycznie do sprostania wszelkim pokusom totalitarnym, wewnętrznym i zagranicznym.

Europa zginie więc nie przez szantaż sowiecki a przez własną ślepotę, beztroskę, zdegenerowanie. Stado polityków zapatrzonych we własne pępki, myślących kategoriami Pipidówki („naczelnicy stacji”, jak ich tu nazywają), niezdolnych do zrozumienia i zrealizowania hasła europejskiej integracji, jedynej drogi wyjścia z kryzysu i bagienka — nie jest naturalnie w stanie zaproponować jakiegoś rozumnego i atrakcyjnego programu ideowego i społecznego, wystarczającego do uzasadnienia poświęceń i zmobilizowania mas. Europa jawi się dziś jako problem ceny pietruszki i handlu winem, dla takiej Europy nie warto nawet żyć, a co dopiero umierać.

Jak to powiedział George Kennan — naprawdę dobry amerykański dyplomata — Europa Zachodnia nie podejmuje sowieckiego wyzwania „nie dlatego, że nie może, a dlatego, że nie chce”.

Skandynawowie są bardziej od nas przejęci tym co się w Europie Zachodniej dzieje. Dlaczego? Przecież to jasne. „Sfinlandyzowana” Europa oznacza bowiem zsovietyzowaną Finlandię. A to nie jest perspektywa radosna...

Odpoczywaliśmy między szusami na górze Suomantunturi, dokładnie na samym kole polarnym. Widok był fantastyczny. W promieniach północnego słońca roztaczała się pod nami biała pustynia Laponii, naokoło tylko lasy w śniegu i jasne placki zamrożonych jezior.

— Syberyjski pejzaż — powiedziałem naprawdę bez złośliwości.

— Tak — odpowiedział Fin — ale bez Gułagu. — Wie Pan — dodał — u nas popularne jest powiedzenie, że jeden Fin wart jest dziesięciu Rosjan, pytanie tylko gdzie jest jedenasty Rosjanin. Czyżby u was w Europie Zachodniej pytanie brzmiało tak samo...?”

BRUKSEL CZYK

Pisane 8 maja 1976, w dniu rocznicy zwycięstwa nad jedną z „pokus totalitarnych”.

Korespondencja z Rzymu

Włochy na rozdrożu: komuniści w roli „zbawców ojczyzny”

W centrum antycypowanych o rok wyborów parlamentarnych we Włoszech znajduje się „kwestia komunistyczna”. Partia komunistyczna (PCI) ma poważne szanse stania się partią o względnej większości, stanowiącą trzon przyszłej koalicji rządowej. Po 30 latach Demokracji Chrześcijańskiej (ok. 38 % głosów w ostatnich wyborach — komuniści ok. 28 %) „grozi” przejście do opozycji. W każdym innym kraju zachodnim rotacja jest zjawiskiem normalnym — we Włoszech brak jednak alternatywy demokratycznej, co zmuszało dotąd chadecję do sprawowania władzy w koalicji z drobnymi partiami centrowymi lub z socjalistami. Czy komuniści stanowią tę alternatywę? Na tym polega sedno rzeczy: wybory mogą, a nawet powinny — zdaniem wielu światłych ludzi — zamienić się w referendum *pro* lub *contra* komunizmowi. Mogą, ale nie muszą. Duża część bazy wyborczej widzi w komunistach, obiecujących likwidację korupcji i zaprowadzenie porządku, unowocześnioną i sprawniejszą edycję znużonych i wyjałowionych władzą chadeczków. Ideologią mało kto z wyborców włoskich zawraca sobie głowę. Straszak marksizmu-leninizmu przestał działać. *En vogue* jest inny *leitmotiv*: eurokomunizm, pragmatyczny reformistyczny, klerykalny. Kwintesencją tej strategii we Włoszech jest tzw. „kompromis historyczny” pomiędzy komunistami i katolikami. Chadecja go wprawdzie zdecydowanie odrzuca, ale znalazła się już garstka amatorów z tzw. *dissenso* katolickiego, chętnych do kandydowania do parlamentu z list PCI. Atrakcja „kompromisu historycznego” działa zresztą na długą metę. To strategia, a nie taktyka. Socjaliści zrażeni dotychczasową współpracą z chadecją (jedną nogą tkwili w rządzie centrolewu, drugą w demagogicznej opozycji — to najgorsi socjaliści w Europie) aspirują do tzw. alternatywy lewicowej, to znaczy do frontu ludowego, liczą na to że uda im się uwarunkować komunistów i zażegnać ich hegemonię. To oczywista iluzja — odpowiadają przywódcy trzech partii centrowych — to nie Francja, operacji Mitteranda nie da się tu imitować. Te trzy ugrupowania — socjaldemokracji, republikańskie i liberałowie — reprezentujące łącznie ok. 12 % bazy wyborczej — też nie są lepsze. Boją się szlusznie polaryzacji dwóch bloków integralistycznych (chadeczków i komunistów), ale nie potrafiły przezwyciężyć wąskich patriotyzmów partyjnych i doprowadzić do utworzenia frontu laickiego, reformistycznego, mogącego stanowić prawdziwą, nowoczesną i europejską, alternatywę dla dwóch „Kościołów” politycznych: jednego — trady-

cyjnego, w pełnym rozkładzie, choć szamocącego się w apelach o „odnowę w warunkach wolności” i drugiego — w *Drang und Sturm Periode*, starającego się zrzęcznie utrzymać dystans od Moskwy (prawdę powiedziawszy: pół-dystans) i przebranego w szatki socjaldemokratyczne.

W Stolicy Apostolskiej nie ukrywa się zaniepokojenia jakie budzi możliwość dojścia komunistów do władzy w samej kolebce cywilizacji zachodniej. Kaznodzieje w purpurze, w fioletach i bez fioletów grmią przeciw lewackiemu neo-konformizmowi i konfuzji pojęć szerzącej się wśród społeczeństwa włoskiego; przeciw „histerii radykalnej” stawiającej przed wiernymi fałszywy dylemat: „bądź Kościół doleje wody laicyzycznej do cudownego wina Chrystusowego, bądź też pozostanie osamotniony w agonii na drodze kalwarii świata”. W Kurii rzymskiej mówi się nawet o spisku, zmierzającym do ograniczenia wpływów Kościoła, do dyskwalifikacji światopoglądu i wartości chrześcijańskich.

Wybory włoskie stanowią od kilku miesięcy przedmiot interwencji amerykańskiego Sekretarza Stanu i samego prezydenta Forda. W wyborczej kampanii prezydenckiej „kwestia komunistyczna” we Włoszech odgrywa rolę „testu” skuteczności amerykańskiej polityki zagranicznej. Nie ma zasadniczych różnic poglądów pomiędzy kandydatami republikańskimi i demokratycznymi. Jedni i drudzy podzielają stanowisko Kissingera, że udział komunistów w rządzie włoskim zagroziłby całemu systemowi bezpieczeństwa NATO i osłabiłby proces politycznej integracji europejskiej. Różnica polega na ocenie samego zjawiska i jego następstw i na taktycznych wyrachowaniach. Podczas kiedy Ford czy Reagan przewidują w razie zwycięstwa komunistów włoskich „reakcję łańcuchową” w Europie i w ślad za Kissingerem czynią aluzję do wykluczenia Italii z NATO, posuwając się nawet do groźby represji gospodarczych typu chilijskiego — Carter słusznie wyklucza wspomnianą reakcję i twierdzi że „wzniesienie na wyrost muru wokół Italii” jest nierozważne, a ponadto jest ślepotą z naszej strony rokowanie z Breżniewem przy równoczesnym wyrzekaniu się zrozumienia i poznania przywódców komunistycznych kraju należącego do NATO”. Zamykanie z hukiem drzwi nie jest taktyką mądrą — przeciwnie powoduje skutki odwrotne od zakładanych.

Znać w tym wpływ jego doradcy, prof. Z. Brzezińskiego, którego opinie na temat „kwestii komunistycznej” cytowane są bez przerwy przez tutejszą prasę. Przeciwstawia się, często słusznie, jego opinii stanowisku Kissingera, sugerując że reprezentuje rzekomo orientację zwolenników „dialogu z komunistami”. Brzeziński dostąpił nawet nielada zaszczytu: na łamach *Unità* poświęcił mu polemiczny artykuł wstępny najwybitniejszy ekspert polityki zagranicznej PCI. Organ komunistyczny chwali „elastyczność” i „nowe podejście” Brzezińskiego, opuszcza natomiast, co charakteryzuje istotną część jego wypowiedzi, w których domaga się weryfikacji demokratyzmu komunistów („centralizm demokratyczny” wyklucza przecież demokratyczną praktykę w

życiu wewnętrznym partii), wyraźnego stosunku do doświadczeń stalinowskich i istniejącego modelu sowieckiego w Europie Wschodniej itp. Stanowisko Brzezińskiego, który doskonale rozumie na czym polega wzrost wpływów PCI (choć naturalnie nie uważa go za pożądany), jest po prostu bardziej realistyczne i racjonalne niż demagogiczne fajerwerki Kissingera, i republikańców. W studium grupy ekspertów pod redakcją Brzezińskiego, ogłoszonym w tych dniach przez Uniwersytet Columbia, twierdzi się, że udział PCI w rządzie koalicyjnym we Włoszech nie stanowiłby bezpośredniej groźby dla NATO i dla kapitału prywatnego. Według informacji, jakie uzyskałem niedawno z miarodajnych źródeł komunistycznych wschodnio-europejskich, istnieje tajny układ pomiędzy Moskwą a PCI, polegający na podziale ról pomiędzy zachodnie i wschodnie „bratnie partie” (potwierdził to Milowan Džilaz w wywiadzie udzielonym ostatnio prasie włoskiej). Moskwa liczy na „neutralizm”, proklamowany przez PCI wobec przeciwstawnych bloków militarno-politycznych w Europie, co w praktyce oznacza antyamerykańską torpedę z opóźnionym zapłonem. Po powrocie Berlinguera z ostatniego zjazdu KPZS, gdzie bronił mężnie autonomicznego profilu tzw. eurokomunizmu, rzecznik polityki zagranicznej tej partii oświadczył w Rzymie: „Nie ma mowy o zerwaniu (z Moskwą), problem nie polega na rozłamie, lecz na utrzymaniu i zacieśnianiu więzów, które jednak powinny mieć charakter nieliturgiczny”.

Sytuacja jest groźna choć nie beznadziejna. W komunistyczną hermafrodytę (trochę z Marksa, trochę z Bernsteina), w pół drogi pomiędzy leninizmem a socjaldemokracją, uwierzył jednak lud włoski (lud w sensie kulturowym, nie socjologicznym, bo nie chodzi tyle o chłopów i robotników, ile o warstwę pośrednie, pół-inteligenckie, urzędnicze, drobnomieszczańskie). W ostatnich wyborach administracyjnych, maksymalnie upolitycznionych, dał on komunistom sześć procent głosów więcej. Te nowe siły wyborcze (trzeba do nich zaliczyć większość młodzieży — ponad dwa miliony nowych wyborców) przyzwyczyły się do płytkiej powłoki dobrobytu (uzyskanego *nota-bene* dzięki chadekom) i spodziewają się uratować go przy pomocy nowych pretendentów do przejęcia władzy. Dobrobyt i spokój (od strajków i zamachów terrorystycznych ultra-prawicowych i ultra-lewicowych organizacji nielegalnych) obiecują im zapewnić „zbawcy ojczyzny” (plakaty wyborcze uzależniają dosłownie to „zbawienie” od głosowania na PCI).

Pokonstytucyjna weryfikacja

Podobnie jak po uchwaleniu Konstytucji w roku 1952 nikt sobie nie zwracał głowy jej treści, bo istota rzeczy polegała na jej odbiciu w praktyce społecznej, tak i dzisiaj ważne jest odczucie wprowadzonych w życie zmian konstytucyjnych i ich weryfikacja praktyczna. Docierają niepokojące wieści o szyka-

nach wymierzonych przeciw sygnatariuszom złożonych memoriałów: artystom, pisarzom, naukowcom. Sprzeczne są co prawda oceny zasięgu i formy tych szykan. Nawet gdyby przyjąć iż istnieje — jak twierdzą niektórzy — generalna, „odgórna” dyrektywa niestosowania represji, to wiadomo z doświadczenia jak to w praktyce wygląda: winni są jakoby wyłącznie „nadgorliwcy” na lokalnych szczeblach administracji publicznej. Episkopat przestrzegł czynniki rządowe przed stosowaniem represji w „wyjaśnieniu Sekretariatu Episkopatu” z 12 kwietnia*.

Konferencja plenarna episkopatu, obradująca 28 i 29 kwietnia, nie wróciła już do problematyki zmian konstytucyjnych. Jednym z punktów tych obrad był problem młodzieży. Biskupi stwierdzają m.in., że „wzmagają się dążenia różnych ośrodków dyspozycyjnych, by dzieciom i młodzieży narzucać sposób postępowania sprzeczny z podstawowymi normami prawa przyrodzonego i etyki chrześcijańskiej”. Zwracają również uwagę na fakt, że „przedsięwzięcia i zalecenia pewnych ośrodków i niektórych odłamów prasy prowadzą często do jawnej demoralizacji młodego pokolenia”. Apelują wreszcie do rodziców i wychowawców o „przeciwdziałanie wspomnianym tendencjom”. Drugą, zasadniczą sprawą na porządku dziennym obrad tej konferencji było zagadnienie wsi. Od dawna już episkopat bije na alarm w związku z rosnącym stale exodusem ludności wiejskiej do miast. Wieś starzeje się, młodzież ciągnie do fabryk, gospodarstwa pustoszeją lub bywają zaniedbane, coraz więcej gruntów chłopskich przechodzi na „fundusz ziemi”. W obliczu tej rzeczywistości ostatnia konferencja episkopatu stwierdza: „Widoczne jest ciągle większe uprzywilejowanie miasta w dziedzinie cywilizacyjnej, kulturalnej i społecznej, co wywołuje niezdrowe i zgubne na przyszłość masowe opuszczanie wsi przez młodzież. Pilną potrzebą jest wyrównanie dysproporcji między poziomem życia i kultury ludności wiejskiej a stopą życiową mieszkańców miast... Konieczna jest stabilna polityka państwa, zwłaszcza wobec indywidualnych rolników... Ludność wiejska, prowadząca indywidualne gospodarstwa, oczekuje sprawiedliwego traktowania w porównaniu z innymi sektorami gospodarki rolnej oraz poprawy zaopatrzenia technicznego i materiałowego. Zdrowa polityka w tej dziedzinie otworzyłaby młodemu pokoleniu nowe perspektywy zaszczytnej pracy na roli”.

Podobno stanowisko episkopatu w tej materii, zwłaszcza zaś dramatyczne apele Prymasa Polski, znajdują dziś „rozumienie” w kierownictwie partii, zwłaszcza w pragmatycznie nastawionej ekipie Gierka. Jeśli to prawda, to po co przez tak długi czas pozwalano buszować zwolennikom tzw. „pegeeryzacji” z b. min. rolnictwa Jagielskim na czele, co doprowadziło do obecnego kryzysu? Odpowiedź, jak zwykle, w wykładni urzędowej, sprowadza się do ujęcia czysto personalnego: podobno obecny szef tego resortu, Barcikowski, jest rzecznikiem popierania gospodarstw

* Pełny tekst zamieszczamy na str. 97-ej (Red.).

indywidualnych poprzez ulgi fiskalne i pomoc w środkach mechanicznych.

W drugim dniu obrad konferencji abp Luigi Poggi, nuncjusz apostolski do specjalnych poruczeń, spotkał się z biorącymi w niej udział biskupami. Abp Poggi przybył 23 kwietnia do kraju, tym razem jako „kierownik delegacji Stolicy Apostolskiej dla stałych kontaktów roboczych z rządem PRL” i pozostanie do 18 maja. Stosunki osobiste i współpraca członków Rady Głównej Episkopatu z wysłannikiem papieskim układają się dobrze, co nie oznacza że znikła uzasadniona nieufność i czujność biskupów wobec meandrów watykańskiej *Ostpolitik*.

W czasie rozmów z przedstawicielami władz państwowych na zapytanie czy poruszy sprawę zburzenia kaplicy w Kampinosie, abp Poggi odpowiedział, że jest to „kwestia o relatywnym znaczeniu — są inne bardziej istotne”.

W czasie podróży abp. Poggi po Polsce ks. Prymas wygłosił dwa znamienne kazania. W Częstochowie powiedział m.in.: „Polityczny program walki z Kościołem zmierza do wyeliminowania wartości chrześcijańskich z nauczania i zastąpienia ich przez mgławicę niewiary i swoisty laicyzm. Jest rzeczą niewiarygodną, że w XX wieku różne organy Państwa mobilizują dla celów walki z religią środki dostarczane przez społeczeństwo na rzecz ogólnego dobrobytu... Nie mają prawa określać się jako awangarda te kraje, które prowadzą walkę przeciw religii i Ewangelii” (cytuję za tekstem włoskim nieautoryzowanym). W tym samym wystąpieniu były ponadto mocne akcenty krytyczne wobec Konstytucji. W Krakowie zaś Prymas Polski powiedział m.in.: „Nikt nie może na naszej ziemi zmusić Kościoła do milczenia. Konstytucja gwarantuje wolność religijną, zdarzają się jednak sytuacje, w których ludzie boją się uczynić znak krzyża i przyznać się publicznie do katolicyzmu w obawie przed utratą pracy. Gdyby św. Stanisław żył dzisiaj powiedziałby władzom: macie służyć społeczeństwu, a nie rozkazywać mu... Jeśli ludzie są zastrachani nie przynoszą pożytku ani Kościołowi ani Państwu. Najbardziej poszkodowani są ci, co zamykają nam usta ponieważ wszelkie próby uniemożliwienia mówienia prawdy, zwłaszcza skierowane przeciwko Kościołowi, przyniosą szkodę nie tylko Kościołowi, ale również władzom państwowym”. Mając na myśli niedawne zdemolowanie kaplicy w Górkach Kampinoskich (wieś gminna przypisuje ten fakt presjom sowieckim ponieważ ta strefa ma być przeznaczona na manewry wojsk sowieckich stacjonujących w PRL — nawet jeśli nie jest to ściśle wskazuje jak bardzo opinia publiczna jest dziś wyczulona na potworne ingerowanie Moskwy w sprawy wewnętrzne kraju) kard. Wyszyński stwierdził: „wolność odzyskana przez Polskę w roku 1918 oraz po drugiej wojnie światowej jest źle sprawowana skoro prowadzi do wielu nadużyć, napadów i zniszczeń przybytków jakie ludność zbudowała dla modlitwy” (tekst w przekładzie, nieautoryzowany).

Pobyt w kraju abp. Poggi zbiegł się (zbieżność na pewno nie

przypadkowa) z równie ważną, jeśli nie ważniejszą, wizytą gości z USA. 8 maja przyjechali na zaproszenie Prymasa Polski przewodniczący i sekretarz amerykańskiej Konferencji episkopalnej: abp Joseph Bernardin i bp James Rausch (byli obecni na w/w uroczystościach krakowskich). Przyjazd ich do kraju stanowi właściwie rewizytę po ubiegłej podróży do USA sekretarza episkopatu bp. Dąbrowskiego i bp. Wesołego. Odwiedzić mają Częstochowę, Poznań, Gdańsk, Lublin i Warzę (miejsce urodzenia Kazimierza Puławskiego). Przed odlotem do Warszawy bp Rausch oświadczył: „nasza wizyta stanowi wyraz solidarności dla bratniego Kościoła w Polsce”. Wizyta amerykańskich biskupów pozostaje również w związku z planowanym wyjazdem licznej delegacji polskiej (ponad 20 biskupów z kard. Wojtyłą na czele) do Filadelfii. Komunikat z ostatniej konferencji Episkopatu poświęca tej sprawie osobny punkt: „Konferencja składa podziękowanie wszystkim rodakom za wszelką pomoc udzielaną Kościołowi i naszemu Krajowi. Rodacy za granicą i Polonia w różnych krajach świata, są cenną częścią wielkiej Rodziny Narodu Polskiego i Kościoła. Szczególne pozdrowienia biskupi polscy kierują do Polonii Amerykańskiej, z którą będzie mogła nawiązać bliższy kontakt delegacja episkopatu Polski na 41-szym Międzynarodowym Kongresie Eucharystycznym w Filadelfii w sierpniu bież. roku”.

W pewnych środowiskach, w kraju i na emigracji, słyszy się nieraz wypowiedzi, o profilu katolicyzmu w Polsce. Są tacy którzy zarzucają biskupom — głównie ks. Prymasowi — iż starają się utrzymać przy życiu „wiejsko-klerykalny” model katolicyzmu, co łączy się z brakiem zaufania do intelektualistów, a w sumie świadczy o konserwatyźmie społecznym. Powierzchnowe choć pozornie słuszne tezy, mają twardy żywot. Ci, którzy Prymasowi zarzucają koncentrowanie się na problematyce wiejskiej i pogardliwie o tej „wiejskości” prawią, zapominają lub nie doceniają faktu, że procesy urbanizacyjne doprowadziły do strukturalnego kryzysu rolnictwa, typowego dla cywilizacji przemysłowej. W Europie Zachodniej rolnictwo przechodzi ostre przesilenie, FAO publikuje dramatyczne raporty o światowym deficycie żywnościowym. Jeśli więc Prymas od kilkunastu lat przestrzega przed zgubnymi następstwami jednostronnej industrializacji kosztem obumierania rolnictwa, to tylko można podziwiać jego zmysł przewidywania i poczucie odpowiedzialności. Istnieje ponadto poważne zjawisko tzw. chłopo-robotników na jakie dawno Prymas Polski zwracał uwagę, podnosząc jego negatywne skutki społeczno-gospodarcze; dopiero jednak w ostatnich miesiącach władze partyjne podzieliły Jego zdanie, gdy okazało się że wydajność pracy tych „chłopo-robotników jest niska, wzrasta ich nieobecność w czasie pilnych prac polnych, a gospodarka rolna (a więc ilość wyprodukowanego zboża i pogłowia) też na tym cierpi. Istniejąca infrastruktura społeczno-gospodarcza uzasadnia więc stałe zainteresowanie Episkopatu problematyką wiejską. W akcji duszpasterskiej wieś jednak bynajmniej nie

jest uprzywilejowana. Wielu biskupów, zwłaszcza w ośrodkach wielkomijskich, jak również wykładowcy w seminariach, prowadzą od lat (względnie przygotowując alumnów) tzw. duszpasterstwo stanowe. Cytowałem nieraz kazania ks. Prymasa lub kard. Wojtyły do studentów różnego typu uczelni, nauczycieli, inżynierów, artystów. Ostatnio wpaść mi w rękę tekst kazania Prymasa Polski do lekarzy na zakończenie kwietniowych rekolekcji w Warszawie. Kazanie było poświęcone „rehumanizacji człowieka”, tj. zadaniu jakie postawił Episkopat w programie duszpasterskim na rok bieżący. Wzywał lekarzy do przeciwdziałania „brutalizacji życia” (plagi nie tylko polskiej, ale na Zachodzie kler ma inne smartwienia i mało się tym zajmuje), wulgaryzacji kultury współżycia, postępowania, słownictwa. Porównał „powołanie lekarzy” z kapłańskim i nauczycielskim, ponieważ nie o „zawód” chodzi, ale właśnie o „powołanie mające zawsze ukierunkowanie społeczne”.

Przedmiotem krytyki lub wręcz ataków jest w szerszym ujęciu tzw. linia prymasowska, której przypisuje się w pewnych kołach tendencję do izolowania Polski od „postępowej, katolickiej myśli zachodniej”. „Nowa teologia” jest do tej pory przedmiotem dyskusji i liczba jej zwolenników topnieje; co zaś do nauk soborowych” to jej orędownicy dość lekkomyślnie podchodzą do wymogu ostrożności i gradualności, jakim kieruje się Episkopat (widząc *nota-bene* co się święci na idealizowanym przez naszych „mędrców” Zachodzie). Tak się jakoś dziwnie składa że ataki na „linię prymasowską” zbiegają się z nadchodzącą datą sierpniową, kiedy Prymas Polski ukończy 75 lat i zgodnie z dyspozycją Pawła VI-tego ma podać się do dymisji. Rekomendacja ta jest jednak fakultatywna, tzn. Papież może, ale nie musi wcale dymisji przyjąć. W tym przypadku nie będzie mu łatwo przejść do porządku dziennego nad stanowiskiem polskich biskupów i rzeczywistością krajową, wymagającą by ster polskiej nawy kościelnej nadal spoczywał w rękach Tego, którego pisarz rosyjski i redaktor naczelny *Kontynentu* Władimir Maximow, nazwał kiedyś „najwybitniejszym Synem całej słowiańszczyzny”.

Pewne katolickie pięknoduchy mają widać inne zdanie i co gorzej inspirować bliskie im zachodnie ośrodki, starając się wytworzyć wokół osoby Prymasa Polski nieprzyjazny klimat. Tak np. pewien monsignor, pracujący w Kurii Rzymskiej, pokazał mi w tych dniach ostatni numer miesięcznika *Entschluss* (numer 4/1976), wydawanego przez austriacką prowincję jezuitów. Zawiera on tendencyjny i fałszywy reportaż pt. „Rozmowy w Polsce” pióra Marii Zimmel.

W obliczu sukcesji

„Papiestwo słabe oznacza kryzys Kościoła, papiestwo silne oznacza Kościół w kontrofensywie (dosłownie *alla riscossa* czyli

„odebranie utraconych pozycji”). Formułę tę przytacza młodym księżom kard. Felici, b. sekr. gen. Soboru Watykańskiego II-go precyzując, że zaczerpnął ją z dziejów Kościoła. Panuje jednak powszechne przekonanie że ma na myśli aktualny pontyfikat. 24 maja odbędzie się dawno odwołany Konsystorz, na którym Papież wręczy kapelusze kardynalskie 19 nowym purpuratom. Jest wśród nich, co było przewidywane, dziekan Roty Rzymskiej, ks. infułat Bolesław Filipiak (16 bm. będzie konsekrowany na biskupa). Prasa tutejsza podkreśliła, że Paweł VI chciał „wynagrodzić jego długą działalność w Kurii i narodowość, tj. katolicyzm polski za wierność Stolicy Apostolskiej, której mons. Filipiak jest symbolem”. Wśród nowych purpuratów znajduje się również abp L. Lekai, następca kard. Mindszenty'ego na stolicy prymasowskiej w Esztorgom. Dlaczego Paweł VI powziął nagle decyzję zwołania Konsystorza? Odpowiedź nie nastęrcza trudności: poprzez nowe nominacje liczba kardynałów uprawnionych do udziału w *conclave* osiągnęła plenum 120 elektorów (wśród dotychczasowych 117 członków Kolegium Kardynalskiego 18 przekroczyło 80 lat i zgodnie z dyspozycją papieską nie ma prawa głosu). Dwaj nowi purpuraci są *in pectore*, tzn. ujawnienie ich nazwisk Papież rezerwuje sobie do przyszłego konsystorza. Istnieją dwie supozycje: są nimi mons. Tomaszek, administrator apostolski w Pradze i jeden z biskupów wschodnioniemieckich bądź też abp Benelli, substytut Sekretarza Stanu i abp Casarolli, sekretarz Rady d/s Nadzwyczajnych Kościoła (min. praw. zagra.). Ta druga wersja jest bardziej prawdopodobna: Papież nie chciał pozbyć się dwóch najbliższych współpracowników (jako kardynałowie musieliby opuścić obecne stanowiska), a zarazem nie pozbawiać ich prawa do udziału w przyszłym *conclave*.

Sprawą sukcesji papieskiej (Paweł VI powiedział niedawno publicznie: „śmierć dla nas nie może być odległa”) zajmują się dziś nie tylko tutejsze wielkie periodyki snujące hipotezy mniej lub bardziej odpowiadające rzeczywistości ale i wybitni teologowie.

Na sprawę sukcesji papieskiej należy dziś patrzeć, może nieco upraszczając, jak na konieczność wyboru pomiędzy kurialistami watykańskimi, czyli „profesjonalistami”, a wyznawcami, czyli kardynałami ucieleśniającymi przede wszystkim Wiarę. Nie przeciwstawiając sztucznie jednych drugim, ale mając na myśli formację umysłową i przeważające cechy charakterologiczne. Często po papieżu „politycznym” przychodził papież „charyzmatyczny” i na odwrót.

Ponieważ żaden z kandydatów włoskich nie jest — zdaniem ekspertów — wybitną osobistością, nie wyklucza się, że, tak jak już nieraz bywało, *conclave* może przynieść wielką niespodziankę. Jako *outsider'a*, mającego największe szanse wśród nie-Włochów, wymienia się ostatnio coraz częściej kardynała Karola Wojtyłę. Jego postawa „polityczna” działa uspakajająco na „konserwatywny” odłam watykańskich kurialistów, natomiast,

„postępowe” podejście do problematyki teologicznej i duszpasterskiej sprzyjałoby konwergencji głosów kardynałów północnoamerykańskich, zachodnio-europejskich i z krajów „trzeciego świata”. Przeciwno sobie ma tylko wiek: jest zbyt młody (55 lat), a długie pontyfikaty nigdy nie były korzystne dla Kościoła — twierdzą tutejsi znawcy. Nie uszło uwagi tutejszych obserwatorów że *Osservatore Romano* poświęca mu coraz więcej miejsca. Pod nagłówkiem „Prawda o człowieku — wyraźna nauka z Polski” organ watykański zamieścił niedawno pełny tekst jego kazania, ogłoszonego w katedrze Wawelskiej. Obok tego tekstu umieszczono notę o ukazaniu się III tomu „Archipelagu GUŁag” Al. Sołżenicyna.

Perspektywa wyboru papieża nie-Włocha uważana jest na ogół za mało realistyczną i przedwczesną. Przeważa pogląd, że jeszcze raz, może po raz ostatni, wybrany zostanie Włoch (ostatnim cudzoziemskim papieżem był Adriano VI, Holender, wybrany w 1522 roku).

Dominik MORAWSKI

Pisane 9-11 maja 1976

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 265 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT TRZYDZIESTY SZÓSTY

Zawiera m.in. prace B. Truchan: „Burza” pod Wilnem; M. Pruszyński: *Historyczne wywiady sprzed 40-tu laty*; T. Katelbach: *Moja misja kowieńska*; B. Miedziński: *Wspomnienia* (4); obszerny Dział Polemik, Recenzje i Listy do Redakcji.

Str. 240.

Cena F. 25 (\$ USA 6,75).

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 257 — MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA

BIBLIOGRAFIA

„KULTURA” (1958-1973)

„ZESZYTY HISTORYCZNE” (1962-1973)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1959-1973)

Dawno zapowiadana *Bibliografia* zawartości treści „KULTURY” i „ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH” oraz DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA DO ROKU 1973 włącznie.

Str. 432.

Cena F. 75.

Przypominamy Czytelnikom, że Bibliografia za okres 1947-1957 opracowana przez Jana KOWALIKA ukazała się w roku 1959. Posiadamy ją jeszcze na składzie. Cena egz. F. 15.

TOM 260 — ANDRIEJ SACHAROW

MÓJ KRAJ I ŚWIAT

Przełożył z rosyjskiego
MICHAŁ KANIEWSKI

POSŁOWIE LESZKA KOŁAKOWSKIEGO

Str. 92.

Cena F. 22,00.

TOM 261 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT TRZYDZIESTY PIĄTY

Zawiera m.in. prace: P. Wandycz: *MSZ w okresie międzywojennym*; B. Łokaj: *Likwidacja Polskich Sił Zbrojnych 1945-1946*; J. Garliński: *W poszukiwaniu niemieckich tajnych broni*; B. Miedziński: *Moje wspomnienia (3)*; J. Jaklicz: *Żołnierz 2-giej Rzeczypospolitej*; R. A. Woytak: *Wywiad z litewskim Wodzem Naczelnym, gen. Stasys'em Raštikis'em wraz z Uwagami K. Okulicza*; D. Desanti: *Polska... początek wszystkiego* oraz Działy RECENZJE, LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 25)\$ USA 6,75).

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

31-sza rocznica zwycięstwa obchodzona 9 maja 1976 roku wypadła w Związku Sowieckim specjalnie uroczysto. Na pierwszej stronie wszystkich pism sowieckich zamieszczono dekret o nadaniu L. Breżniewowi tytułu marszałka. A pod dekretem fotografia popiersia z brązu młodego, pięknego mężczyzny, dwukrotnego bohatera — generalnego sekretarza i marszałka Leonida Breżniewa. Popiersie zostało odsłonięte 8 maja w rodzinnym mieście Bohatera, Dnieprodzierżyńsku.

Nadanie Breżniewowi godności marszałka było nieoczekiwane, ale można to logicznie wytłumaczyć. Po nagłym zgonie marszałka Greczko, który wyglądał najbardziej zdrowo ze wszystkich członków Politbiura, którzy dawno już przekroczyli siedemdziesiątkę, — miejsce po nim zajął D. Ustinow, wprowadzony do Politbiura na XXV Zjeździe, wieloletni stalinowski minister uzbrojenia. Ustinow natychmiast także został awansowany do stopnia generała armii. Generalny sekretarz KC — który generałem armii został w ub. roku — widocznie zdecydował, że należy mu się awans.

Patrząc na popiersie generalnego sekretarza, na którym doskonale wyszły liczne gwiazdy dekorujące pierś Bohatera, przypominałem sobie znakomity list Stalina. W 1933 roku członek partii I. N. Bażanow, nagrodzony dwoma orderami, zdecydował przestać ten drugi order Stalinowi, wyrażając tym swój zachwyt dla wodza. Stalin odpowiedział mu następująco: „Ordery są stworzone nie dla tych, którzy i tak są znani, ale przede wszystkim dla takich ludzi — bohaterów — o których się wie niewiele... Ponadto muszę wam powiedzieć, że już mam dwa ordery. To więcej niż potrzeba, zapewniam was”. Co prawda pod koniec życia Stalin doszedł do wniosku, że dwa ordery to jednak mizerna nagroda za to wszystko co zdołał i zaczął się nagradzać oboma rękami. Obecny sekretarz generalny jest widocznie zwoleńnikiem późnego Stalina.

Przeanalizowanie procesu tworzenia „kultu” jest niewątpliwie ciekawe z punktu widzenia psychologicznego. Skromna działalność naczelnika oddziału politycznego 18-tej armii (w stopniu pułkowego komisarza, tj. pułkownika), który wojował w 1942-43 roku na drugorzędnym odcinku frontu, jest obecnie przedstawiona jako osiągnięcie, które zdecydowało o przebiegu wojny. Pierwszy sekretarz KC Ukrainy, Władimir Szerbickij, odsłaniając popiersie generalnego sekretarza, nazwał go po prostu „wybitnym strategiem”.

Ale nie tylko — Szerbickij początkowo wspomniął o niedawnym wydarzeniu — XXV Zjeździe Partii — i o referacie wygłoszonym przez Breżniewa, który oklaskiwali: „Zjazd, cała nasza ojczyzna, wszyscy uczciwi ludzie planety”. I nie mogło być inaczej, gdyż Zjazd stwierdził, że Breżniew jest wybitnym „teoretykiem i politykiem, leaderem naszej Partii i narodu, najbardziej autorytatywnym działaczem światowego ruchu komunistycznego i robotniczego”. Zjazd stwierdził nadto, że generalny sekretarz należy do tej kategorii ludzi, którzy „mogą wnieść się wyżej, widzieć dalej, zrozumieć więcej”. Wreszcie — oświadczył W. Szerbickij — „z całą słuszością możemy powiedzieć: trwały, sprawiedliwy pokój na ziemi i nazwisko Leonida Iljicza Breżniewa — są nierozdzielne”.

A więc dopóki jest z nami marszałek Breżniew — pokój jest zabezpieczony. Nie można oczywiście podejrzewać pierwszego sekretarza KC Ukrainy, o to że osobiście wymyślił tak piękne słowa o Bohaterze. Mowę napisali mu „inżynierowie dusz ludzkich” — pisarze. W przemówieniach pisarzy ukraińskich na zjeździe w kwietniu brzmią słowa radości z tego powodu, że mają szczęście żyć w tej samej epoce, co Leonid Breżniew. Specjalnie lirycznie mówił o swojej radości poeta Bohdan Czałyj, np. o referacie na XXV Zjeździe: „Radośnie, z zaschniętym gardłem, przypadamy do tego czystego źródła, napelniając się porannym nastrojem, szczodrym duchowym zdrowiem”. Mówiąc krócej — jak wyraził się poeta ukraiński — Leonid Breżniew „jest najbliższym przyjacielem pisarzy” (*Literaturna Ukraina* nr 34).

Niezbędnym elementem kultu wodza jest miłość do niego nie tylko ludzi sowieckich — to jest normalne i naturalne — ale również miłość cudoziemców. Miłość ta powinna jakby potwierdzić słusność wyboru ludzi sowieckich. I okazuje się, że rzeczywiście Breżniew jest kochany również i poza granicami swojej ojczyzny. I tam uważają go za najlepszego przyjaciela pisarzy, a także najlepszego przyjaciela Polski. „Specjalną atmosferę wytworzyła na zjeździe PZPR obecność towarzysza Leonida Iljicza Breżniewa, a jego olśniewające i głębokie przemówienie stało się kulminacyjnym punktem Zjazdu. Prawie każde zdanie jego wystąpienia spotykało się z burzliwymi oklaskami. Nasz naród posiada — jak bym powiedział — szósty zmysł: czuje stosunek mówców do siebie. I sala czuła, że towarzysz Breżniew nie tylko dobrze zna Polskę, ale ją kocha”. Autorem tej lirycznej wypowiedzi jest „członek KC PZPR, pisarz” — Jerzy Putrament.

Ta liryczna wypowiedź została zamieszczona w *Literaturnoj Gazecie* (nr 7) i nazwano w niej Putramenta najpierw członkiem KC, a dopiero potem pisarzem.

Czy można jednak wytłumaczyć przyznanie L. Breżniewowi godności marszałka jedynie jego zamiłowaniem do złotych gwiazd; jedynie nieuchronnym rozwojem procesu powstawania kultu jednostki? Myślę, że nie. Prasa zachodnia zwróciła uwagę tylko na fakt, że osoba cywilna otrzymała tytuł marszałka i z wrodzoną sobie ignorancją stwierdziła, że jest to wypadek wyjątkowy — jeśli nie liczyć Stalina. A przecież między tymi marszałkami byli i Mikołaj Bułganin i Laurentij Beria. Sprawa nie sprowadza się jednak tylko do poprzedników, choć to też ma pewne znaczenie. W dekrecie o nadaniu Breżniewowi tytułu marszałka powiedziano, że nadano go „przewodniczącemu Rady Obrony ZSSR”. Rada Obrony została wspomniana ostatni raz chyba 20 lat temu, w 1957 roku, w chwili konfliktu Chruszczowa z marszałkiem Żukowem. Żukow był oskarżany o to, że przeszkadza w pracach Rady Obrony ZSSR. Przypomnienie tej Rady w 1976 roku, w pełnym rozwoju odprężenia, zmusza do zastanowienia. Dlaczego Związek Sowiecki, który osiągnął w dziedzinie uzbrojenia paritet ze Stanami Zjednoczonymi, a nawet — zdaniem niektórych ekspertów — prześcignął je, chciał podkreślić istnienie Rady Obrony i zdecydował się dać swemu przywódcy wojskowy tytuł — marszałka? Szef Sztabu Generalnego sowieckiej armii, generał Kulikow, w artykule ogłoszonym w *Izwestiach* z 7 maja bież. roku pisze o niebezpieczeństwie wojny grożącej światu ze strony „imperializmu”. Doświadczenie drugiej wojny światowej — stwierdza — „ostrzega nas o poważnym niebezpieczeństwie niedoceniaenia groźby wojny, którą rozpęta imperializm”.

Trudno traktować poważnie oświadczenia o zagrożeniu Związku Sowieckiego ze strony „imperialistów”. W ostatnich latach prasa zachodnia z pewnym masochizmem informuje o wroście potęgi wojskowej ZSSR. *Le Monde* podaje, że co sześć tygodni sowiecki przemysł produkuje tyle czołgów, ile obecnie posiada cała armia francuska (12. 12. 1975). Tablica, zamieszczona w tygodniku *Time* (15. 3. 1976), pokazuje, że w 1965 roku Stany Zjednoczone posiadały 854 rakiety międzykontynentalne, a ZSSR — 224. W 1975 roku stosunek ten uległ zmianie: USA — 1054, ZSSR — 1603.

Powodem pogłębiania hysterii wojennej jest trudna sytuacja Związku Sowieckiego. Tygodnik *Ekonomičeskaja Gazieta* (kwiecień 1976) po raz pierwszy przyznaje, że deficyt bilansu handlowego ZSSR z krajami zachodnimi wyniósł w 1975 roku 3,6 miliardów rubli tj. 5 miliardów dolarów. Na tym tle powstał konflikt z Finami, którzy chcieliby podnieść ceny produktów dostarczanych ZSSR, a które ZSSR chce zakupywać po cenach z 1973 roku chociaż sam potroił cenę na ropę naftową już w 1975. Wewnętrzne trudności są bezpośrednio odczuwane przez ogół obywateli so-

wieckich: po raz pierwszy został wprowadzony dzień bezmięsny; oficjalnie nie będzie mięsa w czwartek — w pozostałe dni nie będzie go również ale to „z winy dystrybucji”. Nawet w Moskwie bardzo trudno dostać dzisiaj nie tylko wyroby mięsne, ale również owoce, kapustę i kartofle. Na prowincji jest jeszcze gorzej. Po sześciomiesięcznym zażenowanym milczeniu Szwedzi i Francuzi oficjalnie stwierdzili, że ich radia zarejestrowały bunt na sowieckim okręcie wojennym „Storożewoj”, który próbował zbiec do Szwecji. Pisma gruzińskie pisały o podpalaniach budynków rządowych w Tyflisie.

Wszystko to razem świadczy o poważnym kryzysie wewnętrznym przeżywanym przez Związek Sowiecki, mimo tak świetnych sukcesów w polityce zagranicznej, a być może że z tego właśnie powodu.

Dziś staje się coraz bardziej oczywiste, że Związek Sowiecki nie jest w stanie stać się światowym imperium, tj. utrzymując ostatnie kontynentalne kolonialne imperium, bronić jednocześnie swych interesów na Kubie, w Somali, Indiach, Mozambiku, Kongo i Angoli. Powodem tego jest fakt, że ZSSR jest krajem zbyt biednym i niedorozwiniętym. Być może, że sukcesy sowieckiego oręcza w Angoli były pierwszym dzwonkiem ostrzegawczym.

Gdy Stalin mianował siebie Generalissimusem, na świecie były jeszcze trzy głowy państwa, które nosiły ten tytuł: Franco, Czang Kai-szek i Trujillo. Dziś — jeśli się nie mylę — tylko w trzech państwach ich szefowie mają tytuł marszałka: w Ugandzie, w Republice Centralno-Afrykańskiej i w Związku Sowieckim.

Aby pokonać wewnętrzne trudności nie wystarcza rozdmuchiwanie psychozy niebezpieczeństwa wojny i robienie generalnego sekretarza marszałkiem. Rośnie ideologiczna obróbka, która coraz bardziej przechodzi w ręce KGB. Jaskrawym tego dowodem jest zgoda na wystąpienie przewodniczącego KGB, Jurija Andropowa z „ideologicznym referatem” w 106-tą rocznicę urodzin Lenina. Pierwszy policjant ZSSR wystąpił z filozoficznym uzasadnieniem konieczności wzmocnienia walki ideologicznej z „wojenno-przemysłowym kompleksem imperialistycznej reakcji, z faszystami i kolonizatorami, z maoistycznym kierownictwem Chin”. Ponadto filozof KGB przestrzegł zachodnich komunistów, którzy wyrzucają ze swego arsenału pojęcie „dyktatury proletariatu”, ponieważ słowo dyktatura wywołuje u wybroców nieprzyjemne skojarzenia. Nawet w najbardziej demokratycznych krajach burżuazyjnych rządzą dyktatury, a w krajach dyktatury proletariatu panuje — „prawdziwa demokracja”. Na przykład w Związku Sowieckim panuje prawdziwa demokracja, ale trzeba jeszcze bardziej „umacniać praworządność”. Znaczy to, że „sowieckie ustawodawstwo nie daje nikomu „prawa” by szkodził społeczeństwu, naruszał porządek społeczny, przeskadzał uczciwym obywatelom spokojnie żyć, pracować i wypoczywać”. Przewodawstwo sowieckie już „nikomu nie pozwala” dzisiaj na robienie czegokolwiek, co nie podoba się KGB, ale Andropow domaga

się by przepisy te jeszcze bardziej zaostrzyć, twierdzi on, że niezbędne jest wychowywanie ludzi sowieckich w duchu nietolerancji wszystkich zjawisk antyspołecznych.

W kilka dni później w *Izwiestiach* (25. 4. br.) ukazał się przykład wychowywania ludzi sowieckich „w duchu nietolerancji”. Artykuł nosi tytuł „Wbrew przysiędze Hipokratesa. Kto na Zachodzie gwałci lekarską etykę i moralność”. Autorzy tego artykułu stwierdzają, że zachodni lekarze są obskurantami, którzy trzymają zdrowych ludzi w zakładach psychiatrycznych. Cytuje się notatkę (wziętą jakoby z *Gazetta Del Popolo*), w której mówi się, że w szpitalach psychiatrycznych Turynu znajduje się „około 800 osób z całkowicie zdrowym systemem nerwowym”. Obiektywni autorzy przyznają, że na Zachodzie spotyka się „nie tylko obskurantyzm”, ale że inni lekarze nic nie mogą zrobić, gdyż jest ich zbyt mało, nie ma odpowiedniej ilości łóżek, szpitali itp.

Ostatnie zdanie artykułu wyjaśnia jego znaczenie: na Zachodzie lekarze psychiatrzy, obskuranci, naruszający przysięgę Hipokratesa, występują w obronie ludzi sowieckich, zamykanych w zakładach psychiatrycznych za swoje przekonania. Pojęcie „wolność”, którym „tak często operuje się na Zachodzie jest traktowane przez niektórych jako wolność, już nie w cudzysłowie, wykorzystywania ludzi chorych psychicznie dla prowokacyjnych, politycznych, antysowieckich celów”.

Wysłanie za granicę Leonida Pliuszcz, który przesiedział w „psychszkach” około trzech lat, była ciężkim ciosem dla „prawdziwych humanistów” — sowieckich psychiatrów, pracujących na zlecenie KGB. Psychiatrzy całego świata mogli się osobiście przekonać, że Pliuszcz jest w pełni władz umysłowych.

Broniąc munduru (w tym wypadku używam tego słowa w dosłownym jego znaczeniu) sowieckich psychiatrów dziennikarze sowieccy zwracają się o pomoc do Hipokratesa, chociaż lekarze w ZSSR składają przysięgę służenia nie chorym, a państwu. Próbując „dyskutować” z książką A. Sacharowa „Mój kraj i świat” *Litieraturnaja Gazieta* zwróciła się o pomoc do „amerykańskiego uczonego”. Autorytet własnych uczonych jest jak widać niewystarczający.

Sowieccy czytelnicy wiedzą już o wystąpieniach śpiewaków amerykańskich przeciwko Sołżenicynowi oraz nikomu nieznanym pisarzy kanadyjskich przeciwko Sacharowowi, czytają artykuły przeciwko „dysydemtom” przełożone z rosyjskiego na norweski, z norweskiego na fiński, a następnie z powrotem na rosyjski. Ale nawet i w tej kolekcji „Otwarty list amerykańskiego uczonego” Hansa Apela, opublikowany w nikomu nieznanym piśmie zachodnoniemieckim, zajmuje honorowe miejsce. Pod tym listem *Litieraturnaja Gazieta* podaje dane biograficzne profesora. Przede wszystkim uderza zaawansowany wiek Hansa Apela: „Profesor Hans Apel urodził się w Prusach Wschodnich w końcu ubiegłego wieku”. Dziś mamy rok pański 1976-ty. Profesor więc liczy sobie dobrze ponad 80 lat. To już zmusza do zastanowienia.

Oprócz tego „jego naukową specjalnością jest ustrój gospodarczy krajów europejskich, a w szczególności Niemiec Wschodnich”.

I oto bez względu na wiek, bez względu na „specjalizację” dotyczącą ustroju gospodarczego Niemiec Wschodnich, profesor Apel wybrał się w podróż do Związku Sowieckiego, by zdemaskować Sacharowa, którego wypowiedzi stały się — według określenia amerykańskiego profesora (na emeryturze już od 1961 r.) — „ulubionym narzędziem najbardziej tandetnej antysowieckiej i antykomunistycznej propagandy”. H. Apel tak poucza Andrieja Sacharowa: „Nie można mechanicznie porównywać zarobków robotników sowieckich i amerykańskich”, „Sacharow wyraźnie nie posiada prawdziwych danych pisząc o poziomie życia narodu sowieckiego”. U Sacharowa ich nie znajdujemy, natomiast znajdujemy je u Apela, gdyż jak sam twierdzi „przeprowadził badania wśród sowieckich ludzi”. Sacharow żyjąc w Związku Sowieckim nie wie tego, czego dowiedział się Apel — jak sam to określa — „z moich rozmów z ludźmi sowieckimi”. Ludzie sowieccy opowiedzieli sędziwemu gościowi, że żyją znacznie lepiej niż zamęczani kryzysami i kapitalizmem Amerykanie. A on im uwierzył. Teraz muszą w to uwierzyć także i czytelnicy *Literaturnoj Gazety* (nr 16).

Rozmowy Hansa Apela z sowieckimi ludźmi wypadłyby specjalnie dobrze gdyby nie znał języka rosyjskiego. W notatce „Marquis de Custine i... Inturist” (*Litieraturnaja Gazieta* nr 15) dziennikarz sowiecki oburza się, że we Francji w 1975 roku wznwiono znakomite „Pisma z Rosji” Marquis de Custine. Specjalnie gniewa go to, że „sowieciolodzy” porównują Rosję z 1839 r. z Rosją z 1975 r. Skarżą się zwłaszcza, że i dzisiaj — tak jak przy imperatorze Mikołaju I — nie można podróżować po Rosji bez *guide'a*. „Jak inaczej moglibyście podróżować nie znając języka?” — dziwi się sowiecki dziennikarz. Jak wyglądała podróż z *guide'em* za czasów Mikołaja I opowiada de Custine: „Podróżnik, który pozwoli miejscowym narzucić sobie ich poglądy przedzie całe imperium wzdłuż i wszerz i będzie widział tylko fasady”. Jak podróżuje się obecnie, to widać z „Otwartego listu amerykańskiego uczonego”. Zresztą de Custine odnotowuje i inne zjawisko, dobrze dziś znane: „Zdumiewa mnie wpływ, jaki wywiera rząd rosyjski na umysły. Zmusza do milczenia nie tylko swoich poddanych, ale ponadto zmusza do szacunku na odległość i cudzoziemców, którzy uniknęli jego żelaznej dyscypliny...”.

I rzeczywiście rzadko można spotkać cudzoziemców, którzy uniknęli „sowieckiej żelaznej dyscypliny” i odważają się powiedzieć prawdę o tym co widzieli. Wśród tych rzadkich wyjątków znajduje się amerykański dziennikarz Hedrick Smith, który trzy lata mieszkał w Moskwie i w swojej książce „Rosjanie” podaje wiele ścisłych obserwacji i wielką ilość mało znanych faktów.

W szczególności dowiadujemy się od niego, że sekretarz generalny KC otrzymuje wynagrodzenie w wysokości 900 rubli, a marszałek 2 tysiące.

Adam KRUCZEK

Rusyfikacja Polaków w ZSSR

Pod powyższym tytułem w końcu marca bież. roku, ukazała się w bońskim biuletynie *Katholische Nachrichten Agentur* znamienita informacja dotycząca sytuacji Polaków w ZSSR. Agencja nawiązuje do znanego apelu 15-tu polskich intelektualistów z grudnia 1974 roku, podpisanego m.in. przez znanego pisarza i poetę Antoniego Słonimskiego. Autorzy „Apelu 15”, który złożony został na ręce ministra kultury Józefa Tejchmy, potępił dyskryminację Polaków przebywających w Związku Sowieckim. Władze PRL zareagowały nerwowo, milicja zatrzymała Adama Michnika i skonfiskowała Apel aby w ten sposób uniemożliwić jego rozpowszechnienie. Oczywiście nadaremnie, ten odważny akt stał się głośny na Zachodzie i znany polskiej opinii publicznej.

Agencja KNA słusznie zwraca uwagę, że w sytuacji wynikłej z podpisania porozumień Bonn-Warszawa gdy Niemcy zamieszkali w Polsce mogą emigrować do Republiki Federalnej, sprawa Polaków w ZSSR nabrała na ostrości i z nową siłą zaktualizowało się pytanie, jaki będzie los tych ludzi. W Polsce zwraca uwagę fakt, że wszyscy Polacy zamieszkali w krajach zachodnich (a przede wszystkim w USA) posiadają ścisłe związki ze swoją starą ojczyzną. Sam Gierek popiera takie kontakty, dzięki którym do PRL płynnie strumień dewiz. Dodajmy tutaj, że jak doniosła prasa amerykańska przed kilkoma dniami, Warszawa ma zezwolić Amerykanom polskiego pochodzenia na inwestowanie swoich kapitałów w PRL na zasadach tzw. *prywatnej inicjatywy*. Na tym tle słowa Apelu intelektualistów polskich, że Polacy w ZSSR nie cieszą się podobną swobodą i że ten palący problem zasługuje wreszcie na publiczną dyskusję, stają się lepiej zrozumiałe.

Apel intelektualistów polskich zaalarmował władze sowieckie i nie dziwnego, bowiem problem podsowieckich narodowości ciągle czeka na rozwiązanie. Jak podaje agencja KNA, z tych to względów rzekomo władze sowieckie zamierzają Polakom ułatwić kontakt z PRL, ponadto otrzymać mają szersze prawa kulturalne, w dziedzinie szkolnictwa i religii.

Według spisu narodowego z 1970 roku Związek Sowiecki zamieszkuje 1.167.000 Polaków, ale według źródeł polskich liczba 1,5 mln. jest bardziej bliska prawdy. Dodajmy do tej informacji, że według sowieckiego rocznika statystycznego (1972) w 1959 roku w ZSSR było 1.380.000 Polaków, a zatem rocznik zmniejszył ich liczbę o ca 16 %, podczas gdy w tym samym czasie ludność ZSSR zwiększyła się o ponad 15 %. Przyczyną tego jest nie malejący przyrost naturalny wśród polskiej mniejszości, lecz jej rusyfikacja, co pośrednio ujawnia rocznik sowiecki. Otóż o ile w 1959 roku 45,2 % Polaków władało językiem polskim, to w 11 lat później już tylko 32,5 %. I nie w tym dziwnego, skoro kulturalne możliwości podtrzymywania polskości są zgoła minimalne; jedynie na Litwie, gdzie istnieje jeszcze 135 szkół polskich, warunki te są nieco lepsze. Agencja KNA wylicza główne zarzuty postawione przez środowiska katolickie w Polsce, a dotyczące przejawów dyskryminacji polskiej mniejszości w ZSSR:

- nauczyciele grożą rodzicom mówiącym ze swoimi dziećmi po polsku;
- Polacy zamieszkali na Syberii nie mają możliwości uczenia się języka polskiego nawet poprzez kursy korespondencyjne;
- polskie związki, stowarzyszenia oraz kluby kulturalno-sportowe są zabronione;

- na Ukrainie i na Białorusi systematycznie niszczone są wszelkie pomniki polskiej kultury;
- na Litwie (a więc gdzie warunki są znośniejsze) studiuje tylko 3-ch na 1000 Polaków (porównanie: Litwinów 33 na 1000, Rosjan 53 na 1000).

W tych warunkach skutki 30-letniej rusyfikacji Polaków nie dają na siebie czekać: tylko 32 % włada językiem ojczystym, podczas gdy w Europie Zachodniej i w USA emigranci polscy, a nawet w dużej mierze ich dzieci, posługują się zarówno językiem kraju zamieszkania jak i polskim. Agencja KNA podkreśla, że gdziekolwiek na świecie przebywają Polacy, kościół katolicki jest skarbnicą świadomości narodowej. Prześladowanie mniejszości narodowej zbiega się z dyskryminacją przekonań religijnych. Dodajmy tutaj, że walka o prawa narodów Związku Sowieckiego stanowi dziś jeden z głównych nurtów oporu przeciwko wielkoszowinistycznej polityce Kremla.

(Tłumaczył i opracował A. J. Ch.)

Dezinformacja

W grudniu ubiegłego roku ukazał się nr 12-ty sowieckiego miesięcznika *Woprosy literatury*, poświęcony literaturze PRL. Trzon tego numeru w sensie informacji dostarczonych czytelnikowi sowieckiemu stanowią artykuły autorów polskich: Janusza Termera (zakalec o „literaturze w ogóle”), Andrzeja Lama (o poezji), Michała Misiornego (o dramaturgii), Witolda Nawrockiego (o krytyce literackiej), Wilhelma Szewczyka (o temacie pracy we współczesnej prozie polskiej) oraz Wojciecha Żukrowskiego (o książkach, poświęconych walce z faszyzmem). Nie będę tu wniknął w sprawy, które są rzeczą gustu; komuś się coś może podobać, a coś nie. Od jednej uwagi wszakże nie mogę się powstrzymać. Janusz Termer wywodzi mianowicie, że „formalne i artystyczne eksperymenty takich pisarzy, jak Stanisław Ignacy Witkiewicz, Bruno Schulz i Witold Gombrowicz” okazały się „nieprzydatne” dla polskiego piśmiennictwa powojennego. Jest to niepoczytalna dezinformacja sowieckiego czytelnika, albowiem wpływ tych trzech wielkich polskiej literatury — wielkich w zasięgu dzisiaj już światowym — jest po wojnie i stały, i trwały.

Największym skandalem tych artykułów są przemilczenia tak jaskrawe, że nie ulega wątpliwości, iż rozmyślne. W korowodzie wymienionych nazwisk brak *całkowicie*: Jerzego Zawieyskiego, Stefana Kisielewskiego, Mirona Białoszewskiego, Jacka Bocheńskiego, Wiktora Woroszyńskiego, Artura Międzyrzeckiego, Julii Hartwig, Stanisława Jerzego Leca, Jalu Kurka, Tadeusza Peipera; Tymoteusz Karpowicz wymieniony jest tylko mimochodem w

artykule Misiornego, w artykule Lama o poezji jego nazwisko się nie pojawia. W artykule Nawrockiego o krytyce przemilczeni zostali: Ryszard Przybylski, Edward Balcerzan (jako poeta u Lama też nie figuruje), Jerzy Kmita, Jacek Trznadel, Jerzy Kwiatkowski, Jan Józef Lipski, Zbigniew Żabicki, Marta Piwińska (chciałoby się dodać: i wielu innych, m.in. Ryszard Matuszewski); zaatakował natomiast Nawrocki ostro Janusza Sławińskiego i Michała Głowińskiego za grzech strukturalizmu, co w tym układzie nosi charakter donosu.

Zdumiewającej rzeczy dokonał Wojciech Żukrowski. Pisząc o polskiej literaturze antyfaszystowskiej nie wymienia „Medalionów” Nałkowskiej (książka ta istnieje co prawda w wylizancie Termera), „Wielkiego tygodnia” i „Przed sądem” Andrzejewskiego (Termer pisze mimochodem o tomie opowiadań „Noc”), mówiąc o Borowskim rzeczy mętne i niesłuszne, nie wymienia tytułów — ani „Pożegnania z Marią”, ani „Kamienno święta”. O Różewiczu u Żukrowskiego ani słowa. Listę można mnożyć.

I jeszcze Andrzej Lam. Wspomniałem już, że nie ma u niego poetów tej wagi, co Miron Białoszewski czy Tymoteusz Karpowicz. Ale nie ma również nazwisk poetów tzw. pokolenia 70. Oto, co miał o nich do napisania: „W porównaniu z twórczością poprzedników poezja ich jest raczej polemiczna (nie bardzo rozumem, o co chodzi, co znaczy: polemiczna? — W.W.). Autorzy ci szukają jeszcze swego miejsca w chórze głosów, składających się na lirykę polską”. — Znowu dezinformacja: minęło z górą sześć lat od chwili, gdy poeci tego pokolenia weszli do literatury polskiej i czy to się komu podoba, czy nie, są w niej zjawiskiem ważnym; a Lam informuje czytelnika sowieckiego, że nie są zjawiskiem ważnym.

Na zakończenie istotna uwaga. O ile autorzy polscy, którzy napisali dezinformujące artykuły dla *Woprosów literatury*, mówiąc ogólnie, odstręczają, to autorzy sowieccy, przeciwnie, w niektórych wypadkach ujmują i budzą sympatię. Mam tu przede wszystkim na myśli piękny esej Mykoły Bażana o nieukończonym sonecie „Jastrząb” Mickiewicza, a także teksty Maksyma Tanka czy Janki Bryla. Dziwne to przeciwstawienie.

Witold WIRPSZA

Russkaja Vilnius w latach 70-tych

Z terminem „Russkaja Vilna” spotykamy się po raz pierwszy w wydanej przez Murawiewa w 1864 roku książce adresowej wileńskich urzędów i instytucji. Oznaczał on wówczas stosunkowo niedużą obcą narośl na żywym

organizmie miasta, która wysysała część jego żywotnych soków i zniekształcała oblicze, nie zdołała jednak porazić żywotnych funkcji. Charakter tej naraści i jej funkcjonowanie w początkowym okresie ilustrują opisane w *Russkaj Starinie*¹ wydarzenia z życia rodziny Stołypinów.

Po „wygraniu w karty” w Petersburgu skonfiskowanego po powstaniu ślicznego majątku w Kowieńszczyźnie, osiedliła się ona dla kształcenia dzieci w Wilnie. Ponieważ stan ulicy Stefańskiej, przy której został „nabyty” dom z dużym ogrodem, pozostawiał wiele do życzenia, Stołypin ojciec poskarżył się na to „policmajstrowi”. Ten oświadczył, że powie w miejskiej *Uprawie*, iż wkrótce ma Pana odwiedzić Generał Gubernator, to ulicę natychmiast uporządkują i wybrukują. Korzystając z takich przywilejów materialnych, Stołypinowie mogli się poświęcić „twórczości kulturalnej”. Na początku lat 70-tych, ojciec z synem, późniejszym Premierem a ówczesnym wileńskim gimnazystą, napisali patriotyczny wodewil o zagrażającym Wilnu „polskim niebezpieczeństwie”. Został on parę razy wystawiony w miejskim teatrze, zaś końcowy kuplet:

„No Bielarussia i Litwa nie budut Polszej nikogda”

i przez pewien czas był powtarzany przez całą „ruską Vilnę”.

Chirurgiczna operacja w 1915 roku bez trudu usunęła obcą kilkunastu-tysięczną narośl z dużą korzyścią dla stanu organizmu. Pomimo nader niesprzyjających warunków ogólnych, mógł on przez dwie dekady żyć względnie normalnie; później jednak narodziła się po drugiej wojnie światowej w formie znacznie groźniejszej.

Dla kogoś kto przeżył czasy Stalina i Hitlera, okres murawiewowski wydawać się może sielanką; ilość egzekucji, za które Murawiew zdobył przydomek *Wieszatiela*, uzna on za „śmiesznie” małą; nie zaimponuje mu również liczba kilkunastu tysięcy aresztowanych i kilkudziesięciu tysięcy zesłanych w zestawieniu z idącą w setki tysięcy czy nawet miliony liczbą ofiar NKWD i Gestapo. Pod władzą Murawiewa skonfiskowano ogółem 1.794 majątki ziemskie, zaś dodatkowe 800 kazano właścicielom sprzedać osobom nie-polskiego pochodzenia. Pomimo to przed pierwszą wojną światową w rękach polskich pozostawało 4.617 majątków w byłej guberni wileńskiej, 3.654 — w kowieńskiej i 6.886 w grodzieńskiej²; dziś nie ma ani jednego. Jeśli do tego dodamy powojenną tzw. „repatrację”, która objęła w pierwszym rządzie elementy bardziej uświadomione, nie ulega wątpliwości, że w latach 40-tych wieku XX grunt pod budowę rosyjskiego ośrodka na miejscu dawnego Wilna był znacznie lepiej przygotowany, niż w latach 60-tych wieku XIX. Wówczas około 90 % rdzennej ludności miasta pozostawało na miejscu, zaś w 1944 roku, czyli jeszcze przed „repatracją” liczba mieszkańców Wilna zmalała z 215.000 w 1939 roku do 110.000.

O metodach i postępkach tej zakrojonej na wielką skalę operacji, którą przyrównać można tylko do genocidju, dowiadujemy się z wydanego w 75-tysięcznym nakładzie w 1972 roku informatora w języku rosyjskim,

1. P. Gene, „Wilenskie wspomnienia”, *Russkaja Starina*, t. 158, czerwiec 1914, str. 608-9.

2. Liczbę polskich majątków ziemskich skonfiskowanych i przymusowo sprzedanych pod władzą Murawiewa, podaje H. Brodowska w *Historii Polski*, t. III, część 1, Warszawa 1970, str. 431-2; ilość majątków pozostających w poszczególnych guberniach w rękach polskich w przededniu pierwszej wojny podaje opracowanie w języku niemieckim zrobione w Wilnie za czasów niemieckiej okupacji *Litauen in historischer, ethnographischer und wirtschaftlicher Beziehung*, Berlin, 1918, str. 87-90.

upstrzonym dziwacznie brzmiącymi „lituanizmami”³. Pozornie bowiem rzekomo litewski charakter stolicy sowieckiej Litwy jest skrupulatnie przestrzegany, przez podawanie imion własnych w litewskim brzmieniu. Jest to zewnętrzna forma ukrywająca zasadniczo odmienną treść, co w pełni potwierdza omawiane wydawnictwo.

W wieku XIX-ym sprowadzani ze wschodu kolonisci i kulturträgerzy ginęli w masie miejscowej ludności i w dużej mierze ulegali jej wpływowi. Znaczna ich część zresztą przybywała na Litwę dla „odkarmienia się” lub zrobienia kariery, po czym wracała do ojczyzny, pozostawiając kraj takim jakim był w chwili ich przyjazdu. Dla zasadniczej zmiany jego charakteru potrzebna była zmiana stosunku liczbowego pomiędzy ludnością miejscową i napływową oraz zatrzymanie tej ostatniej możliwie na stałe. I jedno i drugie w wieku XX-ym stało się możliwe i realne.

Z rozdziału informatora zatytułowanego „Młodość miasta” dowiadujemy się o specjalnym nacisku w ostatnim 20-toleciu na rozbudowę przemysłu budowlanego, obsługującego powiększone z około 100 km² do 260 km² terytorium miejskie, zaś skoncentrowanego w dawniej podmiejskich Ponarach.

„Ćwierć wieku temu były tam łąki, zaś sąsiednie panieriajskie wzgórza porośnięte były gęstym lasem... Za czasów władzy sowieckiej oblicze tych miejscowości zmieniło się nie do poznania; wyrosły tu duże przedsiębiorstwa, produkujące różnorodne wytwory — od cegieł wapienno-piaskowych (silikatowych), budowlanych materiałów izolacyjnych, płyt z miazgi drzewnej, do mebli i telewizorów. Szczególny jednak rozgłos uzyskał znajdujący się tam kombinat budowy domów. Produkuje on nie tylko żelazo-betonowe części składowe, lecz także buduje z nich całe kompleksy mieszkalne...

W 1959 roku wyrósł pierwszy dom wielopiętrowy, po czym budownictwo z gotowych części (*sbornoje stroitelstwo*) wciąż się rozszerzało. Do 1971 roku kombinat wybudował ponad milion m² powierzchni mieszkalnej (ok. 28.000 mieszkań), czyli drugi Wilnius w porównaniu z 1945 rokiem. Obecnie w ciągu jednego roku buduje się tyle samo mieszkań, ile zostało wybudowanych w ciągu całego dwudziestolecia przedwojennego: ponad 70 % budowli jest rezultatem działalności kombinatu budowy domów...

Na wysokości Antokolu, na prawym brzegu rzeki rozciąga się szeroko nowy rejon mieszkalny — *Zirmunaj*, zbudowany przez kombinat w latach 1964-1969. Mieszka tam 50.000 osób... Na przeciwnym brzegu niskim brzegu *Neris* biegnie wyrosły w ciągu ostatnich 15 lat rejon mieszkalny *Antakalnis*...

Wróćmy jednak do *Zemejn Panieriaj*. W 1969 roku został tam zbudowany najdłuższy w *Vilniusie* most... Na drugim brzegu rzeki *Neris*, na wzgórzach porośniętych sosnami, mamy jeszcze jeden nowy rejon mieszkalny stolicy, *Łazdinaj*, zbudowany w 1969-1971... 5-cio-13-stopiętrowe gmachy z gotowych części malowniczo ulokowały się w jednym z najpiękniejszych rejonów Wilnius. Pracując nad tym projektem, architekci wykazali dużo pomysłowości; umiejętnie wykorzystując różnorodność terenu stworzyli udane kompozycje domów

3. Medonis Arolfas, Edwardo (*sunus*, syn, czyli rosyjskie *otczestwo*), Wilnius. Ofornlenie i foto Z. Kazenasa. Redakторы: R. Szturo, L. Koksztenė; tech. redaktor B. Szczesnė; korektor H. Kalvelite. Tiraż 75 000 egz. Sdano w nabor 1. II. 1972. Podpisano k pieczęci 18. V. 1972; cena 28 kop., stron 50.

15 typów. Rejon składa się z czterech osobnych dużych kompleksów... Mieszka w nim ponad 40.000 ludzi.

Za Łazdinaj, na wznoszącej się wysoko ponad rzeką równinie, budują się jeden po drugim domy jeszcze jednego rejonu mieszkalnego, Karoliniszkes. W 1972-1974 otrzyma tam mieszkania 45.000 ludzi... W ciągu najbliższych lat oprócz tych dwóch nowych rejonów na północnym zachodzie, zjawiają się i inne. W ciągu bieżącej pięcioletki (1971-1975) około 100.000 wilniusców otrzyma nowe mieszkania. W taki sposób, dzięki wspólnym twórczym wysiłkom architektów i budowniczych rodzi się nowy współczesny Wilnius”.

W intencjach miarodajnych obecnie czynników nie będzie on miał wiele, czy nawet nic, wspólnego z Miłym Miastem Jagiellonów, Śniadeckich, Mickiewiczza i Piłsudskiego, symbolem naszej wielkiej kultury i państwowej ongiś potęgi; gdzie mury tęsknie na pogórki spoglądały, a gdy na których z pagórków się weszło, ku niebu przez mgły oparów błyszczały do góry wieżycy, wieżyczki, na których, gdy dzwony zadzwonią, nie było wiadomo, czy się skarżą, czy o łaskę proszą, czy tęskny tylko do nieba głos wznoszą⁴.

By zniszczyć tę, niebezpieczną dla moskiewskiej przemocy, siłę magiczną, jednocześnie z budowaniem na pagórkach wielopiętrowych żelbetonowych koszar, niszczone wieżycy i wieżyczki w śródmieściu. Z datowanego 31 sierpnia 1975 r. numeru 18-go litewskiej podziemnej *Kroniki Kościoła Katolickiego w Litwie* dowiadujemy się o smutnym losie gmachów, nad którymi się wznosiły owe wieżycy i wieżyczki. Oto niektóre z tych informacji: w dawnej Katedrze ulokowano galerię obrazów; kościół Augustianów zamieniono na skład materiałów dla rozbudowy sieci elektrycznej; kościół Bernardynów na skład Instytutu Sztuki i pracownię rzeźbiarską; kościół Św. Ignacego na skład dekoracji studium kinematograficznego i restaurację; Serca Jezusowego na klub budowniczych; Św. Jakuba na skład dekoracji opery i baletu; kościół Św. Jana był składem papieru, obecnie przerabia się go na muzeum „myśli postępowej” oraz salę koncertową; w kościele Św. Jerzego jest skład makulatury, Św. Katarzyny — produktów mięsnych; kościół Św. Kazimierza w 1961 roku został przebudowany ze składu na muzeum ateizmu; kościół Bonifratrów na salę koncertową, Franciszkanów na archiwum centralne; kościół Św. Michała (Bernardynek) był składem, następnie umieszczono tam wystawę budownictwa; w kościele Św. Stefana mieści się skład cementu i innych materiałów budowlanych; kościół Św. Trójcy był salą sportową następnie pracownią muzeum historycznego i etnograficznego; w kościele Trynitarzy jest skład wojskowy; kościół Wszystkich Świętych był składem produktów żywnościowych, po przebudowaniu latem 1975 roku mieści wystawę sztuki ludowej; w kościele Wizytek jest więzienie dla małoletnich.

W prawosławnej cerkwi Św. Trójcy (Bazylianów) umieszczono laboratorium wytrzymałości materiałów budowlanych; w świątyni kalwińskiej — salę sportową; w luterańskiej — kino. Ze świątyni katolickich na razie się ostały kościoły Św. Anny oraz Piotra i Pawła na Antokolu, no i Ostra Brama; 35 kapliczek stacyjnych w podwileńskiej Kalwarii wysadzono w powietrze dla „uczczenia” 25-lecia włączenia Litwy do Sowietckiego Sojuszu. Krzyże na górze Trzykrzyskiej wysadzono wcześniej.

Pozostawione w Wilniuse świątynie wystarczać mają dla potrzeb religijnych kilkudziesięciotysięcznej resztki jego dawnych mieszkańców, ulega-

4. Józef Piłsudski, Przemówienie na zjeździe legionistów w Wilnie 12 sierpnia 1928 roku, *Przemówienia, wywiady, artykuły*, t. IX, Warszawa, 1931, str. 164.

jących zresztą coraz bardziej wpływom i roztapiających się w masie nowych przybyszów. Ich procent zbliża się obecnie do 80; wynosząca poniżej 100.000 liczba mieszkańców Wilna po „repatriacji”, według danych informatora wzrosła w 1972 roku do 400.000, a obecnie ma się zbliżać do, czy nawet przekroczyć, pół miliona. Ci nowi „wilniusey”, teoretycznie przynajmniej, żadnych potrzeb religijnych nie mają i świątynie nie są im potrzebne, zaś stwarzane dla nich luksusowe, jak na stosunki w Sowietach, warunki mieszkaniowe pozwalają przypuszczać, że zechcą oni osiedlić się na stałe.

Prawdopodobnie nie wszyscy z nich są narodowości rosyjskiej, jednakże używanie języka rosyjskiego staje się dla nich konieczne zarówno przy porozumiewaniu się pomiędzy sobą jak i w stosunkach w tubylcami. Jeśli za czasów carskich masie niemówiących po rosyjsku mieszkańców miasta trzeba było narzucać język rosyjski pod przymusem to obecnie dzieje się to „naturalnie”. Szczątki dawnej nie-rosyjskiej kultury, obok zachowanych kilku świątyni, reprezentuje jedno „mieszkanie-muzeum”. Omawiane wydawnictwo informuje o nim w sposób następujący:

„Mieszkanie-muzeum A. Mickiewicza (zauł. *Piles* 11) znajduje się w domu, gdzie mieszkał poeta w 1822. Ekspozaty naświetlają okres życia Mickiewicza w Wilniuse oraz niektóre etapy jego drogi twórczej”.

Tę dość lakoniczną i „nowym wilniusem” niewiele mówiącą informację bezpośrednio poprzedza inna o znacznie ważniejszym obecnie obiekcie:

„Literackie Muzeum A. S. Puszkina (ul. *Subaczius* 124) osiedliło się w domu, który w końcu XIX wieku należał do syna wielkiego rosyjskiego poety, Grigorja, i jego żony. Ekspozaty muzeum informują o różnych etapach życia i twórczości A. S. Puszkina oraz o rozpowszechnieniu jego utworów w Litwie. Wystawione są pierwsze rzadkie książki poety oraz niektóre przedmioty umeblowania w siole Michajłowskoje”.

Aczkolwiek Puszkina w Wilnie nigdy nie był i nic o nim nie pisał, zaś jego „literackie muzeum” znalazło się jak kukułcze jajo w podwileńskiej posiadłości Markucie, skonfiskowanej po 1863 roku i „podarowanej” carskiemu ministrowi Aleksiejowi Mielnikowowi, z którego córką Warwarą ożenił się syn Puszkina w 1884, charakter i objętość obu informacji świadczą, że miarodajne obecnie czynniki chciałyby w Wilnie wiedzieć miasto Puszkina, raczej niż Mickiewicza. W tym samym kierunku działa utworzony w Wilnie w 1946 roku rosyjski teatr dramatyczny, który, jak pisze omawiany informator:

„wzbogaca życie kulturalne Wilniusa wielu ciekawymi inscenizacjami sztuk klasyków rosyjskich i zagranicznych oraz dramaturgów sowieckich. Dzięki swoim występom (poza Wilnem) teatr ten jest znany w różnych miastach sowieckiego sojuszu”.

Wszystko to świadczy o upartym trzymaniu się przez obecnych przywódców sowieckich sloganu, sformułowanego w stołypinowskim wodewilu, i o ich konsekwentnym realizowaniu murawiewowskiego marzenia o „ruskiej Wilnie”.

Wiktor SUKIENICKI

Luty 1976

Białoruś

Uważny podróżny, mający też możliwość popasania i rozglądania się po drodze z Niemiec Zachodnich na Wschód, zauważy stopniowy spadek jakości. W Niemczech Wschodnich już jest gorzej, lecz lepiej niż w Polsce, zaś po przekroczeniu granicy sowieckiej daje się zauważyć dalsze stopniowe obniżenie standardu życiowego. W zachodniej części republiki białoruskiej zaopatrzenie jest trochę lepsze niż we wschodniej i nieco odmienne, tak iż poprzez dawną polsko-sowiecką granicę, dziś nie istniejącą, bywa nawet prowadzony „czarny handel”. Dalej na rosyjskiej prowincji jest podobno jeszcze gorzej, w Moskwie lepiej, po drodze do Uralu znów gorzej, i na Syberii lepiej, bo tam płace są wyższe.

Skoro prezydenci Pompidou i Nixon byli zapraszani na krótkie postoje na Białoruś, należało poczynić i tam pewne zabiegi kosmetyczne. Zresztą Republika Białoruska przeszła wielkie przeobrażenia dzięki rozbudowie przemysłu i odkryciu bogactw mineralnych: soli potasowej, fosforytów i in., a zwłaszcza ropy naftowej, której dobytec roczne sięga 7 milionów ton. Ropa dobywana jest we wschodniej części Polesia a rafineria nafty powstała na północy koło Połocka. Były projekty założenia fabryki samochodów Fiata w Homlu, nim zdecydowano ją umieścić gdzieś nad Wołgą. Przemysł motoryzacyjny na Białorusi powstał już dawniej, istnieje bowiem wielka fabryka ciężkich traktorów „Biełarus”, produkowanych w ilości około stu tysięcy rocznie i częściowo eksportowanych. Białoruś zyskała pewien potencjał gospodarczy. Toteż przed wizytą Nixona wysłannicy Białego Domu zbierali informacje o tym kraju w białorusko-amerykańskich instytucjach w New Yorku. Skoro już mowa o New Yorku i instytucjach kulturalnych, to warto wspomnieć wypadek z tej dziedziny. UNESCO miało wydać antologię poezji czy też pieśni białoruskich w angielskim tłumaczeniu. Wszystko szło pomyślnie, aż się okazało, że na okładce widnieje godło Białorusi — Pogoń. Związek Sowiecki zaprotestował i UNESCO wycofało się z tej imprezy. Albowiem ta niepodległa Białoruś bez godła, staje się w szybkim tempie prowincją rosyjską.

Pewien Białorusin, który odwiedził ostatnio Białostoczną i Mińsk, twierdzi, że jeżeli tak dalej pójdzie bez zmian, to Białorusini dłużej ostoja się w Białymstoku niż w Mińsku. W Polsce mają oni gimnazjum, pismo „Niwa” na jakimś poziomie, wykładowców na uniwersytecie warszawskim itd. Tu westchnął: „Gdybyż Polska przedwojenna stosowała taką politykę kulturalną”. Zaś w milionowym Mińsku na 19 szkół średnich ogólnokształcących, tylko jedno gimnazjum jest całkowicie białoruskie. W innych wykłady są całkowicie lub prawie całkowicie w języku rosyjskim, a białoruski jest wykładany jako język. I to nie we wszystkich, gdyż rodziny wojskowych oraz pracowników nie osiadłych tu na stałe, mają szkoły bez języka białoruskiego. W szkołach powszechnych stopniowo jest wprowadzany język rosyjski jako wykładowy. Gdzie na pograniczu jest kilku Litwinów, czy też grupa Polaków, to już wystarcza, aby szkoła była prowadzona w języku dla wszystkich zrozumiałym — rosyjskim. Tak więc obecność Polaków usprawnia rusyfikację.

Prasa litewska podaje jakie trudności nie do przewyżnienia napotyka utrzymywanie w szkole lekcji języka litewskiego (kilka razy na tydzień), zaprenumerowanie gazety litewskiej z Wilna itd. Potrzebne jest na to spa-

cialne pozwolenie. Wilnianin, aby zafundować prenumeratę gazety współziomkowi musi dostać pozwolenie od władz obu republik i z góry jest uprzedzony, że najwyżej dwom. Taki jest los nielicznych tamtejszych Litwinów. A Polacy? Nie ma żadnych lekcji języka polskiego, ani możliwości prenumerowania polskich gazet. Jedyną ostoją są bardzo rzadko rozsiani polscy księża-staruszkowie. Młody Polak, który nawet nie zna liter łacińskich wyrasta w najlepszym razie na Polaka mówiącego po rosyjsku.

Dobra znajomość języka rosyjskiego i ukończenie szkoły rosyjskiej dają lepsze widoki kariery, więc też młode pokolenie Białorusinów rusyfikuje się.

Gość z Ameryki czy Australii mówiący biegle po białorusku, trafia do rodziny mieszkającej w kraju ojczystym, a mówiącej już obcym językiem i trochę swych krewniaków tym zawstydzą. Ilość podręczników białoruskich zmniejsza się, odsetek wydawnictw w języku rosyjskim wzrasta. W krajach bałtyckich odmiennosc kultury utrudnia rusyfikację. Poczucie własnej „zachodniości” i wyższości, stwarza odporność. Na Białorusi nie ma tego antagonyzmu, przeto odporność jest bardzo osłabiona, a w wyniku tego zagrożenie rusyfikacją poważne.

Uścisk religijny jest wciąż wielki. Nie ma seminarium duchownego żadnego wyznania, i niedopuszczani są duchowni, ani katolicy z Litwy czy Polski, ani prawosławni z obłaskawionej przeciw cerkwi w Rosji. Baptyści również są prześladowani, chociaż czasem mają poparcie z Ameryki. Dzięki tym kontaktom o ich prześladowaniu więcej się słyszy na Zachodzie. Lecz w ogóle rzadko na Zachód przeciekają wiadomości, czasami tylko dzięki ogłoszonym zaprzeczeniom. W sierpniu br. miejscowa prasa sowiecka zaprzeczyła jakoby Augen Siczikow i jego towarzysze zostali skazani za agitację religijną. Winni oni byli kolportowania nasłuchów zagranicznego radia. Było to zaopatrzone w komentarz, że Watykan współdziała z kapitalistami w akcji skierowanej przeciw Związkowi Sowieckiemu. O tamtejszej „swobodzie” dochodzą jedynie fragmentaryczne wieści. Pewien Białorusin, przejęty tęsknotą do kraju rodzinnego, powrócił. Po paru latach jego żona, która nie wyrzekła się obywatelstwa nabytego na Zachodzie, zdołała się wyrwać z powrotem. Opowiadała ona, jak często mąż chodził na policję, jak wpadł w ciężką depresję i rozpił się. Bowiem policja i samogon są ważnymi składnikami dnia rodzinnego dzisiejszej Białorusi.

E. ŻAGIELL

Kronika litewska

Dotarła na Zachód odezwa podziemia z trzech państw bałtyckich, domagająca się wycofania wojsk sowieckich, a wprowadzenia oddziałów Organizacji Narodów Zjednoczonych i przeprowadzenia wyborów pod jej przewidywaną administracją. ■ Ukazał się w Ameryce piąty rocznik „The Violation of Human Rights in Soviet Occupied Lithuania”, A Report for 1975, w języku angielskim, 140 stron, zawierający dokumentację ucisku na Litwie. Cena z przesyłką — Dol. 3,00; adres: Lithuanian American Community Inc., 107, Custis Road, Gleside, Pen. 19038 — USA. ■ „Kronika Litewska” z *Kultury* nr 1/340-2/341 została w tłumaczeniu na litewski rozesłana do prasy przez emigracyjną agencję informacyjną ELTA. Skrócony nieco tekst (zawierający jeden błąd: „gburowaty” przetłumaczono — „grzczyzny”) został wykorzystany w wielu gazetach na trzech kontynentach. ■ Sprawy

zmian w konstytucji PRL poświęcono dużo wagi, zamieszczając memoriał 59-ciu itd. Litwini wskazują, że ponieważ programem minimalnym byłoby uzyskanie na Litwie takich warunków, jak w Polsce, więc w interesie Litwinów jest, by w Polsce te warunki się nie pogarszały. ■ Kwartalnik *Seja* (Chicago) w nr. 4 z 1975 roku rozpoczął przedruk z *Kultury* cyklu dyskusji pt. „Co robić?”.

„Dyskusje i wypowiedzi różnych kierunków trwają nadal. W każdym numerze *Kultury* znajdujemy na ten temat artykuły i redakcja chyba nie prędko wyciągnie z nich swoje wnioski. Jednak to zagadnienie jest aktualne i dla nas, Litwinów: rozpatrywane problemy i odpowiedzi dotyczą i nas, i naszej podobnej sytuacji. Naturalnie problemy są, być może, szersze i bardziej skomplikowane. Ich łączność z narodem jest bardziej ułatwiona. Podróże do Polski i z Polski są liczniejsze. Ustosunkowanie się Rosjan może być szerzej omawiane, gdyż tam jest większa wolność, niż na Litwie. Same dyskusje ciekawe, z użyciem nowej terminologii, charakterystyk komunizmu, totalizmu i innych przejawów systemu. Często w tych rozważaniach znajdujemy problemy, których nie dostrzegamy, np. przywrócenie słowom ich właściwego znaczenia itp. Mają one szeroki zakres i są głębokie. Dyskutują ludzie na wysokich stanowiskach, o wielkiej erudycji i umiętym władaniu piórem, dążąc do wyjaśnienia problemów i dojścia do konkretnych, uzgodnionych wniosków. Zawierają też nie tylko wyłożenie swych poglądów, ale i ostre krytyki wypowiedzi oponentów. Te pozytywne rozważania będziemy referować czytelnikom *Seja* i podamy końcowe wnioski redakcji *Kultury*”.

E. ŻAGIELL

Kronika ukraińska

MILENA RUDNICKA O MORDZIE PROFESORÓW LWOWSKICH

Paryż, 8 maja 1976.

Drogi Panie Redaktorze,

Poruszony nieoczekiwaną śmiercią — spowodowaną wypadkiem samochodowym — Mileny Rudnickiej, wielkiej patriotki ukraińskiej, przed wojną wieloletniej posłanki na Sejm w Warszawie z ramienia radykalnego skrzydła U.N.D.O., pragnę z Pańskim łaskawym pośrednictwem podać do wiadomości publicznej niezmiernie charakterystyczny list, który od niej otrzymałem a który łączy się ze sprawą zabójstwa profesorów lwowskich, a wśród nich mego stryja, Tadeusza Boya-Żeleńskiego.

Oto jego genexa. Będąc na Wielkanoc 1975 roku w Monachium, zatelefonowałem w dn. 29 marca do Mileny Rudnickiej, której nie znałem, prosząc o rozmowę na temat tego zabójstwa i udziału Ukraińców w tej zbrodni. Z powodu złego stanu zdrowia (o którym już słyszałem), Milena Rudnicka nie mogła mnie przyjąć, ale bardzo uprzejmie zachęciła mnie do przedstawienia jej sprawy przez telefon. Wywiązała się bardzo długa, bez mała godzinna rozmowa w języku polskim, którym Rudnicka władała bezbłędnie. Przedstawiłem Rudnickiej moje starania u niemieckich władz prokuratorskich oraz ustalane już fakty, związane z rolą Ukraińców w zabójstwie, a to ich udział w komandach gestapo, które dokonały aresztowań profe-

sorów i oświadczenie SS Untersturmführera Waltera Kutschmanna do dr. Karoliny Lanckorońskiej w roku 1942, że lista proskrypcyjna została sporządzona przez „marnych studentów ukraińskich”. W związku z tym zaapelowałem do Rudnickiej w imię względów czysto ludzkich o pomoc w wyjaśnieniu kulisów tej zbrodni, prosząc by podała mi wszystkie szczegóły, o których wie, a które mogą posłużyć do rozplątania tej tragicznej sprawy.

Milena Rudnicka odpowiedziała mi, że jest tą zbrodnią w najwyższym stopniu oburzona, że potępia wszystkich znanych i nieznanych jej sprawców i że bez wahania udzieliłaby mi wiadomości, mogących pomóc w wykryciu sprawców, obojętne Niemców czy Ukraińców, niestety jednak żadnymi danymi nie rozporządza i pomóc mi nie może.

Gdy rozmowa zeszała na stosunki polsko-ukraińskie pod pierwszą okupacją sowiecką we Lwowie, wspomniałem Rudnickiej o niezmiernie ciekawej relacji jej brata, Michajła Rudnickiego z rozmowy z Boyem-Żeleńskim we Lwowie. Relacja ta ukazała się, w tłumaczeniu polskim, w czasopiśmie warszawskim *Człowiek i Światopogląd* w roku 1974. Rudnicka zainteresowała się bardzo tą publikacją, której nie znała, wobec czego obiecałem jej przesłać mój egzemplarz do przeczytania. Ponadto wobec wyrażonego zainteresowania, zapowiedziałem, że prześlę jej moje artykuły, ogłoszone w londyńskich *Wiadomościach* na temat egzekucji profesorów, oraz odbitkę z *Zeszytów Historycznych* z moją pracą o zabójstwie ministra Pierackiego. Zaznaczam, że już na wstępie rozmowy wyraźnie zazaczyłem, że byłem do wojny wiceprokuratorem i że w procesie o to zabójstwo wystąpiłem jako oskarżyciel publiczny.

Rozmowa przybrała niezmiernie szczerą i serdeczny charakter. Rudnicka wyraziła życzenie, by jej brat Kiedryn Rudnicki, który miał właśnie przybyć do Europy, zetknął się ze mną w Paryżu (do czego następnie nie doszło). Mówiąc o drugim swoim bracie, wspomnianym Michajłowi Rudnickim, profesorze Uniwersytetu we Lwowie, zwierzyła mi wątpliwości i rozterkę związaną z jego postawą współpracy z władzami sowieckimi. Mówiła o stawianych mu na emigracji zarzutach i brała brata w obronę, wskazując na wiadomy nacisk, którego jest ofiarą.

Po powrocie do Paryża wysłałem do Rudnickiej publikację jej brata Michajła oraz moje artykuły. Po czym wystosowałem dn. 4 kwietnia dłuższy list, w którym dziękowałem za ujmującą rozmowę, zapowiedziałem nadesłanie druków, prosiłem o odpowiedź i poruszyłem sprawę języka naszej korespondencji. Rudnicka zapowiedziała mi mianowicie, że napisanie po polsku sprawiłoby jej wielką trudność i że chyba odpowie mi po ukraińsku. W pierwszej chwili nie zgłosiłem przez telefon zastrzeżeń. Teraz jednak, po namyśle, poprosiłem ją by tego nie robiła, bowiem języka ukraińskiego niestety nie znam, a na domiar nie mam w Paryżu tłumacza, któremu bym mógł powierzyć jej list do przetłumaczenia. W związku z tym prosiłem, by napisała po polsku, choćby z błędami lub, jeśli woli, po niemiecku.

W kilka dni później otrzymałem odpowiedź w języku polskim, którą poniżej przytaczam:

„Monachium, 8. IV. 1975.

Wielce Szanowny Panie,

Otrzymałam dzisiaj Pański list z 4 hm. i równocześnie posyłam z dwoma czasopismami. Za wszystko najserdeczniej dziękuję. Warszawskie czasopismo odeśle najdalej za 8-10 dni.

Kiedryn wylatuje z New Yorku 27. V. wieczorem. Napiszę do niego jeszcze dzisiaj.

Ukraińskie społeczeństwo powinno zrozumieć, że jego obowiązkiem jest wyjaśnić rolę Ukraińców w mordzie lwowskich profesorów. Należy tę sprawę przypominać, rozgłaszać, aktualizować. Ale jak to zrobić, kiedy żaden

ukraiński organ prasowy nie wydrukuje o sprawie ani jednego wiersza?! Ogół społeczeństwa na emigracji i tak zwana opinia publiczna znajduje się pod komendą banderowców. (Dwa inne odłamy nacjonalistów nie o wiele lepsze). Trzeba chyba wysłać masowo listy do stowarzyszeń i osób apelując do ludzkiego sumienia, do najlepszych zasad ludzkich. Należy zwrócić się listownie do biskupów Ukraińskiej Cerkwi Katolickiej i do OO. Bazylianów, aby uświadomili społeczeństwo, jaką odpowiedzialność ono ponosi, kiedy milczy i nic nie robi. Cerkiew powinna rzucić klątwę na tych Ukraińców, którzy w jakiegokolwiek mierze brali udział w mordzie.

Nie mam żadnych iluzji. Nic nie zrobią, a jednak trzeba krzyczeć...

Zaprosiłem do centralnego komitetu przedstawiciela Ukraińców (Borys Lewicki?).

Bardzo przepraszam, że piszę ręką, przepraszam za nieudolny język, błędy i formę. (Piszę w łóżku). Wyrazy szczerego szacunku,

Milena Rudnicka".

Niech mi wolno będzie do tego wzruszającego listu, który nie wymaga żadnych komentarzy, dorzucić parę słów z mojej odpowiedzi. W liście z dn. 21 kwietnia, dziękując za wypowiedź wskazałem, że trudno mi jest w sprawie lwowskiej zwrócić się do jakiegokolwiek organów ukraińskich, a co do Komitetu przyjęta jest zasada, że składa się on z samych profesorów, zamieszkałych w Paryżu. Po czym nawiązując do publikacji Michałto Rudnickiego o Boyu, zaznaczyłem, że jak się zdaje „we Lwowie obaj związali się przyjaźnią. Boy zbliżył się również z Hawrylukiem, który zginął potem od bomby niemieckiej, w czerwcu 1941 roku. To zbliżenie intelektualistów i pisarzy ukraińskich z Boyem, to jedno z krzepiących, łączących zdarzeń w naszej historii. Im więcej takich tkanek łącznych, tym lepiej. Mam uczucie, że Pani list, napisany od serca, tak świetną, czystą polszczyzną, jest także taką klamrą. Nasze narody, dziś już nie splątane na jednej ziemi lecz położone obok siebie, sąsiadujące, mające takie same cele: wolności i niepodległości, powinny się złączyć przyjaźnią i obopólnym szacunkiem. Ale ma Pani rację, że droga do tego prowadzi przez znalezienie wspólnego języka moralnego i jednolitej postawy etycznej.

Ręce Pani całuję i ślę wyrazy wysokiego, szczerego szacunku".

Na tym korespondencja moja z Mileną Rudnicką się zakończyła. Myślę, że należy ją ogłosić w imię tej troski, którą jest przepojona.

Łączę serdeczny uścisk dłoni,

Władysław ŻELEŃSKI

W marcowym numerze lwowskiego pisma *Żowteń* ukazał się artykuł I. Łozińskiego o Władysławie Orkanie wraz z wyborem wierszy poety w przekładzie W. Łuczuka. Artykuł jest ilustrowany fotografiami tytułowych stronice książek pisarzy ukraińskich, podarowanych pocie, jak również tytułowych stronice utworów Orkana, wydanych w języku ukraińskim. ■ W nowej dzielnicy mieszkaniowej Lwowa jedna z ulic otrzymała nazwę Rzeszowskiej. Na tej ulicy, pod nr. 10-tym, otworzono nową kawiarnię „Wisła”. Jest to jedyne we Lwowie przedsiębiorstwo, w którym zawsze można otrzymać szeroki asortyment polskich potraw i produktów żywnościowych. W kawiarni są ponadto polskie czasopisma i gazety, nowe płyty oraz organizowane są wieczory taneczne. Gra orkiestra estradowa „Wodograj” i występują polscy soliści. Kawiarnia składa się z dwóch wielkich sal i baru na 156 miejsc.

Nowy model stosunków PRL-NRF

W miarę zbliżających się wyborów w Republice Federalnej polityka rządu koalicyjnego SPD/FDP coraz bardziej przypomina dramatyczne wysiłki drużyny piłkarskiej, starającej się tuż przed ostatnim gwizdkiem o strzelenie honorowej bramki na śliskim boisku *Ostpolitik*. W pierwszej dekadzie kwietnia nad Renem przebywał minister spraw zagranicznych PRL Stefan Olszowski. W kilka dni później Polskę odwiedził wiceprzewodniczący SPD, przewodniczący Senatu i burmistrz Bremy Hans Koschnick; w drugiej połowie kwietnia w Polsce i w Czechosłowacji bawił deputowany do Bundestagu, rzecznik frakcji SPD do spraw polityki zagranicznej, Bruno Friedrich. W czerwcu do Bonn ma przybyć Edward Gierek, spodziewana jest wizyta Husaka, prasa przebąkuje również o możliwości przyjazdu Breżniewa, a Erich Honecker niedawno mówił w superlatywach o perspektywach rozwoju stosunków między NRD i NRF...

Wizyta Koschnicka, zakończyła się podpisaniem umowy o współpracy między miastami Bremą i Gdańskiem. Na początek odwiedzić mają Bremę dwa polskie szkolne statki. Debatowano nad wymianą grup młodzieży, studentów, wykładowców wyższych uczelni, przedstawicieli związków zawodowych, członków załóg przedsiębiorstw. Wymianą mają być objęte również audycje radiowe i telewizyjne. Jak wynika z *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, strona polska miała wielokrotnie zapewnić, że gotowa jest spełnić życzenia Bremy zmierzające do umożliwienia także prywatnych kontaktów — niezależnie od rygorystycznie traktowanych delegacji oficjalnych. Znamienne jednak, że sprawa tych tzw. kontaktów prywatnych nie była przedmiotem rokowań ani zawartej umowy.

W tym samym czasie Warszawa w rozmowie z Niemcami daje do zrozumienia, iż przywiązuje dużą wagę do wyniku „historycznej” wizyty Gierka w Bonn, a *Kölnener Stadt-Anzeiger*, gazeta zbliżona do SPD, z zadowoleniem stwierdza: „Polska pragnie konkretnych rezultatów” (widocznie kolońscy dziennikarze nie wiedzą, że owe konkretne rezultaty oznaczają po prostu dalsze kredyty). Takie wrażenie miał odnieść także Bruno Friedrich, który spotkał się m.in. z kierownikiem Biura Edwardem Babiuchem i z zastępcą Olszowskiego Józefem Czyrkem. Według Friedricha, możliwe będą porozumienia z PRL dotyczące ściślejszej współpracy w dziedzinie kultury, ochrony środowiska i na polu wymiany młodzieży — „w tych dziedzinach Warszawa widzi największe możliwości”. Niemcy nie orientują się że w ramach „wymiany młodzieży” otrzymają nową porcję etatowych pracowników Wydziału Młodzieżowego KC PZPR i działaczy *sfederalizowanych* związków młodzieżowych. Warszawa natomiast zaprosi do siebie przedstawicieli niemieckich organizacji młodzieżowych o specjalnym odcieniu...

Wydaje się, że zarówno Bonn jak i Warszawa, przy cichym współdziałaniu Moskwy, byłyby skłonne nadać tym stosunkom pewien modelowy charakter... Innymi słowy, stosunki Bonn-Warszawa mają spełnić rolę swego rodzaju okna wystawowego *Ostpolitik*. Według rachub koalicyjnej bońskiej powinno to wzmocnić jej kapitał wyborczy w październiku br., a w myśl koncepcji Kremla stać się świadectwem jego „szczerych dążeń” w ramach *détente*.

Toteż nie przypadkowo Friedrich po Warszawie odwiedził także Pragę, gdzie w rozmowach z gospodarzami uzgodnił, iż wizyty Husaka w Bonn nie powinno nie obciążać. Z tego powodu ograniczono się do omówienia proble-

mów humanitarnych, w szczególności zaś sprawy emigracji do NRF 8.000 Niemców. W tym samym czasie w Jugosławii przebywał deputowany z SPD Mattick. Omawiał tam sprawy związane z przygotowaniem konferencji belgradzkiej w 1977 roku. Wszystko to prowadzi do wniosku, że obecnie istnieje pewna ograniczona zbieżność interesów Bonn i Moskwy w dziedzinie układów bezpieczeństwa w Helsinek: rząd koalicyjny NRF potrzebuje namacalnych sukcesów swojej *Ostpolitik* (choćby nawet za cenę zaakceptowania zaleceń Helmuta Sonnenfeldta, to jest pracy na rzecz „organicznego stonunku” między Sowietami a jej wschodnio- i środkowo-europejskimi satelitami), Kremlowi zaś niezbędne są argumenty na rzecz swoich interpretowanej przez Moskwę polityki odprężenia. W tym kontekście trzeba widzieć rolę Polski oraz jej stosunków z NRF: pozornie ostrożne, mocno kontrolowane złudzenie „otwierania się” w kierunku Republiki Federalnej ma dostarczyć zarówno Bonn jak i Moskwie pilnie poszukiwanych atutów.

W tych skromnych ramach Warszawa upatruje jednak swoje niemałe korzyści, przede wszystkim w dziedzinie gospodarczej. Na ten temat interesujące są wynerzenia nowego radcy handlowego ambasady PRL w Bonn, Leopolda Bulandry. Jak wynika z *Süddeutsche Zeitung*, PRL jest mocno zainteresowana szerszą niż dotąd współpracą przemysłową z NRF, dla przełamania obecnej stagnacji w stosunkach gospodarczych. Trwają rokowania na temat wspólnej realizacji czterdziestu wielkich projektów współpracy pomiędzy przedsiębiorstwami polskimi i niemieckimi. Bulandra wyraził żal z powodu zmniejszenia się stopy wzrostu obustronnych obrotów handlowych w 1975 roku: i tak wymiana towarów zmniejszyła się o 7,8 % (z 5,04 mld. marek w 1974 roku na 4,65 mld. marek), przy czym polski eksport wzrósł o 1,3 % (z 1,42 na 1,44 mld. marek), natomiast polski import (z NRF) zmniejszył się aż o 11 % (z 3,61 na 3,20 mld. marek). Bulandra powtórzył znany zarzut Warszawy, iż PRL czuje się dyskryminowana na skutek ograniczeń kontygentowych. Obejmują one 499 przemysłowych i 108 rolniczych wyrobów. Warszawa ma nadzieje na rychłe zniesienie wspomnianych ograniczeń. Przypuszczalnie będzie to jednym z głównych tematów rozmów Gierka w Bonn, bowiem wielki deficyt bilansu handlowego PRL (w 1974 r. 2,1 mld. marek, w 1975 r. 1,8 mld. marek) zaczyna coraz silniej hamować rozwój obustronnego handlu. W pierwszym kwartale br. sytuacja uległa pewnej poprawie, eksport z Polski wzrósł o 30 % i import z Republiki Federalnej o 35 %, ponadto dobrym symptomem jest niedawno zawarta w Hamburgu umowa między polskim przedsiębiorstwem handlowym *Centromor* i wielką niemiecką stoczną *Blohm und Voss*. Umowa zmierza do usprawnienia datującej się od lat współpracy, zwłaszcza w takich dziedzinach jak wymiana informacji technicznej oraz intensyfikacja wzajemnych obrotów.

Andrzej J. CHILECKI

Kraj

Wyjaśnienia Episkopatu

WYJAŚNIENIE SEKRETARIATU EPISKOPATU POLSKI W ZWIĄZKU Z PYTANIAMI DOTYCZĄCYMI ZMIANY KONSTYTUCJI

Spółceństwo katolickie w Polsce interesuje się stanowiskiem, jakie zajął Episkopat — do zmian projektowanych w Konstytucji PRL. Już po 151 Konferencji Episkopatu, dnia 18 lutego br. podano do wiadomości wiernych zwięzły Komunikat w tej sprawie. Wierni zgłaszają wiele zapytań, dotyczących Kościoła i praw ludzi wierzących w nowym układzie. By przynajmniej w części odpowiedzieć na te pytania, przekazujemy nieco obszerniejsze wyjaśnienie.

I. Biskupi skierowali do odpowiednich władz 2 memoriały: z dnia 9. I. i 26. I. br., w których wyłożyli podstawowe postulaty katolickiego społeczeństwa, niezbędne dla zachowania równowagi i pokoju życia i współpracy we wspólnej Ojczyźnie.

Konstytucja jest ustawą zasadniczą, przez którą suwerenny Naród ma prawo i obowiązek zabezpieczyć podstawowe prawa obywateli i określić zasady ustroju Państwa. Episkopat uważał za swój obowiązek zabrać głos z uwagi na to, że ogromną część społeczeństwa, którego dotyczą postanowienia Konstytucji, stanowią członkowie Kościoła Katolickiego. Sprawa ta posiada charakter nie tylko państwowy ale i moralno-społeczny. Biskupi jako przedstawiciele Kościoła i obywatele swej Ojczyzny mają pełne prawo i obowiązek wypowiadać się w tej sprawie.

Jak wiadomo z oficjalnych oświadczeń, zapowiedziane zmiany w Konstytucji wywołały szereg wypowiedzi i pism skierowanych do Komisji dla Spraw Konstytucji. Pisma te były wnoszone drogą legalną. Ich autorzy i sygnatariusze chcieli wypełnić swój obowiązek obywatelski i dali wyraz troski o wspólne dobro. Wszystko to świadczy o wrażliwości społeczeństwa, które ma swoją historyczną świadomość, osiągniętą przez wieki dziejowych doświadczeń. Społeczeństwo to jest z pewnością szczególnie uciążliwe na niezbywalne prawa człowieka i niezbywalne prawa narodu. Gdy idzie o prawa człowieka, to społeczeństwo nasze rozumie je zgodnie z narodową tradycją poszanowania ludzkiej wolności i przekonań, o czym mówi

Karta Praw Człowieka, potwierdzona ostatnio na Konferencji w Helsinkach. O tych samych prawach mówią dokumenty Soboru i encykliki Jana XXIII i Pawła VI (w szczególności „Pacem in terris” oraz „Populorum Progresso”).

Jeśli chodzi o prawa Narodu, to trzeba pamiętać, że zostały one okupione wielką pracą kulturalną i zmaganiem na polach walk, choćby w czasie ostatniej wojny światowej i wielu innymi ciężkimi ofiarami. Dlatego też posiadają one dla nas niezwykłą cenę.

II. Oto główne zasady przedłożenia Episkopatu, skierowane do Komisji Sejmowej, zawarte w w/w Memoriałach.

1) Biskupi dali wyraz niepokojom związanym z dążeniem do potwierdzenia w Konstytucji kierowniczej roli partii w Państwie. Zwrócili uwagę na płynące stąd niebezpieczeństwo podziału obywateli na dwie kategorie i poddanie całego życia światopoglądowi materialistycznemu, który jest nie do przyjęcia dla ludzi wierzących.

2) Biskupi dali wyraz niepokojom, związanym z dążeniem do potwierdzenia w Konstytucji przynależności Polski do światowego systemu socjalistycznego. Zwracali uwagę na to, że Konstytucja nie może zawierać niczego, co by ograniczało suwerenność Narodu i Państwa Polskiego. Episkopat odwołał się do zasad, przyjętych w Helsinkach, jak suwerenna równość, nienaruszalność granic, nieingerencja w sprawy wewnętrzne itp.

3) Biskupi wyrazili obawę, aby wolności praw i obowiązków obywateli nie kępował jeden światopogląd ideologiczny i system filozoficzny.

III. W nawiązaniu do tych społecznie żywionych niepokojów zostały w Memoriałach Episkopatu zgłoszone następujące postulaty do projektu Konstytucji:

1° Państwo ma obowiązek uszanować i chronić prawa Osoby-Człowieka-Obywatela. Niezbymalnych praw obywatelskich nie można uzależniać od wykonywania obowiązków.

2° Państwo ma obowiązek uszanować prawa Rodziny i nieść jej pomoc w wypełnianiu zadań rodzicielskich. W szczególny sposób uwydatnione pierwszeństwo rodziny przed zawodem i innymi grupami społecznymi czy politycznymi.

3° W Konstytucji należy zabezpieczyć korzystne warunki dla rozwoju Narodu zgodnie z jego dziejami, kulturą i zasługami. Naród nie może być wchłonięty przez organizmy ponadnarodowe lub pozapaństwowe.

4° Kościół zrośnięty z Narodem przez wspólne dzieje, służbę i dziejowe zasługi, ma prawo do odpowiedniego poszanowania swego posłannictwa. Wolność Kościoła oraz wolność sumienia i wyznania, kultu prywatnego i publicznego obywateli, jest warunkiem pokoju społecznego w życiu Narodu i Państwa.

5° W Konstytucji należy zagwarantować Państwu możliwość wypełniania swych obowiązków przez odpowiednie instytucje — Sejm i Rząd, niezależnie Sądownictwo, Urzędy, wolne Związki Zawodowe. Rząd musi być świadom swych obowiązków wobec wszystkich warstw Narodu i wykonywać je sprawiedliwie i bez przeszkód. Parlament należy powołać przez wolne wybory. Ma on być stróżem wszystkich praw i obowiązków obywateli.

6° Memoriał Episkopatu przypomina uprawnienia społeczne i ekonomiczne ludności rolniczej, m.in. rolników prywatnych, tej doniosłej warstwy dla kultury ziemi i żywienia obywateli.

7° Prawa Narodu i Państwa dla zachowania pełnej suwerenności w dziedzinie kultury narodowej, wolności gospodarczej — i własnych celów powinny być w Konstytucji uwydatnione i zagwarantowane. Należy przypomnieć prawo narodów do samostanowienia tak, jak o nich mówi Karta ONZ, potwierdzona również na Konferencji w Helsinkach.

IV. Do powyższych wyjaśnień należy dodać i to, że w ciągu ostatnich lat, poczynając od roku 1970, Episkopat skierował do Władz państwowych

szereg pism, które dotyczyły zasadniczych praw Kościoła, społeczeństwa katolickiego, wierzących obywateli i normalizacji stosunków pomiędzy Państwem i Kościołem. Ze względu na swą treść miały one doniosłe znaczenie dla przyszłej Konstytucji. Biskupi zwracali uwagę na podstawowe dla życia społeczeństwa sprawy, jak zagrożenie biologiczne, obronę życia, poszanowanie wolności religijnej, prawa kultury chrześcijańskiej, zagrożenie wolności sumienia młodzieży, kodeksu pracy, równych praw awansu zawodowego, konstytucyjnej zasady równości obywatelskiej i inne.

W tej chwili, po ogłoszeniu przez Sejm Konstytucji, wszystkie te sprawy poruszone w dawniejszych i ostatnich memoriałach, są w dalszym ciągu jak najbardziej aktualne. Komunikat z 151 Konferencji Episkopatu stwierdza, że Władze w pewnej części wzięły pod uwagę postulaty wysuwane przez Episkopat i obywateli różnych środowisk społecznych, ale pozostały nieuwzględnione zwłaszcza te, które najbardziej niepokoiły opinię społeczną, Kościół i ludzi wierzących.

I dlatego Episkopat nie przestaje zwracać się do Władz, na których również spoczywa odpowiedzialność za dalsze dzieje Narodu i za sprawiedliwe traktowanie wszystkich obywateli. Sprawa ta żywo obchodzi nie tylko Polaków w Kraju, ale także wielkie rzesze światowej Polonii, które sprawy Ojczyzny przeżywiają wspólnie z nami.

Oczekujemy wszyscy, że będą uszanowani ci obywatele, którzy odpowiedzieli na apel Nadzwyczajnej Komisji Konstytucyjnej i wypowiedzieli swoje opinie drogą legalną w pismach do tejże Komisji. Skorzystali oni z należnych im praw wolnych obywateli i wypełnili moralno-polityczne obowiązki, przez co dali dowód swej dojrzałości obywatelskiej. Poszanowanie nienaruszalnych praw człowieka, osoby ludzkiej, jest podstawowym zadaniem sprawiedliwego ustroju społecznego i państwowego. Poszanowanie to idzie w parze z uznaniem praw Narodu Polskiego, który przez swoje dziejowe doświadczenia i pracę zasłużył sobie na suwerenny byt we własnym Państwie.

Warszawa, w m. marcu 1976 r.

Z polecenia Rady Głównej Episkopatu Polski
Sekretarz Episkopatu
(—) Biskup Br. DĄBROWSKI

Zarządzenie: Wyjaśnienie powyższe ma być odczytane w jedną z najbliższych niedziel po otrzymaniu z Kurii Diecezjalnej.

Wikariusz Generalny
Warszawa, 8 kwietnia 1976 r. (—) Biskup Jerzy MODZELEWSKI

Rozłam wśród katolików świeckich

Warszawa, 25 marca 1976 r.

W. Panowie: Tadeusz Mazowiecki, Redaktor Naczelny M-ka „Więź”;
Andrzej Święcicki, Prezes Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie;

Jerzy Turowicz, Redaktor Naczelny „Tygodnika Powszechnego”;
Stanisław Stomma, Warszawa.

Szanowni Panowie,

Otrzymałmśmy Wasz list z 12 marca br.* z żądaniem, by Koło Poselskie w obecnej kadencji nie nazywało się nadal Kołem Poselskim „Znak”, przy czym powołujecie się na upoważnienie dane Wam do tego przez Prezesów Klubów Inteligencji Katolickiej w Warszawie, Krakowie, Wrocławiu i Toruniu oraz Redakcji: *Tygodnika Powszechnego*, *Więzi*, *Znaku* i Społecznego Instytutu Wydawniczego „Znak”. Z listu tego nie wynika wprawdzie, czy żądanie to jest żądaniem Klubów, na które Panowie się powołują, czy też ich Prezesów; o ile wiemy, poglądy w tej sprawie są w naszych środowiskach dość podzielone. Nie jest to jednak najistotniejsze.

Nie negujemy, że nowa sytuacja stworzona odmową grupy krakowskiej wejścia do wspólnego Koła Posłów, stawia pośród wielu innych problemów również problem jego nazwy.

Przyjmując do wiadomości stanowisko Panów prosimy ze swej strony, aby Panowie z kolei uwzględnili to, że dochodzą do nas w tej sprawie z wielu stron — od świeckich i duchownych — również inne, wprost odwrotne oczekiwania i dezeraty. Wychodzą one z założenia, że ruch społeczny katolików, który powstał w październiku 1956 roku i wyłonił następnie Koło Posłów „Znak”, niezależnie od tego skąd historycznie zaczerpnął nazwę, powstał nie jako reprezentacja grupy krakowskiej, ale szerszego nurtu opinii katolickiej, w którym spotykały się różne środowiska i tradycje katolickie. Koło Posłów „Znak” swoje miejsce w Sejmie i swoją rację bytu zawdzięcza więc nie tej czy innej grupie, choćby najbardziej dla kultury katolickiej zasłużonej, ale temu, że mogło prezentować się tam jako wyraził szerszej opinii katolickiej, udzielającej mu faktycznego mandatu. Ta opinia więc, która od początku udzielała „Znakowi” swego zaufania i poparcia, powinna też mieć ostatnie słowo co do tego czy powinien istnieć dalej czy też nie. Odrzucając spory o własność nazwy, które jawią się jej jako małostkowe i gorszące, nie widzi ona żadnego merytorycznego uznania by Koło „Znak”, które występowało na arenie politycznej w czasach najcięższych konfliktów między Kościołem i państwem miało ulec samolikwidacji teraz, gdy stosunki te ulegają stopniowej poprawie i są na drodze do normalizacji.

Rozumowanie, które tu przytaczamy, idzie jeszcze dalej. Wiadomo powszechnie, że spośród obecnego, pięciosobowego zespołu posłów, trzej byli poprzednio członkami Koła „Znak”, w tym dwaj od wielu kadencji; wszyscy pięciu natomiast są od lat działaczami stojącego za tym Kołem ruchu. Wiadomo też, że są wśród nas sygnatariusze pierwszego, ogłoszonego 23 października 1956 roku publicznego wystąpienia grupy osób, które ruch ten, pierwotnie pod nazwą O.K.P.I.K., powołały do życia; są współzałożyciele Klubów Inteligencji Katolickiej i „Więzi”, Społecznego Instytutu Wydawniczego „Znak” sp. z o.o., a także długoletni członkowie władz tych organizacji; są twórcy i organizatorzy przedsiębiorstwa CWU „Libella”, któremu środowiska naszego ruchu zawdzięczają przez cały ten czas środki na swoją działalność wydawniczą i społeczną. Wszystkie te fakty są znane i w świetle ich nasz tytuł do „kontynuowania dotychczasowego Koła 'Znak'”, który Panowie w liście swoim zdają się kwestionować, w szerszym odbiorze społecznym oceniany jest inaczej. Nakłada to na nas dodatkową odpowiedzialność. Jeżeli bowiem, po tylu latach działalności jako Koło „Znak” teraz z nazwy

* List ten został opublikowany w numerze majowym *Kultury* (5/344), str. 80 i 81.

tej byśmy zrezygnowali to pozostawałoby to w jawnej sprzeczności z naszymi rzeczywistymi intencjami. Jesteśmy bowiem zdecydowani, by całą wartościową tradycję „Znaku” kontynuować, by zachować i rozwijać to wszystko co w jego dorobku jest oryginalne i cenne. Natomiast rezygnacja z dotychczasowej tradycji, która jest przecież naszym wspólnym dorobkiem; naraziłaby nas na niesprawiedliwy zarzut, że „zlikwidowaliśmy 'Znak'”. Jesteśmy zdecydowani — niezależnie od tego jak się ułożą stosunki z poszczególnymi środowiskami — służyć nadal wszystkim środowiskom ruchu naszą pomocą w ich trudnościach i potrzebach.

W naszym rozumieniu Koło „Znak” nie jest własnością ani Panów, ani naszą, ale jest wartością ogólnospołeczną, której nie można samowolnie i jednostronną decyzją katolickiemu społeczeństwu polskiemu odebrać. Ani Panowie, ani my nie mamy dziś do tego moralnego prawa. Żądanie więc dotyczące likwidacji Koła Posłów „Znak” zawarte w piśmie Panów jest z wyżej wymienionych względów nie do przyjęcia.

Dlatego po przemyśleniu sprawy, z pełnym poczuciem odpowiedzialności społecznej, przekonani o posiadanych prawach i świadomi ciężących na nas obowiązkach postanowiliśmy nadal nazwać Koło Poselskie w obecnej kadencji — Kołem „Znak”.

Równocześnie występujemy z propozycją, którą — chcemy wierzyć — rozważyć w duchu zrozumienia i dobrej woli. Nowa sytuacja przynosi w stosunkach między naszymi środowiskami wiele nowych problemów, wymagających uregulowania. Jesteśmy za tym, by problemy te i trudności — często wyolbrzymiane przez dezinformację i tendencyjną propagandę — zostały całościowo omówione i rozwiązane w uzgodniony sposób przez nas samych. Uważamy to za bardzo ważne, a przy tym w pełni możliwe. Z tą myślą proponujemy spotkanie z upoważnionymi przedstawicielami środowisk celem doprowadzenia do takiego porozumienia. Spotkanie to powinno się zakończyć wydaniem uzgodnionego komunikatu, wyjaśniającego opinii katolickiej charakter dalszych stosunków między nami i sens powziętych rozstrzygnięć. Komunikat taki, który zostałby opublikowany w naszych czasopiśmie, jest oczekiwany przez społeczeństwo katolickie, zaniepokojone i zgorzzone faktem sporów, których istota jest dla większości niezrozumiała i różnie interpretowana. Byłby on przykładem dobrych obyczajów i politycznej kultury, czego opinia katolicka ma prawo oczekiwać od nas jako działaczy, których tak długo darzyła swoim zaufaniem. Byłoby to świadectwem, że — pomimo różnic — potrafimy stawiać to co jest nadrzędne ponad małostkowym partykularyzmem.

Łączymy wyrazy poważania,

Konstanty ŁUBIŃSKI, Janusz ZABŁOCKI, Wacław AULEYTNER,
Ryszard BENDER, Jerzy OZDOWSKI.

Do wiadomości: Kluby Inteligencji Katolickiej w: Warszawie, Krakowie, Wrocławiu, Poznaniu, Toruniu.

List podróżników

Londyn, marzec 1976.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze styczeń-luty br. *Kultury* wydrukowano list do Redakcji p. Teresy Lechnickiej, odpowiadającej p. Brodzińskiemu. Nie chodzi nam o polemikę między tymi dwoma osobami na temat — jak się nam wydaje — miejscowego podwórka (chodzi o jakichś urzędników i prezesów jednych z licznych tu organizacji wewnątrzno-emigracyjnych) lecz o zdanie-argument użyty przez Korespondentkę na temat sensu istnienia emigracji, który warunkuje wyłącznie działalność polityczną.

Problem nas zaintrygował, gdyż z jednej strony to oświadczenie brzmi dumnie-szumnie, obiecująco-interesująco, z drugiej niewiele wyjaśnia.

Zapytujemy więc p. T. Lechnicką, jaką polityczną akcję (działalność) prowadzi emigracja (ta „polityczna” jej część, rzecz oczywista)?

Celem uniknięcia jałowej dyskusji na łamach cennego i na wysokim poziomie pisma jakim jest *Kultura*, pragniemy wymienić co w rozumieniu lwiej części oświeconego, średniej i młodszej generacji społeczeństwa w Polsce nie jest żadną polityką. A więc nie jest nią:

1. Tzw. „legalizm” „rządu” p. dr. St. Ostrowskiego. Dla przypomnienia definicja państwa, którego podmiotem jest naród, przedmiotem obszar terytorialny w ramach ustalonych granic, a funkcją parlament, rząd i sądownictwo. Wiadomo, że ani jeden z tych warunków nie istnieje. Konstytucja z 1935 roku umarła. Nie sądzimy, by w przyszłej suwerennej Polsce ktośkolwiek ośmielił się wskrzeszać ten skompromitowany i a-demokratyczny akt. Nie myślimy również by p. T. Lechnicka identyfikowała naród z emigracją: na pewno nie tą sprzed ok. 35 lat — obecnie zanikającą, ale również i nie nową, gdyż uchodźstwo to odprysk z pnia narodowego. Przez krótki okres czerpie z niego soki, a potem wytwarza własną pożywkę i zaczynając wieść samodzielną egzystencję uniezależnia się od pnia. Drzewo macierzyste zaś po latach zabliźnia swe rany po oderwanych i straconych gałęziach, a w ich miejsce rodzi nowe.

Na marginesie dodać wypada, że „młodzi” emigranci z zapałem i otwarcie deklarują swą nierozdzielalną przynależność do Polski i jej spraw (nie zawsze, ale bardzo często), co jest zrozumiałe ze względów emocjonalno-uczuciowych w powiązaniach rodzinno-przyjacielskich, jakie ci ludzie z sobą zabrali. Z drugiej strony gros z nich adaptuje się i asymiluje w nowych warunkach prędko i często bezboleśnie. Jak długo więc młoda emigracja potrafi utrzymać istotną spójność z drzewem-ojcem, zadecyduje czas.

2. Tzw. partie polityczne. Mamy tu na myśli szczałkowe formacje przedwojennych opozycji w stosunku do rządu sanacyjnego, a więc narodowcy, ludowcy, socjaliści itp. Zabawne, że ci ostatni, zarażeni bakcyłem rozłamów w bratnich partiach zachodnich, nie ustrzegli się również od rozbitcia.

Z szeregu rozmów, informacji, artykułów w „partyjnych” organach, a nawet fragmentów dokumentacji wywnioskować można, że partie te nie prowadzą żadnej działalności politycznej dla kraju. Z prasy natomiast wynika jasno i wyraźnie, że kwitnie polemika, kłótnie i wzajemna niechęć. Prywatnie słyszy się dużo wzajemnych oskarżeń. Dominuje niezdrowa psychoza rywalizacji o wpływy. Wszystko to jednak dotyczy niemal w stu procentach miejscowego podwórka, a to z kolei nas, ludzi z Kraju, *zupełnie nie interesuje*. Przy poruszaniu natomiast pewnych spraw istotnych, wy-

pływa żenująca ignorancja stosunków panujących w Polsce. Najwyżej powtarza się to, co inni napisali w oparciu o własne doświadczenia, przemyślenia i spostrzeżenia, ewentualnie czasami próbuje się polemizować — i to słabo — z takimi czy innymi głosami „krajowców”. Uderza brak własnych koncepcji i bardzo mętne rozeznanie przetasowań społecznych, jakie następowwały w różnych stadiach ponad 30-letniego żywota PRL. Najbardziej tu rażą poglądy p. A. Ciołkosza na klasę robotniczą. Stefan Kisielewski trafnie określił jej obecny status psychiczny. Niech partia (PZPR) uważa: duży, tłusty kotlet na naszym robotniczym talerzu jest nietykalny. Możecie go zabrać innym, od naszego wara. Pan Ciołkosz widzi robotnika polskiego takim, z jakim się stykał w swej działalności partyjnej przed 1939 rokiem. Idealizuje go traktując jako model w formie statycznej. Trzeba pamiętać, że robotnik jest najbardziej podatny na demoralizację ze strony tych, którzy nim kierują, a w miarę postępującego uprzymysłowienia i urbanizacji kraju, stracił „czystość” klasową. Dominuje dziś wielka przymieszka chłopska, a ponad wszystko przenika prąd, dla którego nie ma granic: wszechobecny materializm i ślepy pęd do dobrobytu bez względu na to jakie zasady w drodze do jego zdobycia należy podeptać lub odsunąć.

Wiele smutnych przykładów mogę tu dostarczyć, ale to zupełnie inne zagadnienie. Nim uzyskałem dyplom inżyniera, pracowałem jako technik, stykając się na co dzień z klasą robotniczą przez 11 lat. Pochodzeniem przynależę do tej warstwy, nie wstydzę się jej, ale oceniam surowo z ogólnym wynikiem bilansowym na minus i pesymistyczną wizją przyszłości. Teoria Marksa, a współczesny robotnik polski, to dwa różne światy: utopii i rzeczywistości.

3. Różne stowarzyszenia, związki, koła, ugrupowania, harcerze, b. żołnierze, AK-owcy i twór, który zwie się Zjednoczeniem Narodowym czy Polskim (???). Mnogość organizacji emigranckich znaczna, których nazw nawet nie usiłujemy zapamiętać.

Całe to towarzystwo mniej lub więcej *in corpore* spotyka się z okazji jubileuszów, rocznic, walnych zjazdów czy zebrań lub organizowanych *meeting'ów* pod wpływem okolicznościowych wydarzeń w Polsce.

- Wygłasza się przemówienia: jedni celebrują, inni epatują, tamci krytykują, jeszcze inni oklaskują.
- Uchwala się rezolucje i protesty.
- Czasami „wypływa się na miasto” i tam demonstruje.
- Obgaduje się bliźnich (tych o innych poglądach, z zasadami lub bez) ze szklanką whisky w rękę przy śledziku i torciku.
- Urządza wypadki i podjazdy personalne w pismach i biuletynach — częstokroć, jak można sądzić z uzasadnien, śluzne, trafne i dowcipne.

Wszystkie te *happenings* są mniej lub więcej podniecające, interesujące, irytujące czy cieszące aktorów emigracyjnej sceny, a na pewno bardzo ludzkie i jeszcze bardziej polskie. Tym niemniej to nie ma nic wspólnego z polityką czy oddziaływaniem po tej linii na wolny świat, do którego zamieszkalni tu Polacy mają niczym niekępowany dostęp.

Jesteśmy pod wrażeniem znakomitych rozważań L. Tyrmanda na temat faktycznej (właśnie z tym źle) i potencjalnej roli Polaków za granicą na rzecz swej ojczyzny. Chylimy czoło przed trudami, pracami i osiągnięciami Polonii Amerykańskiej i Kongresu PA na polu działania w politycznych ośrodkach USA, na co otworzył nam oczy i zapoznał artykuł S. Korbońskiego.

Obie te wyżej wspomniane pozycje z lutowo-marcowych *Wiadomości* powędrowały do Kraju. Tak samo zresztą przemówienie prezesa Mazewskiego na otwarciu zjazdu w Waszyngtonie z listopada ub. roku.

Z kolei czekamy na podsumowanie ze strony emigracji brytyjskiej. Nie ciekawi nas przynależność „semi-polityczna” p. T. Lechnickiej, gdyż wszyst-

kie wyżej wzmiankowane formacje nie uprawiają polskiej polityki, a raz jeszcze podkreślamy, że „emigracyjna” nie ma dla Polski znaczenia i nie przedstawia praktycznej wartości.

Interesuje nas natomiast wypowiedź p. T. Lechnickiej, czy innej osoby w pełni kompetentnej i rozumiejącej niedwuznacznie sens pojęcia „działanie polityczne” (lub działalność). Nie ukrywamy, że list p. T. Lechnickiej spowodował niniejszą korespondencję, ale przede wszystkim chęć uzyskania informacji na poruszony temat. A więc:

1. Czy istnieje grupa osób (delegatów) do stałych kontaktów w zakresie wymiany informacji i poglądów dotyczących spraw polskich i wschodnio-europejskich z grupą parlamentarzystów, osób wpływowych i poważnych w świecie brytyjskim lub choćby znanych *personalities* ze świata publicystyki, prasy, radia, TV itd.

Może Anglo-Polish Conservative Society spełnia tę rolę?

Może młode pokolenie tu urodzone uformowało takie ciało?

2. Czy ta grupa działa natychmiast w wypadku ważnych zajęć w tych krajach, wymienia prawdziwe informacje, wzajemnie je między sobą korygując i uzupełniając?

3. Czy ktoś z tej grupy jest zdolny napisać artykuł na temat danego wydarzenia, sytuacji, naświetlić je i skomentować je tak, by dał on obiektywny obraz, a jednocześnie zawierał odrębny sposób ujęcia i spojrzenia od tego, jakim go widzi oko polityka brytyjskiego a czytelnik miał to podane od drugiej strony „medalu”.

Nie mamy tu na myśli, oczywiście, sporadycznych listów w codziennej prasie pojedynczych osób, jak np. byłego ambasadora p. hr. E. Raczyńskiego, gdyż są to akcje wyłącznie indywidualne.

4. Czy polityczna emigracja brytyjska ma w swym gronie świątłych odważnych i niezależnych w poglądach (naturalnie niezwiązanych z żądą z tutejszych koterii, co nie znaczy „partii” politycznych), którzy jeżdżą do Polski z „dobrą nowiną” i mają tam kontakty z takimi jak oni, prawymi i wolnymi duchem ludźmi. Zapewniamy, że na przestrzeni między Odrą a Bugiem są jeszcze umysły NIE-zniewolone. Czy jednostki takie przenikają do możliwie wszystkich środowisk społecznych? Czy są wśród nich młodzi, którzy kołatają do umysłów i serc swych rówieśników?

5. Czy jest zorganizowany „przemyt” wolnej książki i prasy do Polski. Jak dotąd większość pozycji przewożą nasi wracający turyści i goście. *Nota bene* ten punkt nie jest ściśle polityczny, ma raczej aspekt pracy społecznej, ale jest tak ważny i istotny, że nie sposób go pominąć w programie politycznym.

6. Czy istnieje współpraca obu emigracji: starej i młodej na terenie Zjednoczonego Królestwa oraz czy jedni i drudzy mają kontakty z nową emigracją rosyjską.

I na tym pragniemy zamknąć nasze pytania-dezyderaty bardzo ramowe i niefachowe, ale wynikłe z tzw. bardzo pilnego zapotrzebowania społecznego z jednej strony, a z pewnych obserwacji i doświadczeń doznanych w Polsce i tu — z drugiej.

Przesyłamy Panu Redaktorowi i całemu Zespołowi Kultury wyrazy prawdziwego szacunku,

PODRÓŻNICY

Sprawy i troski

Struktura organizacyjna Polonii Kanadyjskiej

Termin „Polonia” jest, jak dotychczas, bardzo giętki i to nawet wtedy, gdy posługują się nim socjologowie a nie różnego rodzaju działacze społeczni. Nie będziemy tu jednak usiłować przedyskutować wszystkich znaczeń tego terminu, ograniczając się do stwierdzenia, że przez Polonię Kanadyjską rozumiemy wszystkich tych, którzy w jakiegokolwiek formie przyznają się do polskości, zachowując z nią jakieś więzy — w najszerszym tego słowa znaczeniu.

Dane statystyczne spisu ludności nie są ścisłym obrazem Polonii, są natomiast niewątpliwie wysoce pożyteczną bazą dla dalszych dociekań.

Trzonem i pionem Polonii są organizacje — one ją kształtują, one określają jej oblicze. Rola organizacji społecznych jest szczególnie ważna w życiu imigrantów, w pierwszym okresie ich pobytu w nowym kraju.

Rozpowszechniony jest pogląd o ogromnej ilości organizacji polonijnych, co wskazywałoby, iż Polacy są bardzo czynni w życiu społecznym. Problematyką dotyczącą organizacji Polonii Kanadyjskiej zajął się dr Henryk Radecki, profesor socjologii w Scarborough College — University of Toronto. Poświęcił on kilka lat na badania i wynikiem ich jest obszernie opracowanie „Ethnic Organizational Dynamics — A Study of the Polish Group in Canada”. Chwilowo dysponujemy tylko kopią rękopisu, który już został oddany do druku. Praca ta ukaże się zapewne jeszcze w bieżącym roku.

Radecki zajął się problemem trudnym, gdyż nie ma dotychczas wyczerpujących opracowań dotyczących organizacji polonijnych. Te, które są, to materiał niemal wyłącznie o charakterze hagiograficznym, bądź informacyjnym, przy tym wysoce niedokładny i fragmentaryczny. Jeśli idzie o inne grupy etniczne, to sprawa ta nie przedstawia się lepiej. Mamy kilka prac teoretycz-

nych dotyczących badajże dwóch grup etnicznych w Kanadzie, ale są one zbyt ogólnikowe. Niewątpliwie stanowią one cenny przyczynek dla badaczy problematyki życia grup etnicznych w Kanadzie, ale nie dają pełnego obrazu tych grup. Prace te były, i są, z konieczności ograniczone pod względem zasięgu, gdyż w Kanadzie nie sposób zbadać całości terenu i trzeba z konieczności zamknąć się w jakimś dużym mieście, czy prowincji; i to nie tylko z powodu wielkości tego kraju, ale również z uwagi na odmienność warunków. Zupełnie inaczej bowiem wyglądają organizacje społeczne w rejonach rolniczych, a inaczej w skupiskach miejskich. Inaczej kształtują się stosunki gdy działa tylko jedna organizacja, a inaczej kiedy jest ich wiele. Wreszcie odmiennie kształtuje się ich działalność gdy znajdują się na terenie wieloetnicznym, a inaczej w otoczeniu jednorodnym.

Na charakter organizacji społecznych grup etnicznych wpływa nastawienie otoczenia i władz państwowych do imigrantów lub też do poszczególnych grup etnicznych. Jak wiadomo, Kanada jest państwem imigracyjnym. Ludność tego kraju wzrasta bardziej na skutek imigracji niż przyrostu naturalnego i kraj ten zawdzięcza swój rozwój imigrantom, w tym oczywiście i polskim.

Jak już wspomnieliśmy, Radecki zajął się wszystkimi organizacjami polonijnymi. Bardzo szczegółowe badania terenowe przeprowadził tylko w Toronto, najliczniejszym skupisku polonijnym w Kanadzie i niewątpliwie pod każdym względem najbardziej reprezentatywnym. W tym mieście bowiem znajdują się zarówno największe społeczne organizacje polonijne, jak i ich centrale, ukazują się wszystkie pisma w języku polskim (z wyłączeniem „Czasu” w Winnipegu). Stąd też analiza, ocena i wnioski Radeckiego, choć oparte na badaniach jednego tylko miasta, nie mają charakteru ściśle lokalnego. Autor bardzo szeroko przedstawił stronę teoretyczną oraz tło, na którym wyrosły organizacje polonijne, przeprowadzając porównania z innymi grupami etnicznymi.

Według powszechnego spisu ludności z 1971 roku w Toronto i jego okręgu było 51.188 mieszkańców z polskiej grupy etnicznej; Radecki, na podstawie ankiety przeprowadzonej w 1973 roku, podaje ilość członków organizacji polonijnych — 48.700 osób. Liczba to imponująca, ale i żłudna.

Jak bardzo tego doszedł? Rozesłał do 146-ciu organizacji polonijnych bardzo szczegółowo opracowaną ankietę, uwzględniającą badajże wszystkie możliwe przejawy i aspekty życia organizacyjnego. W liczbie 146-ciu znajdują się wszystkie czony największych organizacji: szkółki niedzielne, kluby młodzieżowe, zespoły amatorskie itp. Otrzymał odpowiedzi od 123 jednostek, a więc ankietę wypadła doskonale. Ten wynik zawdzięcza zresztą swoim osobistym uporczywym zabiegom — dosłownie dobijał się do niekórych organizacji, aby uzyskać odpowiedź.

Dane liczbowe dotyczące członkostwa są najbardziej wątpliwe. Stanowią one ze względu na prestiżowych organizacyjną tajemnicę. W zależności od potrzeby i okoliczności liczba członków rośnie

lub spada. Niektóre organizacje np. wpłacają do Kongresu składki za większą ilość członków, chcąc zapewnić sobie mandaty na walny zjazd, podczas gdy inne — w celach oszczędnościowych — wpłacają za mniejszą, niż w rzeczywistości ilość członków.

Na tę imponującą ilość zorganizowanej Polonii składają się parafianie wszystkich Kościołów i związków religijnych, z tym iż wielu z nich było kilkakrotnie liczonych. I tak np. najliczniejsze są Kasy Kredytowo-Oszczędnościowe parafii Św. Stanisława i Św. Kazimierza, a członkami ich mogą być tylko parafianie. Do stowarzyszeń kościelnych, których każda parafia posiada kilka, należą oczywiście tylko parafianie, a wreszcie — jak to do wodzi Radecki — najwyżej 500 członków organizacji świeckich nie posiada żadnych powiązań parafialnych. Analizując dane liczbowe, uzyskane na podstawie ankiety, Radecki zakłada, że wszystkie związki organizacyjne w Toronto liczą około 18.000 członków. Liczba ta obejmuje oczywiście i parafian wszystkich kościołów polskich. Wyodrębnienie członków świeckich organizacji społecznych jest bardzo trudne. Według niektórych obliczeń stanowią oni 7 do 10 % ogólnej ilości, z tym że pewien procent należy jednocześnie do kilku organizacji.

Kwestionariusz ankietowy zmierzał m.in. do ustalenia wieku członków oraz osób, biorących udział we władzach organizacyjnych, częstotliwości zebrań ogólnych oraz zebrań władz, frekwencji na tych zebraniach i imprezach itp. Z przebadanych odpowiedzi wynika, że frekwencja na zebraniach władz jest na ogół dobra, podczas gdy na zebraniach członkowskich, najczęściej miesięcznych, mierna. Większe natomiast zainteresowanie budzą niemal wszystkie imprezy. Do najbardziej popularnych należą spotkania po Bożym Narodzeniu i Wielkiejnocy, kiedy to, zgodnie z polską tradycją, zebrani łąnią się opłatkiem, dzielą jajkiem i składają sobie wzajemnie życzenia. Obchody rocznicowe i akademie okolicznościowe są urządzone przez Kongres, lub przez komitet wyłoniony przez kilka organizacji.

Najliczniejszą i najbardziej aktywną organizacją młodzieżową jest harcerstwo. Obok zespołu starszych harcerzy czynne jest Towarzystwo Przyjaciół Harcerstwa, które wspiera i opiekuje się całym ruchem. Działa również Klub Studentów, skupiający studentów wszystkich wyższych uczelni Toronto i młodzież ostatniej klasy szkół średnich. Klub ma charakter towarzyski. Przy kilku organizacjach istnieją sekcje młodzieżowe lub autonomiczne przybudówki. Grupami młodzieżowymi opiekują się Koła Kobiet tych organizacji.

Dwie organizacje kobiece mają inny charakter: Federacja Kobiet Polskich i Klub Curie-Skłodowskiej. Są to organizacje samodzielne, nie związane organizacyjnie z żadną inną. Federacja należy do Kongresu i odgrywa w nim pewną rolę, natomiast Klub pozostaje poza Kongresem. Jest to zresztą jedyna organizacja, której przytłaczająca ilość członkiń urodziła się w Kanadzie.

Istnieje kilka organizacji o charakterze zawodowym, jak np. Stowarzyszenie Techników Polskich, Stowarzyszenie Kupców i

Profesjonalistów oraz kilka organizacji politycznych. Tutaj Radecki wymienia m.in. Związek Ziemi Wschodnich, Skarb Narodowy. Działa również kilka organizacji weterańskich. Najliczniejszą z nich jest Koło 20 S.P.K. S.W.A.P. (Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej — pozostałość po 1-szej wojnie światowej) początkowo skupiało Hallerczyków z USA i Kanady. Centrala tej organizacji znajduje się w USA. Istnieją Koła żołnierzy Drugiego Korpusu, Skrzydła Lotników, Koło Spadochroniarzy. Aktywność ich — wyjąwszy S.P.K. — jest minimalna, a liczebność nikła. Organizacje te ratuje od spadku członków przyjmowanie nie tylko członków rodzin b. kombatantów, ale i osób które nigdy nie służyły w wojsku.

Analiza Radeckiego nie napawa optymizmem, jeśli chodzi o przyszłość organizacji polonijnych. Wskazuje ona, że jest to domena ludzi starszych wiekiem i urodzonych poza Kanadą, brak jest zarówno ludzi młodszych, jak i młodzieży. Dzieci imigrantów, urodzone w tym kraju, nie lgną do życia organizacyjnego. Działalność wielu organizacji nie pokrywa się z założeniami statutowymi. Aktywność organizacyjna jest raczej słaba. Autor jeśli chce się utrzymać i spełniać pozytywne zadanie, muszą zrewidować swoje cele i system działania. Uważa on, że przede wszystkim należy zwrócić uwagę na osoby urodzone w Kanadzie i na młodzież. Bez głębokich reform i przystosowania organizacji do nowych warunków i potrzeb, życie organizacyjne będzie wegetowało, z każdym rokiem tracąc rację bytu.

Jest to pierwsza monografia socjologiczna o organizacjach polonijnych w Kanadzie* — świetna, wręcz pionierska praca, oparta na solidnych badaniach terenowych.

B. HEYDENKORN

* Henry Radecki „Ethnic Organizational Dynamics — A Study of the Polish Group in Canada”. Toronto, 1975 — maszynopis.

Lekarze „dipisi” w Australii

Początki w nowym kraju osiedlenia są zazwyczaj trudne dla większości imigrantów. Byli „dipisi”, którzy przybyli w początkach lat pięćdziesiątych do Australii dobrze pamiętają pierwsze lata w tym kraju. Lata nie rzadko prymitywnej egzystencji na dwuletnich kontraktach państwowych. Chyba najbardziej ucierpeli wtedy przedstawiciele wolnych zawodów, których kwalifikacje tak akademickie jak praktyczne nie miały najczęściej żadnego znaczenia w Australii. Fachowcy różnych dziedzin pracowali zatem jako niewykwalifikowani robotnicy fabryczni, drogowi, leśni czy też rolni, a w najlep-

szym wypadku jako biuraliści — jeśli znali wystarczająco język angielski. Do tej zdegradowanej grupy społecznej należeli również lekarze. Dyplomy i wyższe stopnie naukowe uzyskane na powszechnie szanowanych wszechnicach europejskich nie wywierały najmniejszego wrażenia na niezmiernie wpływom oddziale British Medical Association (obecnie Australian Medical Association) organizacji, która okazała się jedną z najbardziej antyeuropejsko nastawionych organizacji zawodowych w Australii. Skandaliczne traktowanie jakiemu poddani byli europejczy lekarze, którzy przyjechali do Australii w ramach wielkiego programu imigracyjnego europejskich *displaced persons* ówczesnego wieku temu chyba nie miało nigdzie precedensu.

Sprawą tą zajął się bardzo dokładnie węgierski naukowiec pracujący w Australii, dr Egon F. Kunz, Senior Research Fellow na wydziale demografii Australian National University w Canberze. W niedawno wydanej książce „The Intruders — Refugee doctors in Australia” (Egon F. Kunz, Australian National University Press — Canberra, 1975, \$A 5,95) dr Kunz relacjonuje ogrom niesprawiedliwości jakiej doznali byli europejczy lekarze „dipisi” w Australii.

Autor, który jest wybitnym specjalistą w dziedzinie historii socjalnej analizuje przyczyny nieprzychylnego stosunku australijskich lekarzy do ich kolegów z Europy i dochodzi do przekonania, że głównymi powodami takiego stanu rzeczy były: obawa przed utratą intratnych warunków praktyki i wiara w mit, że jedynie brytyjski program nauczania medycyny jest coś wart, zaś lekarze, którzy wyszli z europejskich uniwersytetów, albo są niedouczeni, albo jeśli nawet znają się na medycynie, to są za bardzo wyspecjalizowani w jednej z jej wielu gałęzi i przez to nie nadają się na tzw. *general practitioners*. Naturalnie nie wszyscy australijscy lekarze podzielali takie opinie. Tym niemniej silna British Medical Association utrudniała europejskim lekarzom uzyskanie prawa praktyki w Australii.

Na skutek rekrutacji w obozach D.P. w Europie, do Australii przybyło w latach 1947-54 około 370 lekarzy z europejskimi kwalifikacjami. Około 24 % tej liczby stanowili lekarze urodzeni w Polsce. Urzędnicy australijscy rekrutujący „dipisów” na dwuletnie kontrakty pracy w większości wypadków informowali lekarzy, iż będą mogli kontynuować swój zawód po odbyciu kontraktu, który zapewne przepracują w szpitalnictwie, lub laboratoriach medycznych. Niestety rzeczywistość była inna. Autor przytacza m.in. dane statystyczne ministerstwa imigracji z których wynika, że na 237 lekarzy „dipisów” w latach 1948-51, tylko 37 pracowało w swym zawodzie zaś reszta pracowała jako sanitariusze, sprzątacze, technicy laboratoryjni i robotnicy przemysłowi. Niewielka grupa lekarzy składająca się z 12 Węgrów, 9 Bałtów, 8 Polaków, 5 Czechów i 1 Jugosłowianina dostała posady lekarzy na Nowej Gwinei, głównie dzięki przychylnemu stosunkowi ówczesnego dyrektora służby zdrowia na tej wyspie, dra J. T. Gunthera. Zatrudnił on europejskich lekarzy wbrew sprzeciwom swych kolegów w Australii, którzy pomijając już nieprawdziwe argumenty, dotyczące kiepskich kwalifikacji przybyszów z Europy, dopuszczali się do takich absurdów jak twierdzenie, że pod względem etyki europejczy lekarze są niepewni.

Oprócz lekarzy zatrudnionych na Nowej Gwinei, 6-ciu europejskich lekarzy pełniło służbę na australijskich stacjach badawczych na Antarktydzie. Po powrocie z Antarktydy odmówiono im prawa praktyki w Australii. Europejscy lekarze, którzy byli zatrudnieni jako sanitariusze w obozach przejściowych dla imigrantów, najczęściej byli jedynymi stałymi lekarzami w szpitalach obozowych. Dojeżdżający australijscy lekarze z ministerstwa zdrowia, odnosili się do nich z pogardą. Były wypadki, że Australijczyk zabraniał personelowi szpitala obozowego tytułować europejskiego lekarza doktorem.

Możliwości nostyfikacji dyplomów i uzyskania prawa praktyki były nadzwyczaj trudne. Na przykład w stanie South Australia, europejski lekarz

w owym czasie mógłby zacząć praktykę dopiero po 6 latach od chwili wyłączenia w Australii, tj. po przepracowaniu 2 lat jako robotnik kontraktowy, pół roku przygotowując się do egzaminów z anatomii i fizjologii i 3 i pół roku studiów rekwalifikacyjnych. Ostatnie cztery lata zależne były od tego czy miał się z czego utrzymać i zapłacić za uniwersytet i pomoce naukowe. Okres studiów rekwalifikacyjnych był zależny od uniwersytetu, na którym się one odbywały.

Uzyskanie prawa praktyki zależało od wymagań *Medical Board* powołanej przez rząd indywidualnych stanów a składające się z członków początkowo *British* a następnie *Australian Medical Association*, organizacji, która w latach pięćdziesiątych nie odznaczała się przychylnym nastawieniem w stosunku do lekarzy-„dipisów”. Autor ostro rozprawia się z tą organizacją, której jednym z głównych zadań — zdaniem Kunza — było zapewnienie swym członkom wysokich zarobków. Rząd federalny niewiele się interesował zagadnieniem lekarzy „dipisów”. Głównym celem wielkiego programu imigracyjnego w latach pięćdziesiątych było zwerbowanie wielkich sił roboczych, przede wszystkim robotników niewykwalifikowanych. Zresztą *Australian Medical Association* miało wielkie wpływy zarówno w parlamencie federalnym jak i u władz stanowych.

Czy można dziwić się, że w takich warunkach na przeszło 300 lekarzy, którzy przybyli do Australii w programie imigracyjnym D.P., 18 % reemigrowało do innych krajów — przeważnie do Stanów Zjednoczonych — 1/3 nie kontynuuje swego zawodu zaś 5 popełniło samobójstwo.

„*The Intruders*” jest ważnym przyczynkiem historii wielkiej powojennej imigracji na piąty kontynent.

Obecnie lekarz z zagranicznymi kwalifikacjami, który osiedli się np. w Melbourne (stan Victoria) po weryfikacji swych zagranicznych kwalifikacji, może liczyć na uzyskanie tzw. *Provisional Registration*, na mocy której będzie mógł pracować jako lekarz w szpitalu pod nadzorem lekarzy australijskich przez okres czterech lat. Po tym okresie *Provisional Registration* nie może być przedłużona. Co sześć miesięcy lekarz-emigrant może poddać się szczegółowemu egzaminowi przed komisją egzaminacyjną „*The Medical Board of Victoria*”. Po zdaniu tego egzaminu kandydat uzyska prawo praktyki. W innych stanach Australii obowiązują podobne przepisy dotyczące uzyskania prawa praktyki przez lekarzy posiadających zagraniczne kwalifikacje zawodowe.

Jerzy DOBROSTAŃSKI

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Kronika kulturalna

„Pamiętnik Literacki”

Winiетка zdobiąca kartę tytułową i okładkę „Pamiętnika” przedstawia powrót Apollina do Delf po zimowym letargu w kraju Hyperborejczyków, którego lokalizacja jest przedmiotem wielu uczonych sporów. Utrudnia to pełne zrozumienie aluzji; wystarczy jednak przyjąć iż chodzi tu o początek nowej pory roku, nowego sezonu, nowego okresu działalności, co w pełni da się zastosować do Związku wykazującego ostatnio obiecujące oznaki ożywienia działalności.

„Pamiętnik Literacki” ukazuje się po 9 latach przerwy w akcji wydawniczej Związku, mającego w swym dorobku pozycje tak wartościowe jak seria książek zbiorowych o pisarzach „żywych” i dwutomowa „Literatura polska na obczyźnie” (pod red. Tymona Terleckiego). W skromnym zakresie jest nawet nawiązaniem do tej ostatniej, bo dwa szkice: Józefa Garlińskiego „Literatura dokumentarna” i Leopolda Kielanowskiego „Słowo i ciało (scenopisarstwo polskie na uchodźstwie)” są przedłużeniem odpowiednich rozdziałów „Literatury”.

W skład Komitetu Redakcyjnego „Pamiętnika” wchodzili: obecny przewodniczący Związku dr Józef Garliński, dwu ex-monachijczyków — Bronisław Przyłuski i Kazimierz Sowiński i prof. Ignacy Wieniewski, wieloletni członek zarządów Związku, łącznik z dawnymi czasami. Pierwotna koncepcja „Pamiętnika”, nawiązująca wyraźnie do wspomnianej już „Literatury” nie wytrzymała próby życia z braku odzewu u pisarzy rozrzuconych po całym świecie. Z żywą reakcją spotkała się natomiast ankieta na temat „Jedna czy dwie polskie literatury?”, na którą nadeszło 27 odpowiedzi.

Wyniki ankiety wypadły jak następuje: 21 uczestników nie kwestionowało jedności literatury polskiej, przy czym niżej pod-

* „Pamiętnik Literacki”. Londyn, 1976, wyd.: Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, 80, str. 190, okładkę projektował Tadeusz Terlecki.

pisana i Gustaw Herling-Grudziński uznali, iż sprawa nie podlega dyskusji. Stanisław Baliński sądzi, iż w zasadzie istnieje tylko jedna literatura polska, w praktyce są jednak dwie. Czterech uczestników ankiety: Jan Fryling, Henryk Grynberg, Wacław Iwaniuk i Karol Zbyszewski biadają na różne sposoby nad rozbiem na dwie literatury, dwa światy, przy czym Zbyszewski czarno, jeśli nie najczarniej, ocenia przyszłość utworów pisarzy emigracyjnych: „gdy nareszcie będzie wolno ich wydawać w Polsce — będą przestarzali, nikt nie zechce ich czytać”. Na co odpowiem, iż w gustach czytelniczych obowiązuje zasada cykliczna: modni są zazwyczaj pisarze „przedwczorajsi”, obecnie — z okresu *fin-de-siècle'u. Sursum corda!* (Gdyby jednak w ankiecie wziął udział duch Gombrowicza, odpowiedź brzmiałaby zapewne: ani jedna, ani dwie, ale od mego odejścia — żadna).

W argumentacji za jednością literatury wysuwano różne argumenty. Najczęściej: *historyczny*. Że to „już w czasach Wielkiej Emigracji” (co brzmi jak klasyczna fraza: „już w starożytnym Egipcie”), gdy rząd dusz sprawowali pisarze emigracyjni i oni się liczyli jako reprezentanci literatury polskiej, nikt nie kwestionował, że ówczesni pisarze „krajowi” o nazwiskach Fredro, Kraszewski, Pol są także pisarzami polskimi. W argumentacji *symbolicznej*: że to literatura emigracyjna jest konarem wielkiego drzewa literatury pojawił się (u Zdzisława Jagodzińskiego) nowy symbol: wielobarwnego ogrodu rozwinięty po kukielowsku, jak na wiernego ucznia przystało: „Dzisiaj w ogrodzie tym obok pięknych kwiatów i pożytecznej zieleniny plenią się niepotrzebne chwasty a nawet szpetne rośliny, zasadzone cudzą ręką. Niektóre z nich rozwiały wiatry po szerokim świecie. Ale ogród wciąż jest jeszcze jeden”.

Łobodowskiemu literatura nie rozdwoiła się, ale roztroiła. Sąd jego budzi pewne zastrzeżenia. Czy istotnie literatura emigracyjna jest „z grubsza biorąc, kontynuacją literatury dwudziestolecia Niepodległości”? Może i tak, ale tylko w wypadku Łobodowskiego, którego warsztat poetycki opiera się zwycięsko zmianom poetyckich konwencji. Piśmiennictwo krajowe dzieli on na nurty urzędowy i tradycyjny „wierny narodowym tradycjom kulturalnym”. Stąd: trzy literatury.

Kilku uczestników dyskusji (Baliński, Fryling, Łysek, Ostrowski, Wieniewski) poruszają w różnych wariantach temat niedopuszczania książek emigracyjnych do kraju; Karol Zbyszewski widzi w tym właśnie zaród zagłady, utratę szansy dotarcia do czytelnika i *en masse* kwalifikuje twórców emigracyjnych jako piszących do szuflady.

Środkową część „Pamiętnika” wypełniają dwa eseje: Aleksandra Wata i Ignacego Wieniewskiego oraz wspomniane wyżej opracowania Józ. Garlińskiego i Leopolda Kielanowskiego. Esej Wata „O przetłumaczalności utworów poetyckich” wiąże się tematycznie z rozważaniami Wieniewskiego o sprawie przekładów z literatury klasycznej. Jest przedrukiem z *Wiadomości* (1967);

dobrze że go przypomniano, oddając przy tym hołd pamięci poety, który (co warto przypomnieć) nie stronił od Związku i na pamiętnym wieczorze londyńskim czytał — i jak czytał! — wiersze źle widziane przez cenzurę krajową. Należało jednak opatrzyć przedruk przypisem objaśniającym do jakich trzech antologii przekładów z poezji polskiej odnosi się esej Wata, bo rozsiane na dalekich stronach nazwiska Jeleńskiego, Miłosza i Dedeciusa nie wystarczają; należało podać tytuły i krótkie charakterystyki zawartości i pełne dane bibliograficzne.

Esej Wieniewskiego jest równocześnie wprowadzeniem w warsztat pracy tego znakomitego tłumacza, ujawniając jego credo: starania o ukazanie prawdziwego charakteru utworu z ocaleniem cech epoki, indywidualnego stylu autora, jego osobowości i narodowości.

„Literatura dokumentarna” Garlińskiego jest jasnym i zwięzłym przeglądem prac w języku polskim uzupełnionym pożyteczną wzmianką o pracach w językach obcych. Jedną z nich, a mianowicie „Poland and the Western Powers, 1939-1945” prof. Anny Cienciałówny mogłaby być uwzględniona jako dzieło Polki z niezrozumiałych względów niewydane dotąd w wersji polskiej. Autor wysuwa propozycję określania nazwą „literatury autentyzmu” opracowań „wymagających od autora fachowego przygotowania i umiejętności korzystania z archiwów, wymagających obiektywizmu i posługiwania się dokumentem, ale w plonie przynoszących nie ciężkie i trudne dzieła, dostępne dla nielicznych i dlatego tylko przez nielicznych czytane, ale książkę lekko napisaną, prawie fabularną, zrozumiałą dla każdego”. Racja, ale cofając się wstecz można by to napisać o większości książek Askenazego.

Rzecz o scenopisarstwie polskim na uchodźstwie Leopolda Kielanowskiego („Słowo i ciało”) przypomina w doskonałym skrócie bohaterskie dzieje teatru polskiego na obczyźnie — „teatru służebnego”, rozpoczynające się wystawieniem sztuki Herminii Naglerowej „Tu jest Polska” w Bagdadzie i „Sprawy Nr 113” Jerzego Laskowskiego w Rehowodzie, w ówczesnej Palestynie. „Chcemy być Wozem Drzymały na dalekiej wyspie” — pisał Kielanowski w roku 1949 o zadaniach teatru na emigracji. Święte słowa — teatr polski był i jest nadal symbolem i „koncentratem” polszczyzny a praca zespołowa której rezultatem jest wystawienie każdej nowej sztuki budzi podziw i wzruszenie. Kielanowski wydobywa zasługi poszczególnych autorów, tworzących dla sceny polskiej na emigracji, wysuwając na czoło Wiktora Budzyńskiego, Edwarda Chudzyńskiego i Mariana Hemara i pracowicie wyliczając wszelkie, udane i chybione, próby i osiągnięcia. Szkic uzupełniony jest wartościowym wykazem sztuk wystawionych w latach 1945-75 przez wyliczone na początku zespoły teatralne, — wykazem sztuk czytanych i wydanych drukiem ale nie zrealizowanych dotąd na scenie, oraz wykazem sztuk nagrodzonych a nie wystawionych. Opracowanie nie obejmuje

słuchowisk radiowych, — temat do następnego tomu „Pamiętnika”!

Bronisław Przytuński podjął się niezmiernie trudnego zadania: chciał pokazać jakie utwory pisarzy przebywających stale poza Krajem tłumaczone były na języki obce w ostatnim 30-leciu. Oparł się przy tym na istniejących już opracowaniach i poważnie je uzupełnił. Jest to jednak, jak widać, *une mer à boire*, bo do pełni obrazu jeszcze daleko. Dalsze tytuły przyniosłoby na pewno nieuwzględniony przez Przytuńskiego „Index translationum. International bibliography of translations”, wydawany przez UNESCO w formie rocznika oraz, łatwiej dostępna, bo wydawana przez Bibliotekę Polską w Londynie bibliografia Zabielskiej (t. I-III), doprowadzona do roku 1963, kontynuowana po śmierci inicjatorce przedsięwzięcia przeze mnie do roku 1973 a obecnie opracowywana bieżąco przez Maję Cybulską, która na pewno udostępniłaby i tomy już wydane i materiały w formie kartoteki. Na podstawie owych pierwszych trzech tomów stwierdziłam, że przekładów jest jeszcze więcej. Tak np. zdecydowanie została pokrzywdzona Maria Winowska, której „Szalenciec Niepokalanej” miał kilkanaście przekładów, — Sergiusz Piasecki, wydawany nadal we Włoszech, Niemczech i krajach Ameryki Południowej, — „W zawierusze dziejowej” Stypułkowskiego miało poza wyliczonym wydaniem angielskim także i amerykańskie oraz przekład na język portugalski itd. Zupełnie pominięte są przekłady „Z domu niewoli” Beaty Obertyńskiej (niemiecki, szwedzki i holenderski), „Więźniów nocy” Andrzeja Romańskiego (szwedzki i duński) itd. Jeśli przy nazwisku Pietrkiewicza figuruje „The knotted cord” — (istnieje *nota-bene* przekład duński: „Den lille Munk”, 1954) — to powinny być wyliczone dalsze powieści tegoż autora („Loot and loyalty”, „Future to let”, „Isolation”, „The quick and the dead”, „That angel burning at my left side”, „Inner circle” etc. — aż po ostatnią książkę o Mariawitach płockich). Jako autor (autorzy?) „Waltera 7.65” figurują: Poray J. B., Biernacki Janusz, Jasińczyk Janusz — co robi wrażenie trzech autorów, podczas gdy jest nim jeden Janusz Poray-Biernacki, który na karcie tytułowej figuruje pod pseudonimem Janusza Jasińczyka. Pomimo tych usterek opracowanie Przytuńskiego uświadamia czytelnikom, jak wielu pisarzy polskich zdołało przełamać bariery braku zainteresowania literaturą polską na światowym rynku wydawniczym, i ilu wykazać się może imponującą ilością przekładów.

„Pamiętnik Literacki” przynosi ponadto wykaz nagród pisarskich na obczyźnie w całej ich obfitości i różnorodności. Trudno oprzeć się wrażeniu, że kreowaniu i przyznawaniu nagród rządzi przypadek; nieliczne tylko mają wyraźnie sformułowane cele. W ostatnim dziale, w nieco przypadkowo dobranym towarzystwie, figurują fundacje, instytuty, biblioteki... i firmy wydawnicze na obczyźnie. Informacje o poszczególnych instytucjach

zawierają, poza adresem, krótki zarys historyczny i dane o stanie posiadania i działalności prowadzonej obecnie.

W ustępie poświęconym Bibliotece Polskiej w Paryżu czytamy: „Po wojnie odzyskano wprawdzie znaczną część zbiorów, jednakże zaginęło ok. 56.000 tomów, kolekcje rycin, obrazy i meble”. Wydaje mi się, że do sprawy tej można dorzucić informacje ujawnione ostatnio w „Blok-notesie Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza” w Warszawie (1975). Na str. 213 tego wydawnictwa w artykule Haliny Natuniewicz pt. „Zagadnienia książki muzealnej na przykładzie zbiorów Muz. Literatury im. A. Mickiewicza w Warszawie” czytamy: „W bibliotece paryskiego Muzeum Adama Mickiewicza, która po wędrowności wojennych niemal w całości znalazła się w warszawskim muzeum poety, dzięki ustawieniu według dawnych sygnatur wyłoniły się dwa zespoły: mickiewicziana oprawione w brązowe półskórki i druki Wielkiej Emigracji w oprawach półpergaminiowych (razem 5.500 wol. Osobny zespół wśród mickiewiczianów, wyodrębniony także poprzez sygnatury, stanowi biblioteka własna Adama Mickiewicza, licząca ponad 100 wol.). Dalej na str. 214-ej: „Obok mickiewiczowskich zbiorów paryskich w Muzeum Literatury znajduje się duży fragment Biblioteki Polskiej stanowiący chyba czwartą część całości. Kiedy te książki przybyły w 1955 roku, Muzeum nie miało ani warunków lokalowych do ich pomieszczenia, ani dostatecznej ilości etatów do opracowania. Dużą pokusą było wtedy rozbić zbiorów a zatrzymanie tylko tej części, która tematycznie okazałaby się przydatna. Jak wiadomo, Biblioteka Polska w Paryżu zbierała wszelkie polonika. Do rozbięcia i rozproszenia na szczęście nie doszło. Przechowano większość zbiorów w wypożyczonych magazynach do momentu rozbudowania Muzeum, następnie książki przeniesione ustawiono według sygnatur Biblioteki Polskiej [...] „Okazało się, że w Muzeum znalazły się zbiory gromadzone w XIX wieku w sygnaturach 30-40 tysięcy i gromadzone w wieku XX w sygnaturach 80-90 tysięcy”. „Chociaż stanowią one tylko fragment Biblioteki Polskiej, zostały również uznane za kolekcję zabytkową, której poszczególne składniki łączy wspólna pieczęć czy to okrągła z datą powstania Biblioteki (1839) czy też późniejsza podłużna”. Autorka artykułu nie wyjaśnia jaką drogą ta wielotysięczna i najcenniejsza część Biblioteki Polskiej w Paryżu dostała się do warszawskiego Muzeum. Z broszury informacyjnej (powielanej) wydanej przez Bibliotekę Polską w Paryżu w roku 1974 wynika, iż w czasie wojny „zaginęła biblioteka Muzeum Mickiewicza, zbiór atlasów (XVI-XVIII w.), 15 rzeźb, masa obrazów i rycin, zabytkowe meble”. Przytoczone wyżej fragmenty artykułu z „Blok-notesu” „wyjaśniają” (?) losy mniej więcej połowy *zaginionych* zbiorów. Nie wyjaśniają ich tytułu własności. Nie wyjaśnia ich także „Guide to Museums and Collections in Poland” Stanisława Lorentza, który na str. 292, wspomina o „separate collection — books lent by the Polish Library and the Mickiewicz Museum in Paris (library, old

prints, the Great Emigration, Mickiewicziana and a collection of press clippings assembled by Władysław Mickiewicz", które znajdują się obecnie w warszawskim Muzeum Literatury (18-20, Rynek Starego Miasta). Sprawa ta wykracza poza ramy „Pamiętnika Literackiego”. Wyczytana w nim wzmianka o zaginionych książkach była jednak dla mnie pobudką do zainteresowania się tą sprawą. Sądzę, że zbiory te powinny wrócić do prawych właścicieli tj. Biblioteki Polskiej w Paryżu. Dlaczego tak się nie stało? Kto i kiedy zbiory te „wypożyczył” do Warszawy?

W przedmowie do „Pamiętnika Literackiego” znajdziemy zapowiedź wydania dalszych tomów („co kilka lat”). Życzyć należy, by stało się to już w 1977 roku.

Szata graficzna książki jest zasadniczo staranna a okładka bardzo udana. Szwankuje korekta. Błędem wydaje się także obdarcie Heleny Żurkowskiej-Ostrowskiej imieniem Anny (str. 22).

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Malarstwo Hilarego Krzysztofiaka

Dwie ostatnie wystawy wiosenne Hilarego Krzysztofiaka, niemiecka w Monachium w Galerii „Kislich” i holenderska w Deventer w Galerii „Lenten”, to zestaw obrazów niemal jednorodny — być może czas ich powstania, ostatnie dwa, czy dwa i pół roku, wyznacza im mocny wspólny mianownik — w każdym razie nie popełni się większego błędu traktując zestaw ten, jako pewną sumę zainteresowań i dokonań artysty. Sumę ukazującą jednocześnie — spojrzawszy na jego malarstwo wstecz — że dynamiczny talent Krzysztofiaka jest w ciągłym rozwoju. Refleksja pierwsza: Jakże daleki wydaje się dziś zarówno swoim ekspresjonistycznym początkom jeszcze z Katowic (zwanych wówczas Stalinogrodem), jak i późniejszemu okresowi warszawskiemu — wystaw w Arsenale, następnie w Salonie Współczesności i w Krzywym Kole, które zrobiły mu nazwisko. Daleki owym poszukiwaniom artystycznym, dokonywanym pod wpływem teoretycznych założeń Strzemińskiego, patrona również i tej, posocrealistycznej awangardy lat polskiego października, buntującej się przeciwko zastanym kanonom malarstwa oficjalnego i ulizanego, narzucającego nie tylko formę, ale i wyobrażenia. W czasie tych poszukiwań, jakby mimochodem otarł się Hilary Krzysztofiak o późnego Picassa, potem Siqueirosa, manifestował się w kompozycjach neorealistycznych, sięgał później pełną garścią

cią do doświadczeń ludowej sztuki meksykańskiej, a jeszcze później tworzył cykle symetrycznie komponowanych „totemów”, już na granicy abstrakcji, symbolicznych aktów. O tym okresie krytyk Stanisław Ledóchowski pisał w *Nowej Kulturze* przed piętnastu laty: „To malarstwo w trudem wzbudza sympatię. Jest oschłe i surowe, nie ma w nim miejsca na ciepło, sentyment i rozmyślanie. Jest tam za to dużo okrucieństwa, biologicznej równowagi, dużo efektownej energii kosmosu. A więc jednak życia”. Pisano też wtedy sporo o niesłuchanie ostrych, kontrastowych, niekiedy nawet „zgrzytliwych” barwach Hilarego. Padały słowa, że jego paleta zna tylko krańcowości, jest zbyt agresywna. W wielu wzbudzał protest. Czy słuszny? Trudno dziś powiedzieć. Pobudzał w każdym razie do dyskusji, prowokował namietności (być może w założeniu wcale nie chcąc prowokować, daleki był bowiem, jak się zdaje, od celowego epatowania widza), słowem: jego wystawy nie miały bez echa.

Po latach symetryczne totemy przetwarzają się pod jego pędzlem w cykl awangardowo, a równocześnie i ludowo pojmowanych „Madonn”, „Świątków”, postaci rozpiętych na krzyżu. O ile sobie przypominam, poszczególnych obrazów z tego cyklu malarz nie nazywał ani Madonnami, ani Świątkami, na pewno jednak były swoiście pojmowaną próbą sztuki sakralnej, manifestacją zarówno niepokoju egzystencjalnych, jak i potrzeby metafizyki. Nie wiem dlaczego Ledóchowski pisał, że w poprzednim okresie Hilarego nie ma miejsca na rozmyślanie. Czy dlatego, że artysta był zbyt witalny, że był czystej wody sensualistą, że odwoływał się tak często do dziedziny biologii? Może. W każdym razie ten następny okres, to właśnie rozmyślanie malarza, zmuszającego równocześnie do tego samego widza, to okres głębokiej zadumy. Inspiracja tradycją malarstwa religijnego w patetyczności, hieratyczności postaci, dramatyczności ich wyrazu, była wyraźna. Wyraźna też była inspiracja sztuką ludową. Myślę, że rodzimą. Są tam już w malarstwie Hilarego jak gdyby świątki przydrożne i wyobrażenia postaci z chłopskiego malarstwa na szkle oraz papierowych wycinanek, są i reminiscencje pięknych w swym prymitywizmie bieszczadzkich ikon. Ta tematyka zajmowała malarza dość długo, cykl był kontynuowany przez lata, przetwarzał się w nowe autonomiczne cykle. Tak, na przykład, do tego cyklu należy moim zdaniem jego drapieżna grafika końca lat sześćdziesiątych (tu stale mam przed oczami pełną siły wyrazu, cierpienia i wzniosłości postać rozpiętą na krzyżu, reprodukowaną przed paroma laty na okładce katalogu jednej z wystaw w Holandii). Później były maski, Madonny mające w twarzach coś z Madonn bizantyńskich i było zastosowanie najróżniejszych nowych technik, począwszy od taszystowskich efektów wywoływanych ściekaniem farb, poprzez technikę kollażu, wtapiania w farbę staniolu, a także przedmiotów i szmat, aż do pop-artu. Natomiast dawne zainteresowania Hilarego studiami z dziedziny anatomii, które jeszcze w okresie warszawskim

owocowały owymi symbolicznymi aktami, to po latach cykl, który nazwałbym rozbiorem anatomicznymi, to studia części ciała i organów ludzkich, potraktowane równie drobiazgowo, jak umownie; to często nawiązywanie jak gdyby do prapoczątków sztuki, do fetyszów płodności epoki kamiennej. Źródłami inspiracji artyści zdają się być tak zwane „kamienne baby”, Venus z Willendorfu, malarstwo na skale z jaskiń w Lascaux. Koloryzm fowizmu w połączeniu z dekoracyjnością kubistyczną. Chciałoby się rzec: malarza w studiach tych interesują procesy naturalne, którym podlega sam człowiek, bądź jego otoczenie. Narodziny, ruch, wzrost, zmiana, rozpad, zniszczenie. I siły napędowe tych procesów, z których erotykę zdaje się stawiać malarz na specjalnym miejscu.

Czy wszystko to Hilary ma już poza sobą? Mówiliśmy przecież na wstępie o sumie. I tu nasuwa się refleksja druga. Patrząc na jego nowe obrazy, pozornie odległe i w tematyce i formie od tych sprzed lat, powiedzmy, dziesięciu, można zaryzykować twierdzenie, że całą jego twórczość spina rodzaj jego wyobraźni, zawsze jednorodnej, oscylującej między widzeniem nadrealistycznym, a symbolicznym. Hilary nie uczestniczy w morderczym poszukiwaniu nowatorstwa formy i treści, nie zamierza burzyć ani rewolucjonizować formy wypowiedzi plastycznej. Wierzy głęboko, że język, którym od wieków posługuje się malarstwo sztalugowe, jest dostatecznie sprawny, aby wyrazić nim w sposób nowoczesny każdy zamysł twórczy. Nieustannie doskonaląc swój warsztat, traktuje jednak biegłość techniczną — a trzeba przyznać w technice Hilary jest perfekcjonistą — jako li-tylko środek do wyrażenia swej poetyckiej, niespokojnej, dramatycznej wizji świata wymyślonego. Ale pokrewieństwo twórczości Hilarygo z nadrealizmem, zaobserwowane przez krytyków już w jego okresie warszawskim, a rzucające się w oczy i dzisiaj, nie wpływa z podobieństwa rozwiązań czysto formalnych. Drapieżność, atakowanie tradycyjnej mentalności, penetrowanie mroków podświadomości, ukazywanie świata groźnego, niepokojącego, pełnego namietności, ukrytych znaczeń i niedomówień — wszystko to są, jeśli chodzi o treść, elementy jego nadrealistycznych wizji rozgrywających się gdzieś na pograniczu świata codziennego i świata snu, czy też poetyckiej baśni. Klimat nocnych koszmarów zmieszany z nastrojem sennego marzenia, z którego jednak nie budzimy się z uczuciem przerażenia, raczej utraty czegoś, co niepokoilo, ale było piękne.

Nostalgiczną pustkę rozległych pejzaży ożywiają na kilku obrazach warianty tego samego kokonu, skorupy, może embrionu, z którego wyrastają fantastyczne drzewa, rdzeń natomiast stanowią — w kokon, może nawet kwiat — wtopione akty ludzkie. Z innej pustki na obrazie zatytułowanym „Pejzaż” wspina się w górę i wszczepia splątany gąszcz, przypominający bardziej podmorskie porosty, niż drzewa, i na zaciemnianym niebie stoi samotny księżyc, mówiąc, że to pejzaż księżycowy. Czasem miej-

sce pustych, niepokojących przestrzeni, służących za tło dla wieloznacznego symbolu, zajmuje drobiazgowo opowiedziana pędzlem historia literacka, jak chociażby w obrazie zatytułowanym „Ślepe, nocne ptaki” — ku horyzontowi poprzecinanemu obłokami oddalają się góry podobne bardziej piramidom, niż górom rzeczywistym, porośnięte nagimi drzewami, a plan pierwszy zapełniają symetrycznie rozstawione: dwa stoczone robakami, pozabawione liści drzewa i upadły na ziemię księżyc. Ślepe ptaki są ptakami wyciętymi z papieru lub listewek dykty, jakie konstruuje dla zabawy dzieci. Nastrój majestatycznego pogrążenia wszechrzeczy w sennym letargu.

Może otwiera się przed nami świat, który zwykliśmy nazywać „po drugiej stronie lustra”? Może. W pejzażach tych rzadko spotykamy człowieka, jak gdyby malarz bał się, że zamąci on ciszę i zagrozi dziewiczej przyrodzie. Jeśli zaś go spotykamy, to najczęściej uwolnionego z pancerza ubrania, wtopionego, wbudowanego w gąszcz, w konary, w rośliny, bliższego przez to naturze. W obrazach tych dominują zielenie, błękity, brązy, czerwienie, zawsze ostro skontrastowane, wywołujące częściej smutek i niepokój, niż ukojenie. Nie można oprzeć się wrażeniu, że wizje, które powołuje do życia Hilary Krzysztofiak, są formą interpretacji groźnej otaczającej rzeczywistości, w której pragnie on coś ocalić od zagłady i śmierci. Są bowiem, mimo ich często pesymistycznej wymowy, afirmacją życia.

Włodzimierz ODOJEWSKI

Losy francuskiego przekładu książki Boya

Wiadomo że przed wydaniem książkowym niemal wszystkie teksty Boya ukazywały się w prasie. Dotyczyło to nie tylko jego recenzji teatralnych i artykułów o bieżących problemach, ale również szkiców, pomyślanych już z góry jako rozdziały określonej całości („Znasz-li ten kraj?”, „Ludzie żywi”, „Brązownicy”, „Obrachunki fredrowskie” itd.). Oprócz zrozumiałych względów praktycznych tkwiła w tym niewątpliwie jedna z osobliwości jego pisarskiego warsztatu: możliwość śledzenia reakcji

* Thadée Boy-Zeleński, *Marysieńka. La plus aimée des reines*, version française de Paul Cazin; préface de Jean Fabre. Editions Age d'Homme, 1975.

czytelnika, powoływania się na nie, oraz brania ich — często z kokieterią — pod uwagę w rozwinięciach opracowywanego tematu. Nie inaczej było z jego książką o Marysienice Sobieskiej, chociaż tę pisał na wyraźne zamówienie Książnicy-Atlas do kolekcji „Portrety”. Nie kilka wybranych *bonnes feuilles*, lecz wszystkie kolejne części ukazały się w latach 1936 i 1937 na łamach *Wiadomości Literackich*. Pierwsze wydanie książkowe pojawiło się z końcem 1937 roku (w rzeczywistości w styczniu 1938 roku). Od razu też (wnosząc z dat) zwrócił się Boy do swego francuskiego przyjaciela, Paul Cazin, z propozycją przetłumaczenia „Marysienki” na francuski. Nie znamy tekstu tego listu, zachowały się jednak dalsze. 26. V. 1938 r.: „Serdecznie mnie ucieszyła wiadomość nie tylko o pańskiej zgodzie, ale o rozpoczęciu pracy! Dziękuję, z całego serca dziękuję”. W tym samym liście z miejsca sygnalizuje tłumaczowi pewną ilość „szczegółów technicznych”. Chodzi m.in. o znajdujące się w polskim tekście ustępy przełożone z dokumentów francuskich (listy Marysienki do Męża, anonimowy list pisany przez Króla Jana pod Wiedniem, przeznaczony dla posła francuskiego itd.), które należałoby oczywiście zacytować w oryginale; makaronizowanie francuzczyzną polskich tekstów Sobieskiego i makaronizowanie kulawą polszczyzną francuskich listów Marysienki. Boy sugeruje, że trzeba by te wtrącenia uwydatnić: w pierwszym wypadku rodzajem druku, a w drugim zachowując polskie zwroty i dając w nawiasie ich przekład francuski. Co więcej: czy w listach Marysienki do męża „zostawić ich straszliwą, potworną ortografię, czyniącą czasem rebusy trudne do odszyfrowania, czy też — co sądzę może byłoby lepiej — zmodernizować i uporządkować pisownię”. Przewidując, że w trakcie pracy następcą się tłumaczowi inne problemy, proponuje ich uzgadnianie. „Najlepiej — konkluduje — niech pan przysyła ewentualną kopię skryptu w miarę roboty, a ja będę równocześnie wstawiał odpowiednie ustępy”¹. Cazin skorzystał z tej propozycji, gdyż dwa tygodnie później, 10. VI. 1938 r., Boy „jeszcze raz bardzo serdecznie dziękuję za tak energiczne wzięcie na warsztat *Marysienki*”, donosi że „pierwszy rozdział przestudowałem, doskonały jest”, daje jednak „wykaz uwag, jakie się naszczęcają”: proponuje skreślenie wskazanej aluzji lokalnej, więc dla francuskiego czytelnika niezrozumiałej, oraz zastąpienie różnych wyrażen przekładu innymi (odnośnie Turków słowo *infidèle* wyrazem *mécréant* itd.). Zaś „co się tyczy korespondencji dyplomatycznej... ja ją tutaj wyszukam z tych samych egzemplarzy, z których ją czerpałem”. Równocześnie: „Miałem list od Bouteirona², obiecuje najchętniej i najczynniej pomoc przy znalezieniu wydawcy, ewentualnie dla umieszczenia poszczególnych rozdziałów w jakichś *Reuves*”.

1. T. Żeleński-Boy, *Listy* (PIW, 1972). Z tego zbioru czerpię dalsze cytaty z listów Boya.

2. Wybitny francuski znawca Balzac'a, zaprzyjaźniony z Boyem.

Celowo przytoczyłem te cytaty. To przecież nie tylko zrozumiała u każdego pisarza troska o to, by przekład jego książki wypadł jak najlepiej; to jeszcze więcej *déformation* lub jeszcze trafniej *formation professionnelle* Boya: mówiąc o problemach, które dziesiątki razy sam musiał przemyśleć, pragnął zaoszczędzić przekładowi z własnej książki błędów, przeinaczeń i niedokładności, jakie sam ni jednemu tłumaczowi publicznie po wielokroć zarzucał.

Wzmiankowałem, że nie znamy pierwszego listu Boya w tej sprawie, tego w którym zaproponował Cazinowi podjęcie się przekładu „Marysienki”. Wielka szkoda. Można bowiem przyjąć, że pisał w nim dlaczego właśnie ta jego książka winna — jego zdaniem — ukazać się w tłumaczeniu francuskim. Międzywiersze korespondencji świadczą przy tym, jak ogromnie mu na tym zależało. Zauważmy bowiem, że sytuacja Boya była — pod tym względem — dosyć paradoksalna. Sam wybitnie przetłumaczył i rozpowszechniał około 150-ciu tomów francuskich klasyków; o Francji i o literaturze francuskiej ogłosił dziesiątki studiów i artykułów. Rząd francuski przyznał mu za to szereg odznaczeń — od Palm Akademickich do Komandorii Legii Honorowej. Po odczycie Boya o jego twórczości pt. „Moje zwierzenia”, wygłoszonym 10. II. 1927 r. a więc już dziesięć lat wcześniej — w wielkim amfiteatrze Sorbony, pod przewodnictwem ministra Louis Marin, wybitny krytyk, René Boumic, ówczesny sekretarz Akademii Francuskiej, orzekł że był to „najbardziej paryski z odczytów, jakie kiedykolwiek słyszał”. Z tym wszystkim Boy był wszakże pisarzem całkowicie nieznanym francuskiemu czytelnikowi. Żadna z jego książek nie ukazała się po francusku, a on sam nigdy próby dotarcia swoich utworów do francuskiego czytelnika nawet nie inicjował. I nie bez przyczyny: poza studiami o literaturze francuskiej (pisanymi także z myślą o polskim czytelniku), wszystkie jego utwory nie tylko tematami lecz również całym systemem odnośników miały charakter głęboko i nazbyt specyficznie polski. I oto ta książka o Marysienice!

Dodajmy inny jeszcze szczegół. W czasie, gdy Boy pracował nad biografią Marysienki, dochodziły go wieści, że Francuz — H. Aurence — pisze jej historię. Oczekiwał zatem tej książki z łatwo zrozumiałą niecierpliwością. Ukazała się ona w Paryżu w 1937 roku pt. „La fortune de Marysienka”. Jej autor już we wstępie potępiał w czambuł historyków nie tylko francuskich lecz także polskich (których znał chyba wyłącznie ze słyszenia!), powoływał się na dotarcie do rzekomo nieznanego wcześniej dokumentów i zapowiadał całkowicie nowe oświetlenie tytułowej postaci. Ledwie pierwsze egzemplarze jego książki nadeszły do Warszawy, powitał ją „ciepły i poważny felieton” w *Kurierze Warszawskim*. Boy poświęcił wtedy książce H. Aurence artykuł pt. „Żadna historia czyli camera obscurissima³”: „To już nie jest nawet *vie romancée*... to jakiś groszowy romans w odcinku bru-

3. Boy, *Pisma*, t. VII, str. 367 i nast. (PIW, 1957).

kowego pisemka". Zamość leży — według H. Aurence — u stóp Karpat, na stromej skale, nad brzegiem rzeki Gah. Po ślubie Marysieńki z Bampyskim (1658), autor ściąga ponownie Szwedów w głąb Polski; Warszawa wpada znów w ich ręce, Jan Kazimierz szuka tym razem schronienia „w olbrzymich stepach Ukrainy”. Ścigając go, Karol Gustaw oblega „po drodze” Zamość. Marysieńka, przebrana za oficerka, krząta się wśród żołnierzy, by bronić miasta do upadłego. „Łatwo poznać, że całe to oblężenie Zamościa jest to klitusz bajduś sklecone z oblężenia Częstochowy i innych epizodów à la Sienkiewicz...”, przy czym Marysieńka jednoczy animusz Basi Wołodyjowskiej i wiarę księdza Kordeckiego z fortelami i swadą Zagłoby”. Taż Marysieńka ratuje później fantastycznymi fortelami oblężony... Lwów. Z „Trylogii” Sienkiewicza (którą czytał widać pobieżnie, w tłumaczeniu) H. Aurence zaczerpnął nawet szereg nazwisk: „Podbipięta jest burmistrzem Gdańska i wita w tym mieście królową Marię Ludwikę oracją, a towarzyszy mu pan Wasyl Zagłoba, syndyk ławników gdańskich, długi i chudy starzec z brodą do pasa”.

Chociaż w całym tym artykule Boy ani jednym słowem nie wzmiankował swojej świeżo wydanej książki, konfrontacja — na skutek zbieżności w czasie — narzucała się sama. Łatwo się domyśleć, że tym bardziej pragnął przyspieszyć ukazanie się francuskiego przekładu swojego studium na ten temat. Ilekroć otrzymuje od Cazina dalsze fragmenty tłumaczenia, od razu skrupulatnie je sprawdza. Chwali, ale też za każdym razem proponuje określone poprawki i retusze.

Sprawa przekładu się przewleka⁴. Ośladzając wyrzuty komplementami, Boy dopinguje. W liście z 28. IV. 1939 (ostatnim ze znanych) pisze: „Pawełku drogi (w międzyczasie przeszli — widać — na ty), dostałem VI rozdział, ślicznie jak zawsze przetłumaczony, ale zlituj się, czy by nie można przyspieszyć tempa? W tym tempie nie ma mowy, żebym dożył końca roboty! A szkoda doprawdy, bo teraz, sędzę, byłaby dobra koniunktura na książkę”. Zaś w zakończeniu: „Sciskam Cię i czekam słówka *po ciechy* (moje podkreśl. — M.B.) i odpowiedzi”.

Nie dożył w istocie. Cazin ukończył przekład „Marysieńki Sobieskiej” dopiero po wojnie, 3. VII. 1947 r.: sześć lat po zamordowaniu Boya przez hitlerowców.

Nie dożył ukazania się tego przekładu również Paul Cazin (zmarł w 1963 roku). Wydawnictwo paryskie, w którym je złożył, nie tylko nie wydrukowało książki, lecz zawieruszyło na dobre jedyny starannie wyszlifowany tekst tłumaczenia. Później trzeba się było oprzeć na niedokładnej kopii. Zawiodły także inne starania o uplasowanie książki w firmach francuskich. Jeśli zważyć

4. W 1938 roku Cazin wykładał literaturę polską w Centre d'Etudes Polonaises Biblioteki Polskiej w Paryżu. Pracował też nad swoją tezą doktorską o Ignacym Krasickim. Teza ta miała mu zapewnić utrzymanie katedry literatury polskiej w Sorbonie.

ogrom zasług Boya dla literatury francuskiej — ogarnia melancholia...

Koniec końcem, tłumaczenie *Marysieńki* ukazało się dopiero w 1975 roku. Na domiar nie w Paryżu, lecz w Warszawie, w wydaniu *Interpressu*, któremu Editions *Age d'Homme* użyczyło firmy dla części nakładu.

W tekście, który służy za przedmowę do tego przekładu⁵, prof. Jean Fabre, wspomniawszy o zbliżającym się stuleciu urodzin Boya, wyraził nadzieję, że ten sam wielki amfiteatr Sorbony, gdzie — w 1927 — Boy wygłosił odczyt o swojej twórczości, otworzy podwoje, by uczcić pamięć „tego przykładowego pisarza, tego godnego podziwu tłumacza, tego niezrównanego przyjaciela Francji...”.

Stulecie urodzin Boya minęło 21. XII. 1974 r. Akademii nie było. Można było wszelako oczekiwać, że ukazanie się przekładu *Marysieńki* będzie — dla francuskiej krytyki — okazją do przypomnienia całokształtu dzieła Boya.

W chwili, gdy piszę te uwagi, minęło od ukazania się książki ponad pół roku; jak na razie żadnego oddźwięku nie było⁶.

Michał BORWICZ

5. Chodzi — jeśli się nie mylę — o tekst, który p. Jean Fabre wygłosił w Paryżu, jako zagajenie odczytu Wojciecha Natansona o Boyu.

6. Na taki oddźwięk liczyli pewnie wydawcy, włączając do książki uzupełnienia, mogące służyć prasie francuskiej za „dokumentację”. Obok przedmowy Jean Fabre'a tom zawiera tekst „Moich zwierzeń” Boya oraz starannie opracowane posłowie Jerzego Jurandota.

“POLONIA”

KSIĘGARNIA POLSKA W CHICAGO
2921 Milwaukee Ave., CHICAGO, Ill. 60618.

Czynna codziennie od 10-ej do 6-ej pp.

Posiada na składzie: książki i czasopisma polskie, polskie karty okolicznościowe i Dział Antykwiariatu; przyjmuje książki do sprzedaży komisowej.

Skład Główny na Chicago wydawnictw Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte (pod Paryżem), m.in. paryskiej KULTURY i ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH.

Księgarnia przyjmuje prenumeraty na polskie czasopisma i wykonuje pocztowe zlecenia księgarskie.

AUTORECENZJA

Nowa książka Grynberga pt. „Życie ideologiczne” należy do starej tradycji literackiej tzw. „Bildungsromanu”, czyli opowieści o kształtowaniu i kształceniu człowieka. Do kategorii tej należą „Szkola uczuć” Flauberta, trylogia Tołstoja „Dzieciństwo”, „Lata chłopięce” i „Młodość”, trylogia Gorkiego „Dzieciństwo”, „Wśród ludzi” i „Moje uniwersytety”, a w literaturze polskiej „Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki” i „Syzyfowe prace”. Grynberg zresztą niejednokrotnie w swym tekście nawiązuje do „Syzyfowych prac”, a satyryczno-ironiczne ujęcie tematu wydaje się nawiązaniem do Krasickiego. Książka Grynberga jest więc mocno osadzona w tradycji literackiej. Nawet jej motto: „Szkolo, szkolo, gdy cię wspominam — ogarnia mnie przerażenie”, to parafraza ze znanego wiersza Tuwima.

Szkola Grynberga jest bardziej przerażająca od szkoły Żeromskiego, a nawet szkoły życia Gorkiego, tak jak totalitarny terror sowiecki jest bardziej przerażający od zwyczajnego, policyjnego terroru carskiego. „Życie ideologiczne” jest opowieścią z epoki ideologii i próbą ukazania mechanizmu ideologicznych nadużyć, które nieuchronnie prowadzą do ludobójstwa. W odróżnieniu od wynikłego z nadużyć ideologii oczywistego ludobójstwa hitlerowskiego, komunistyczne ludobójstwo typu sowieckiego jest bardziej utajone, obliczone na konanie powolniejsze i nie tyle fizyczne co umysłowo-psychiczne. Grynberg sygnalizował to już niejednokrotnie w swych wierszach, mówiąc o „spustoszeniu, jakie czas w duszach sieje” („Święto nad Wisłą”) i o tym, że „nie ciała lecz dusze się zjada” („Istnieje obawa”). W poszukiwaniu korzeni współczesnych ideologicznych nadużyć Grynberg — jak pisze Wygodzki w tel-awiwskim dzienniku *Kurier-Nowiny* — „wiedzie swego narratora przez różne obszary różnych ideologii”. Konfrontuje chrześcijańską wersję męczeństwa Chrystusa z żydowską („Gdyby Jezus wiedział co Jego późniejsi wyznawcy będą wyczyniali z Żydami, to sam by się ukrzyżował, zanim ktokolwiek zdążyłby na Niego donieść”). Wykrywa je w stronniczej nauce historii: „Była to historia — słusznie nazywana powszechną — w której, odwrotnie niż w żydowskiej, nie ten kogo łupiono i bito był bohaterem, ale ten kto łupił i bił”. Grynberg chętnie podkreśla względność każdej ideologii: „Tylko nasza niemiecka gospościa ze zrozumieniem słuchała, gdy wyjaśniałem w kuchni politykę państwa... i w jaki sposób nasze dzisiejsze wyrzeczenia zostaną wynagrodzone w przyszłości, gdy pokonamy opór wrogów i wyeliminujemy pasożytów... Miała kiedyś młodszego brata, którego bardzo kochała. Prosto ze szkoły poszedł na front i zginął. Twierdziła, że kiedy tak mówię, to bardzo jej go przypominam”.

W „Życiu ideologicznym” ukazany jest mechanizm deprawacji w komunistycznej szkole, gdzie — jak zauważa Joseph Fiszman w książce pt. „Revolution and Tradition in People's Poland” (Princeton University Press, 1972) — uczniowie widzą jak „nau-

Książki**Samokrytyka**

W naszej emigracyjnej literaturze brak typowego podziału na pisarzy, czytelników i krytyków. Jest nas tak mało, że musimy spełniać te funkcje równocześnie. Powoduje to nadmierne przeciążenie pracą. Ponieważ na ogół nie utrzymujemy się z honorariów ani tantiem, staramy się chwile wolne od pracy zarobkowej wykorzystywać przede wszystkim na pisanie własnych tekstów i zostaje nam niewiele czasu na czytanie cudzych, a co dopiero pisanie o nich. Toteż zauważamy zjawisko ugania się autorów i redaktorów za krytykami i wtykania im niemal siłą tomów do recenzjonownia. Najczęściej prowadzi to do wymiany usług: „Dobrze, ja napiszę o twojej książce, jeśli ty napiszesz o mojej”. Tego rodzaju utylitaryzm jest nie zawsze zdrowym zjawiskiem, bo oznacza on również: „Jeśli ty źle napiszesz o mojej książce, to ja niezbyt dobrze napiszę o twojej”. W rezultacie otrzymujemy najczęściej nie krytykę, ale laurki i wzajemną adorację. A skoro tak, to przecież można zaoszczędzić krytykowi wielu „człowiekogodzin”, niezbędnych na przeczytanie i zrozumienie cudzego tekstu, jeśli autor, który swój tekst zna na wskroś i najlepiej zna odpowiedź na najważniejsze pytanie: „co autor chciał przez to powiedzieć?”, sam napisze recenzję ze swej książki. A ilu nieporozumień w ten sposób unikniemy... Pomysł ten nie jest wcale tak oryginalny, jakby się wydawało, bo czymże jest wieczór autorski, jeśli nie autorecenzją? Tyle, że zamiast jeździć do Londynu, Paryża, Nowego Jorku, Tel-Awivu czy Buenos Aires, kupując niedrogi znaczek pocztowy i za pośrednictwem poczytne go czasopisma autorskie *exposé* samo wędruje do wszystkich tych egzotycznych metropolii równocześnie. A oto pierwsza w historii literatury

czyciel, na ogół lojalny wobec ustroju, prowadzi w klasie dyskryminację na korzyść uczniów pochodzenia robotniczego i chłopskiego, lub dzieci, których rodzice zajmują wysokie stanowiska". Powołując się na Grynberga opis polskiej szkoły komunistycznej na podstawie opublikowanego kilka lat temu w *Kulturze* fragmentu „Życia ideologicznego”¹, Fiszman zwraca uwagę na cynizm uczniów, którzy, gdy nie są przygotowani do lekcji, umiejętnie posługują się „żargonem ideologicznym, by skierować dyskusję na ogólniki, dotyczące walki klasowej, doli chłopów feudalnych i robotników w kapitalizmie, a nauczyciel musi im pozwolić na tę zmianę tematu lekcji”. Fiszman podkreśla jednak przy tym ukazany przez Grynberga pozytywny przejaw, a mianowicie, że „większość uczniów po prostu milczy, gdy na lekcji historii lub literatury zaczyna się mówić o ideologii”.

W „Życiu ideologicznym” ukazane jest wczesne „dojrzwianie” młodzieży: „Ważyliśmy słowa i uważnie spoglądaliśmy sobie w twarze... Uważaliśmy bardzo, kto z kim i przeciwko komu. Zrobiliśmy sobie nawet zdjęcie, na którym wyglądaliśmy jak Komitet Centralny. W pierwszym rzędzie, pośrodku, nasz wódz z myślowo uniesioną brwią... Dłonie za klapą marynarki, jak na moskiewskiej trybunie”. Po „politycznym” wykończeniu kolegi na pierwszym roku uniwersytetu, następuje konkluzja: „Każdy z nas z doświadczenia wiedział, że co jakiś czas musi dojść do tego rodzaju rytualnej rozprawy i złożenia ofiary najbezwzględniejszemu z bogów, który ma na imię kolektyw i, przy całej swej potędze, tę tylko słabość, że nie może funkcjonować bez ofiar. Wszyscyśmy żałowali, że to musiał być Brzózka, ale z drugiej strony mogło to spotkać każdego z nas”. A oto skrótowny, ogólny opis tego współczesnego orwellowskiego świata: „Nikt nam nie ufał i my nie mieliśmy do nikogo zaufania... Byliśmy osaczeni. Jedni przez drugich. I to wszyscy. Wszyscy przez wszystkich. Musieliśmy uważać, żeby się nie wychylać. A jak się wychylić, to we właściwą stronę i prawidłowo. Byliśmy w konkurencji, która polegała właśnie na tym, kto potrafi się bardziej prawidłowo wychylić. Konkurencja to była niełatwa, bo wszyscyśmy byli stare wróble. Nawet my, najmłodszy, prosto ze szkoły średniej. Była to gra tym niebezpieczniejsza, że trwała bez przerwy, nie dając nam wytchnienia ni odprężenia, bo z sal wykładowych i zebrań przenosiła się na korytarz, do stołówki, do akademika”.

Obok deprawacji, drugim głównym tematem „Życia ideologicznego” jest sprzeczność pomiędzy ideologią a życiem, którego immanentnym elementem jest bunt. I tak nawet na szkoleniowym obozie aktywu znajdzie się ktoś, kto jak Adamiec nie wytrzyma i oświadczy, że „niezależnie od warunków historycznych nie widzi ideologicznej potrzeby, żebyśmy mieli kawę chłepać z miski jak koty, tylko dlatego, że jakiś kutas nie zamówił w porę kubków dla naszego obozu”. W recenzji zamieszczonej

1. Patrz: „Pochodzenie społeczne czyli Łapa”, *Kultura* Nr 4/259, 1969.

w 44 numerze *Tygodnia Polskiego* Stanisław Wygodzki pisze, że kto nie zna rzeczywistości PRL'u z autopsji, przyjmie książkę Grynberga jako kpinę ze zdrowego rozsądku, gdyż „rzeczywistość, ta najzwyczajniej pojęta, zadawała kłam teoretycznym założeniom”². W opowieści Grynberga ten rozdźwięk pomiędzy teoretycznymi założeniami a rzeczywistością występuje najjaskrawiej w sprawach seksualnych, którym z natury rzeczy należy się wiele uwagi w utworze o emocjonalnym kształtowaniu człowieka. Owe teoretyczne założenia społeczeństwa komunistycznego wywodzą się z tego, co Kołakowski nazywa „racjonalnymi konstrukcjami” i „symplicystycznymi teoriami natury ludzkiej”, z racjonalizmu „polegającego na tworzeniu pewnych uproszczonych, wyspekulowanych modeli” (L. Kołakowski, „Georges Sorel — marksizm jansenistyczny”, *Kultura* Nr 1/316-2/317, 1974). Kołakowski podkreśla, że racjonałści „niezdolni są dostrzec zawłości psychologicznych, wielości konfliktowych motywów współdziałających w życiu, ogromnej wagi tradycji i obyczaju, biologicznych, a zwłaszcza seksualnych okoliczności w rozwoju społecznym”. Racjonalizm, na którym wschodnio-europejscy komuniści opierają swą wulgarną interpretację marksizmu, jest — jak pisze Kołakowski — „formułą myślenia ułatwionego, redukcją świata do najprostszyc schematów, zaczerpniętych z rozważań prawniczych, które w naturalny sposób sprowadzają ludzi do jednostek jurysdycznych”. Kołakowski dodaje, że historia utopii komunistycznych jest pełna tego rodzaju „racjonalistycznych przesądów” i że utopie te zakładają „niezróżnicowane pojęcie abstrakcyjnego (podkr. moje) osobnika ludzkiego, wolnego od wpływu całej tradycji historycznej, od religii, od obyczajów dziedzicznych, od określoności narodowych, biologicznych i psychologicznych, i budują imaginacyjne państwa z takich osobników złożone”.

Grynberg zdaje się w zupełności potwierdzać to, przeciwstawiając ideologicznym schematom komunistycznym rozmaite seksualne nieregularności jako tę stronę życia, w której „zawsze są jakieś niespodzianki”. I oto narrator jako piętnastoletni aktywista zetepomina skarży się: „Na żadnym kursie ideologicznym nie wspomniano o tym, że w praktyce organizacyjnej będziemy mieli do czynienia z kobietami. W ideologii, a nawet w stra-

2. Wygodzki w swej recenzji, która jest skądinąd znakomitą analizą stalinowskich i post-stalinowskich metod deprawacji w PRL'u, popełnił dwie drobne nieścisłości, pisząc, że narrator, który jest żydowskim chłopcem, „ukrywany przez rodzinę polską na wsi, wraca po wojnie z matką do rodzinnego miasta Łodzi”. Nigdzie w tekście „Życia ideologicznego” nie ma informacji o rodzinie polskiej, która ukrywała narratora, ani o tym, że Łódź jest jego rodzinnym miastem. We wstępie od autora jest napisane, że narrator jest tą samą postacią, która przedtem występowała w „Żydowskiej wojnie”, „Zwycięstwie” i krótszych opowieściach, gdzie również nie ma wspomnianych wyżej informacji. Są tam tylko informacje o różnych okolicznościach ukrywania się, posługiwania się „aryjskimi papierami” i przyswajania sobie chrześcijańskiej wiary.

tegi i taktyce, zupełnie ten fakt zignorowano. Nikt nie pomyślał o tym, co ma powiedzieć na zebraniu przewodniczący, owszem zazdrosny przewodniczący, któremu kobieta publicznie zada cios w serce. Co tam w serce, poniżej pasa!". Na uniwersytecie narrator zauważa, że koleżanki „nie patrzyły zbyt daleko w przyszłość, żyjąc raczej od miesiączki do miesiączki, teraźniejszością — jak im natura kazała". Z czego wyciąga natychmiast wniosek: „Nie, nie byliśmy wcale jednolitą organizacją. Aż dziw, że nasi wyrafinowani teoretycy nigdy nie brali pod uwagę, że byliśmy organizacją co najmniej dwupłciową”.

Świat płci, czyli natury, jest w książce Grynberga prawdą przeciwstawioną sztucznemu, zakłamanemu światu ideologii. Konflikt ten jest zasygnalizowany w opisie zetempowskiej „wieczornicy”, gdzie po każdym niewinnym tańcu „labada-labada” i odśpiewaniu rytualnych piosenek ludowych „dziewczyny i chłopcy jeszcze bardziej przywierali do siebie w tangu, wciskali sobie wzajemnie uda w fokstrocie, a nawet w walcu”. Ten prawdziwy świat objawia się narratorowi-bohaterowi w całej swej okazałości w pierwszym w życiu akcie płciowym: „Wdychałem aromat wielkiej sierpniowej nocy, czułem jak czas się zatrzymał. Z niedowierzaniem odkrywałem ten zupełnie inny świat. Ten jedyny, jaki zawsze naprawdę istniał... Była tylko ziemia, nisko zawieszony niebo i przyjemna, przytulna ciemność... Zniknęła bez śladu i głupia szkoła i cholerne ZMP”. Seks w zakłamanej rzeczywistości komunistycznej staje się, według Grynberga, jedynym wolnościowym odruchem jednostki. Autor podkreśla to w opisie Międzynarodowego Festiwalu Młodzieży, który się odbył w Warszawie w 1955 roku. Grynberg przedstawia ów festiwal jako „wielkie międzynarodowe i międzykontynentalne tarło”, które zerwało wiele tam i „pchnęło w nowym kierunku psychikę narodową”. Ten masowy ruch seksualno-wolnościowy dochodzi do punktu kulminacyjnego w latach 1956-57, gdy dochodzi do potężnego starcia pomiędzy światem fałszu a prawdy. Grynberg pisze: „Seks stał się synonimem wolności i jej głównym, jeśli nie jedynym, spełnieniem. Był znakiem rozpoznawczym jej synów i córek”. Wolnościowy karnawał ogarnia nawet partyjne żony i narzeczone, których „rumieńce wyraźnie wskazywały, że nie utrzyma ich więcej w garści żadna instancja partyjna, a co dopiero narzeczony lub mąż”. I oto na balu partyjnym dochodzi do otwartej orgii, gdyż seks w takich proporcjach jest już siłą niszczącą, a niemoc płciowa, jaką podczas balu po raz pierwszy przeżywa bohater, ma symboliczną wymowę.

Grynberg odsłania także inne, ciemniejsze strony życia płciowego, wraz z kompleksami i obsesjami żydowskiego bohatera, który jako *outsider* musi działać samotnie i skrycie, sam siebie porównując do kota. Związane są z tym także ksenofobiczne kompleksy i obsesje otoczenia. Dlatego wolnościowe przeżycia seksualne bohatera są zatrute goryczą: „Wzruszałem się jak wszyscy, gdy po północy śpiewano o czerwonych makach na

Monte Cassino i chłopcach spod Parasola, ale gdy zaraz potem wszyscy z podniesioną przyłbicą rwali z sali dziewczyny jak maki, ja je musiałem wykradać”. Nieodłącznej w tych okolicznościach goryczy osamotnionego żydowskiego ocalańca z wojennej rzezi nie należy rzutować na traktowanie przez autora aktów płciowych. Stosunek płciowy jako taki jest u Grynberga pozbawiony goryczy i ponurości z opowiadań Hłaski i jego naśladowców. Przeciwnie, jest zjawiskiem pogodnym i niewinnym, takim jak go w polskiej prozie traktował chyba tylko Boy. Pionierstwo Grynberga polega na tym, że nie ogranicza się do aluzji i daje szczegółowy, bezpośredni opis stosunku płciowego, z jego różnymi aspektami, pozbawiony przy tym elementu pornograficznego. Pionierstwo to odnosi się, oczywiście, tylko do literatury polskiej, której tradycje erotyczne są nader skromne. Seks jest najoptimistyczniejszym elementem „Życia ideologicznego”. Po rozruchach w październiku 1957 roku bohater opowieści, pobity i pokonany wraz z całą warszawską młodzieżą, odzyskuje szybko równowagę ducha na widok podlotków, które wiedzione świeższym instynktem młodości, parszają śmiechem wprost w ponure gęby milicyjnych zbirów z Gołędzinowa.

Grynberg stara się być obiektywny i sprawiedliwy w traktowaniu skomplikowanych spraw polsko-żydowskich. Jego nowa książka, podobnie jak poprzednio „Żydowska wojna”, „Zwycięstwo” i opowiadanie „Ojczyzna”, jest próbą rozładowania napięć, jakie się w tej dziedzinie nagromadziły. Napięcia te nie znajdują ujścia w literaturze krajowej, gdzie autentyzm jest prawie zawsze niszczonej cenzurą. Stąd też w literaturze krajowej, ilekroć dochodzi do zagadnień żydowskich, zauważa się przemilczanie, niedopowiadanie lub fałszowanie, nie mówiąc o antysemitycznych przytykach (Zalewski) i wybrykach (Dobrowolski). Grynberg nikogo nie oszczędza i stara się niczego nie ukrywać. Polacy i Żydzi są u niego tak samo dobrzy i źli, są tak samo prześladowanymi i prześladowcami, tak samo dzielni i podli, tak samo nieszczęśliwi. Grynberg pisze, że Żydów ubecy wcale nie cieszą się wśród Żydów większą popularnością niż wśród Polaków, ani też nie darzą większymi względami swe żydowskie ofiary. Często bywa wręcz przeciwnie. To samo dotyczy dygnitarzy, wojskowych, aparatu propagandy i zwyczajnych drobnych szczerkaczy na partyjnych czy zetempowskich zebraniach. Grynberg podkreśla różnice dzielące Polaków i Żydów: „Im większy był entuzjazm Polaków, tym głębszy był żydowski sceptycyzm”. Ale natychmiast wskazuje drogę do wzajemnego zrozumienia i zbliżenia, dodając: „Był to po prostu jeden z wielu kontrastów, charakterystycznych dla tych dwóch ludów, które na jednej ziemi, obok siebie, przeżyły najważniejsze, a w każdym razie najcięższe, chwile swoich dziejów”.

Grynberg chętnie i zręcznie posługuje się perspektywą historyczną: „Kiedy caryca Katarzyna organizowała pierwsze trzy rozbiory Polski, nie zdawała sobie sprawy, że wraz ze wschod-

nimi ziemiami Rzeczypospolitej będzie musiała wziąć tylu Żydów... Gdy Stalin organizował czwarty rozbiór Polski, też pewno nie przypuszczał, że dostanie aż tylu Żydów, którzy w dodatku jak owieczki garnęli się pod jego opiekę... Kiedy antysemita Gomułka pojechał do antysemity Chruszczowa, żeby dla uspokojenia buntowniczych nastrojów w narodzie wypuścić z Rosji byłych polskich obywateli, też nie przypuszczał, że dostanie od niego z powrotem prawie samych Żydów". Grynberg nakazuje swemu bohaterowi trwać w żydowskości, gdyż ustąpienie „po takiej rzezi” oznaczałoby przecież przyznanie zwycięstwa „tam-tym barbarzyńskim chamom”. Ostrzega przy tym Żydów, że ich sprawa z historią bynajmniej nie jest zakończona: „A co będzie, jak ci sami, co przedtem wołali 'Żydzi do Palestyny!', zaczną wołać 'Żydzi z Palestyny!'”. Jest oczywiste, że Grynbergowi chodzi o rozlegające się już w tej chwili coraz głośniejsze wołanie.

Opór Polaków ukazuje Grynberg jako cechę niezależnej polskiej natury. Reprezentują ją w jego opowieściach rośli, silni i zdeterminowani ludzie, jak Pszczółkowski i Orliński w „Żydowskiej wojnie”, Wielki Władek w „Zwycięstwie”, a w „Życiu ideologicznym” Adamiec i Grzybowski. Charakterystyczna rzecz, że na przykład Pszczółkowski z opowieści, której akcja rozgrywa się podczas okupacji, jest pełnym nadziei optymistą, natomiast Wielki Władek z okresu tzw. „wyzwolenia” jest melancholikiem, a Grzybowski z lat pięćdziesiątych pesymistą szukającym resztek nadziei. Powojenni Polacy, Wielki Władek i Grzybowski, pomimo swej potężnej budowy (obaj wyważają z zawiasów drzwi bez większego trudu) mają dosyć symboliczne ułomności, Władek z powodu partyzanckiej rany, a Grzybowski z powodu robotniczej gruźlicy. W obu wypadkach sprawcą tych ułomności jest los. Wielki Władek, szukający z początku *modus vivendi* z nową rzeczywistością, ginie niemalże dobrowolnie, a Grzybowski dobija się alkoholem — bo obaj wolą śmierć niż zmianę postawy. Grzybowski, który „nie chciał za psie pieniądze być popychadłem, lecz wolał siedzieć w kuchni i robić tyle damskich papuci ile chciał i kiedy chciał i, jak prawdziwy rzemieślnik, być swoim własnym panem”, jest jednym z najstaranniejszych i najpiękniejszych portretów w prozie Grynberga, współczesnym symbolem polskości, na którą nadal składa się ułańska wyobraźnia i zadziorność w połączeniu z — ironią losu.

„Życie ideologiczne” jest pierwszą opowieścią, w której Grynberg posługuje się jednym z najtrudniejszych środków literackich — humorem, sprawiając, że — jak to wyraził w liście do autora jeden z jego najlepszych czytelników — „momenty pełne grozy są tym bardziej wstrząsające, bo rozsiane wśród tego humoru”. „Życie ideologiczne” utrzymane jest na ogół w konwencji tradycyjnej prozy z wyjątkiem anachronizmu na stronie 72-iej, gdzie autor nie waha się wyprzedzić takich wydarzeń, jak dwudziesty zjazd, ósme plenum, Poznań i Budapeszt, pisząc

o ich wpływie na psychikę narodu³. To zdźbło „nowoczesności” ma czytelnikowi przypomnieć, że opowieść jest jednak tylko tekstem na papierze, pisany, jak każda opowieść — *ex post*.

Tyle mniej więcej „autor chciał przez to powiedzieć”. Raczej więcej, ale reszta niech będzie jego milczeniem.

Henryk GRYNBERG

3. Wśród błędów drukarskich jest na stronie 64 taki, który wypacza tekst. Zamiast „Brzydał z brzydula, brzydał z przystojną, przystojna z brzydalem”, powinno być: „Brzydał z brzydula, brzydał z przystojną, przystojny z brzydula”. Uwaga ta jest istotna o tyle, że Grynberg oszczędnie używa słów i unika frazeologii, która nie służy progresji.

Nauka o Polsce współczesnej

Najnowsza powieść Stalińskiego* podobnie jak jego cztery poprzednie stanowi rodzaj rekolekcji na temat Sprawy Polskiej, toczących się na tle i w sprawie rzeczywistości krajowej. Czas bieży i akcja *Ludzi w akwarium* toczy się już w epoce małej prosperity Gierka (w książce zwanego Oraczykiem: Staliński zachował i rozbudował swój kod nazwowy, wprowadzony w „Śledztwie”), ściśle: latem 1974 w Warszawie. Zgodnie z tytułem, celowo zdaje się nawiązującym do *Ludzi w hotelu*, książka nie ma właściwie głównego bohatera, ale od biedy za takiego uznać można 50-letniego Krzysztofa Glebowicza, ex-powstańca i przyzwoitego człowieka, zmienionego przez bieg rzeczy i tzw. realizm polityczny w dziennikarza-ścierkę; fragmenty jego wstępniaków (w rzeczywistości autentyczne cytaty z prasy warszawskiej) tworzą rodzaj *ostinato* towarzyszącego akcji z przynębiającą monotonią wody ciurkającej w popsutym klozecie.

Akcja skupia się wokół dwóch zbiegających się wątków: romansu Glebowicza — a ściślej tego, co bierze on naiwnie za romans — z redakcyjną maszynistką Izabellą, oraz przygotowań do zamachu-demonstracji, czynionych przez jego syna Janusza, neo-niepodległościowca marzącego o neo-Sarajewie. Wokół tych dwóch spraw zgromadzona została zdumiewająco bogata kolekcja

* Tomasz Staliński, *Ludzie w akwarium* (powieść), 147 str. Biblioteka Kultury, tom 263; Instytut Literacki, Paryż, 1976, cena F. 25,00.

postaci, reprezentujących najrozmaitsze postawy wobec polskiej rzeczywistości. Należy tu powiedzieć od razu, że książka jest znakomicie napisana: jej płaszczyzna zdarzeniowa jest dostatecznie bogata i interesująca, by zadośćuczynić wymaganiom stawianym normalnym powieściom do czytania, a równocześnie wystarczająco marginesowa, by wysunąć na plan pierwszy rozpisaną na wiele par oczu różnorodność możliwych punktów patrzenia na sytuację polską. Odnajdujemy tu Stalińskiego w jego szczytowej formie, przywodzącej na myśl dwa jego majstersztyki równocześnie: „Widziane z góry” (1967) i „Cienie w pieczarze” (1971). Autor ten przejdzie do historii polskiej literatury nie tyle jako inicjator nowego gatunku powieści socjologiczno-politycznej — można by się tu spierać o pierwszeństwo Kadena — co jako twórca specjalnej odmiany realizmu, którą można określić jako realizm dynamiczny. Dla Stalińskiego rzeczywistość jest nie tylko „tym, co jest”, lecz także tym, co ludzie na ten temat sądzą; świat nie jest dlań bryłą czy, co gorsza, deską, wobec której czuje się, jako piszący, w obowiązku „zając stanowisko”, lecz skomplikowanym systemem faktów i punktów widzenia, powiązanych wzajemnie. Metoda ta kryje w sobie dwa niebezpieczeństwa: z jednej strony wpadnięcia w wir kompletnego relatywizmu — czyli zaprzeczenia realizmu, z drugiej zaś ulegnięcia w pewnym momencie pokusie wystawienia głowy spod płachty i wyłożenia kawy na ławę — czyli rezygnacji z dynamiki. Sztukę przezwyciężenia tych niebezpieczeństw zademonstrował Staliński w *Ludziach w akwarium* w sposób mistrzowski.

Dobrze — można by zapytać — skoro jednak w książce nie ma ani absolutnego relatywizmu, ani wyraźnego stanowiska autora, to co w niej jest prócz anegdoty i *couleur locale*? Jaki zamiar, jaki przekaz??

Sądzę, że najistotniejszą rzeczą, jaką przekazuje ta książka jest pewna postawa umysłowa, *frame of mind*. Uderzający jest tu kontrast między ironicznością tytułu, a powagą i lojalnością autora wobec swych postaci. Z natury rzeczy akwarium jest naczyniem niepoważnym, ponieważ jest zarazem zamknięciem i imitacją wolności; nawet rekin, zamknięty w akwarium, staje się z lekka śmieszny lub żaloszny — kwestia temperamentu obserwatora — a cóż dopiero mówić o ludziach! Przemoc *degradowuje*, narzucając pokonanym podświadome poczucie mniejszej wartości, które objawia się zazwyczaj autoironią lub podejrzanym patosem. Obie te postawy są obficie reprezentowane w literaturze krajowej — o ile zahacza ona w ogóle o regiony interesujące Stalińskiego (nie mówię tu oczywiście o książkach przymilnie merdających ogonkiem, czyli od początku skłamanych). Postawa Stalińskiego jest odmienna: nie proponuje on niczego („to szantaż i zniewolenie mózgu, że trzeba zawsze coś proponować”, wykrzykuje jedna z postaci w książce), ale milcząco odmawia zgody na degradację. Ta powieść o warszawskim akwarium mogłaby nazywać się „Ludzi bezradni”, ale uwaga i pasja z jaką

autor traktuje swój temat neutralizują śmieszność czy żaloszność bezradności i przywracają godność ludziom, odzieranym z niej przez sytuację zniewolenia. Staliński jest wolny od kompleksu prowincji i narzuca czytelnikowi przekonanie, że sprawy, które opisuje są ważne; mówiąc nieco patetycznie utwierdza on suwerenność Sprawy Polskiej — i czyni to bez patosu. Powie ktoś, że jest to zasługą patriotyczną, lecz niekoniecznie literacką... odpowiem na to, że jeśli literatura jest w stanie w ogóle cokolwiek uczyć, to tylko ogromu możliwej złożoności spraw ludzkich, a tym samym ich powagi i suwerenności; Staliński jest polskim pisarzem i jest rzeczą naturalną, że oddaje sprawiedliwość najbardziej go obchodzącemu, polskiemu światu.

Już raz pisząc o Stalińskim zwróciłem uwagę na to, że sławetne powiedzenie Conrada o „wymierzaniu sprawiedliwości widzialnemu światu” jest błędnym tłumaczeniem angielskiego zwrotu *to render justice* — może błędem złożoności spraw ludzkich, a tym samym ich powagi i suwerenności; Staliński szuka *prawdy* o złożonym świecie ludzi i spraw, nie zaś jednolitej, zmonopolizowanej *śłuszności*; *śłuszność* w sytuacjach trudnych i niejasnych jest kategorią trudno uchwytną i niejasną — i autor *Ludzi w akwarium* podkreśla to, obdzielając jej elementami wszystkie swoje postaci i wszystkim dając okazję wyłożenia własnej racji *przekonywująco* (w tym sensie użyłem powyżej słowa „lojalność”). Oto racja — i celowo nie używam tu cudzysłowu — Krzysztofa Glebowicza, nieomal karykaturalnego skądinąd przedstawiciela perelowskiego *pétainizmu*:

„[...] czy on, Krzysztof, jest bez honoru?! Biedna, głupia Izabella niczego nie rozumie, nie wie, że to on właśnie, on jeden ma tutaj honor. Wyższy honor, zaparcia się siebie. W służbie dla społeczeństwa, dla ogółu, tego ogółu podatnego na demagogię a tak mało rozumiejącego z rzeczywistej grozy narodowej sytuacji.

Komuniści rozumieją, oni jedni rozumieją, są blisko źródła strachu, dlatego boją się naprawdę, we dnie i w nocy. [...] Jesteśmy w gruncie rzeczy pod inwazją rosyjską, choć dobrze utajoną, cały problem, całe zadanie polega na tym, aby utrzymać władzę w naszych, polskich rękach. Resztki władzy, pozór władzy, niech będzie — tak choćby jak robili Duńczycy czy Norwegowie podczas okupacji za czasów Hitlera. Na tym polega dzisiaj instynkt narodu, polityka polska, jej ukryty heroizm tkwi w zaparciu się siebie. A żeby ją robić, trzeba mówić językiem Historii, językiem umownym tej strony świata. Ktoś to musi robić, więc... [...]

A honor? Stary Józio (ojciec Krzysztofa) wojował kiedyś z Ludźmi z Londynu, którzy siedzieli tam na swoich wysokich stołcach i tytułach tak długo, aż zapomnieli, że zawdzięczają je Krajowi, i że skoro tego Kraju, takim, jakim go znali, już nie ma, to i oni już nie istnieją. Oni i ich honor. Gdy pierwszy sowiecki żołnierz postawił nogę na dawnej granicy w Baranowiczach, ich psim obowiązkiem [...] było zjechać tam samolotem

na niebezpieczne wiejskie lotnisko i powiedzieć: jesteśmy! Jesteśmy u siebie. Zamknięto by ich, rozstrzelano, wywieziono na Sybir?! Możliwe, ale byli jeszcze świata znani jako Polska, wywoaliby wstrząs. Od tego w końcu siedzieli w Londynie, za to im płacono, to był ich elementarny obowiązek — wystrzelić ostatnim nabojem. A oni co?! Wysłali na niemieckie kule bezbronych warszawskich kilkunastolatków [...].

Zastąpili ich inni Polacy, nowi, prostacy, prymitywni, ale mądrzy, bo wiedzą 'co teraz jest grane'. [...] przy całym swym prostactwie czy chamstwie przejęli wartość, polską wartość czyli polską rację stanu dnia dzisiejszego. Robią jak umieją, ale robią — nikt inny nie już nie robi, innej Polski nie ma. Chłopska, proletariacka ostrożność ponad wszystko — oto co w nich cenne, oto co wciela dziś i zawiera w sobie aktualną polskość, POLSKOŚĆ KTÓRA MA PRZETRWAĆ. A przetrwać może tylko tutaj, nie gdzie indziej, w dalekich nierealnych krajach. Tej polskości [...] po drugiej stronie służy także pewien człowiek, który zrozumiał, który pojął na czym polega relatywny światłocień słów, działań, rzeczy — ostatni polski Książę Kościółca”.

Staliński jest jak najdalszy od krzepienia siebie i innych słowem „polskość” bez dalszych kwalifikacji. Niebezpieczeństwem, wiszącym nad opisywanym przez niego światem jest przemiana narodu w materiał etnograficzny — i z tego niebezpieczeństwa zdaje sprawę inna postać książki:

Mówisz: nie ma chleba bez wolności. Ale wolności [...] nikt już u nas nie rozumie: wolności narodowej, politycznej. [...] ludzie są napaleni, kiedy nie mają mieszkań czy jest złe zaopatrzenie. Ale, powtarzam, nie kojarzą tego ze sprawami politycznymi, nie wiedzą w ogóle, że są sprawy polityczne — no bo skąd mogliby wiedzieć, jak ich nigdy nie widzieli. [...] na Wybrzeżu [...] wysuwano tylko postulaty gospodarcze, ekonomiczne, a nikomu się nie śniło o jakichś sprawach ideowych. [...] Marks mówił, że wolny jest ten, co posiada środki produkcji. Tu nikt, oprócz państwa, środków produkcji nie posiada, więc nikt wobec państwa nie jest wolny. To niewola socjalizmu, socjalizm niesie niewolę dla wszystkich. A czy wtedy na Wybrzeżu bąknął ktoś chociaż jedno złamane słówko przeciw socjalizmowi?

Wobec podwójnej utraty suwerenności, narodowej i ustrojowej, trudno mówić o optymizmie i Staliński nie jest optymistą w potocznym tego słowa znaczeniu; niemniej lektura jego książki napawa jakąś trudną do zdefiniowania ufnością. Obok słów o polskości, która ma przetrwać, za najważniejsze zdanie „ideowe” tej powieści uznałbym wypowiedziane w innym miejscu stwierdzenie: *Historia to nie zegar — nigdy nie jest za późno!* Pod innym piórem można by słowa te uznać za odmienne sformułowanie żalosnego „jakoś to będzie” i zlekceważyć je. Pod piórem Stalińskiego nabierają one znaczenia, gdyż formułują to co wyraża sam fakt istnienia i kontynuacji jego trzeźwego, skrupulatnego zapisu współczesności: przekonanie, że warto pisać „Dziennik roku zarazy”, bo zaraza nie jest wszechpotężna.

M. BRONSKI

Karuzela reform gospodarczych w krajach komunistycznych

System ekonomiczny wprowadzony przez komunistów, zwany systemem centralnie planowanym, jest według prawomyślnej ideologii marksistowskiej jedynym doskonałym systemem, stanowiącym panaceum na wszelkie bolączki składane na karb kapitalizmu. Niestety — z punktu widzenia czystości i wiarygodności oficjalnych doktryn komunistycznych — ten jedyny doskonały system ekonomiczny, oparty na dialektyce doktryny, okazał się w praktyce nieco mniej niż doskonały, co spowodowało całą serię reform, serię która trwa do dzisiaj i która zaczęła się od końca okresu stalinowskiego. Główny ekspert od wschodnio-europejskich problemów gospodarczych, a szczególnie od planowania i rozwoju przemysłu, Janusz G. Zieliński z uniwersytetu Glasgow, dodał niedawno do swojej pokaźnej liczby książek, wydanych w pięciu językach nową pracę, tym razem w języku polskim, na temat polskich reform gospodarczych¹.

Książka ta stanowi kwintesencję poprzedniej pracy naukowej Zielińskiego, jest zwięzła, esencjonalna, źródłowa i informatywna. Wiele z motywów wymienionych w niej rozwinął autor w swoim poprzednim, dużo obszerniejszym tomie pt. *Economic Reforms in Polish Industry*².

Zieliński jest czołowym polskim teoretykiem i posiada dar jasnego formułowania skomplikowanych problemów.

Zieliński podzielił swój temat na trzy rozdziały, analizujące osobno ekonomiczne przyczyny reform, typologię reform wraz z zagadnieniami przejścia do nowego modelu gospodarczego, oraz efektywność reform gospodarczych wraz z modnym do niedawna problemem konwergencji odmiennych systemów ekonomicznych.

Całość jest przejrzysto udokumentowana 23-ma tablicami, dobranymi, jak w poprzednich pracach Zielińskiego, z olbrzymią znajomością tematu i dotyczącej go literatury. Analiza ekonomiczna jest logiczna i druzgocząca jakiegokolwiek iluzje, które mogłyby jeszcze pozostać wśród ludzi, którzy chcą wierzyć wbrew faktom. Autor często daje porównanie z innymi krajami bloku komunistycznego, co stwarza perspektywę porównawczą dla omawianych przez niego polskich reform gospodarczych.

Ponieważ trudno jest streścić rozległy i lapidarnie potraktowany

1. Janusz G. Zieliński, *Polskie reformy gospodarcze*. Odnowa, Londyn, 1974, str. 134.

2. Oxford University Press, Londyn, 1973, str. 333.

wany temat, przedstawiam poniżej małe *potpourri* niektórych stwierdzeń Zielińskiego:

Rozczarowanie wynikami gospodarczymi w połączeniu z rosnącą świadomością, iż znaczna część wyrzeczeń społeczeństwa w okresie 1950-55 poszła na marne wskutek wadliwego planowania i błędów gospodarczych, przyczyniło się poważnie do wzmożenia ogólnego niezadowolenia ludności polskiej.

Na odcinku konsumpcji niezadowolające wyniki gospodarki planowej przejawiały się na początku lat pięćdziesiątych w spadku dochodów realnych ludności, a następnie, po chwilowej znacznej poprawie w okresie 1955-57, w utrzymywaniu się rozbieżności między ilością, jakością i różnorodnością dóbr konsumpcyjnych, wytwarzanych przez kraje bloku socjalistycznego i kraje zachodnie.

Dochód realny inteligencji w Polsce, w roku 1960 był wciąż o 25 % niższy niż w roku 1937. Całe zagadnienie „dogonienia” i „prześcignięcia” krajów kapitalistycznych wyraźnie znika z oficjalnych wypowiedzi przywódców komunistycznych od czasu upadku Chruszczowa, wobec spadającej stopy wzrostu w krajach Europy Wschodniej.

Nawet według oficjalnych wyjaśnień, w trakcie wzrostu gospodarczego wyłoniła się sprzeczność między istniejącym systemem zarządzania gospodarką narodową a potrzebami społeczeństw w Europie Wschodniej.

W okresie przed rokiem 1956 brakowało większości warunków umożliwiających efektywne planowanie.

Polityka agrarna przed rokiem 1956 stanowiła jedną z głównych przyczyn trudności gospodarczych tego okresu.

Polityka w stosunku do niesocjalistycznych sektorów gospodarczych spowodowała olbrzymie straty.

Scentralizowany system zarządzania gospodarką nie służył dobrze preferencjom samych planistów i nie przyczyniał się do maksymalizacji wyników gospodarczych.

Periodyzacja polskich reform ekonomicznych wykazuje ciągłość niespełnionych zamiarów i reform, które zawiodły. Powracającym refrenem, który Zieliński uwydatnił, jest antykonsumpcyjny charakter reform oraz tendencja do powrotnego centralizowania systemu planowania. W okresie Gierka uderza kompletny brak zrozumienia potrzeby systematycznego podejścia do reformy gospodarczej. Powtarza się znowu pewne wyświechtane postulaty reformy bez zadokumentowania sposobu, jakiego obecne kierownictwo partyjne zamierza użyć w celu wprowadzenia w życie zmian, których ich poprzednicy nie byli w stanie urzeczywistnić.

Polska wybrała drogę ewolucyjnych i częściowych zmian swego mechanizmu zarządzania. Fakt ten prowadzi Zielińskiego do następującej analizy:

„Stopniowe i częściowe podejście do reform gospodarczych cechuje brak ogólnego ich planu, który byłby zarazem dostatecznie szczegółowy, by kiero-

wać wprowadzaniem poszczególnych rozwiązań i zapewnić ich wzajemną zgodność. Stosowana metoda polega na atakowaniu zasadniczych słabości istniejącego systemu i zastępowaniu ich 'lepszymi' rozwiązaniami. Takie podejście jest zrozumiałe z uwagi na skomplikowany charakter zadań do spełnienia. Jednak jest ono niezadowolające z dwu względów:

- braku wzajemnej zgodności stosowanych środków, wynikającej z nieistnienia dostatecznie opracowanego całościowego planu działania;
- wzrastającej tendencji systemu do odrzucania, tzn. uczynienia nieefektywnymi wprowadzanych zmian, z powodu dłuższego okresu zwłoki między blokami zmian i częstokroć ich mniejszej wzajemnej zgodności i mniej dalekosiężnego charakteru” (str. 58-59).

Zieliński wykazuje i omawia kilka zasadniczych sprzeczności w polskim modelu gospodarczym, które uniemożliwiają temu modelowi uzyskanie wysokiej efektywności: (1) sprzeczności w ramach systemu bodźców; (2) sprzeczności między systemem bodźców a systemem finansowym; (3) sprzeczności między systemem bodźców na szczeblach przedsiębiorstwa i zjednoczenia; (4) sprzeczności między systemem bodźców i centralnym rozdzielnictwem maszyn i surowców.

Reformy które mają za zadanie usunięcie tych sprzeczności Zieliński dzieli na państwowo-parametryczne, w których Centralny Urząd Planowania jest nośnikiem informacji, i rynkowo-parametryczne, w których rynek dostarcza przedsiębiorstwom bodźców do podejmowania decyzji gospodarczych. Oba rodzaje reform istnieją w Europie Wschodniej. Zieliński sądzi, że jeśli w końcu przeważą model rynkowy czy też państwowo-parametryczny, to nie będzie to wyłącznie ze względu na ich zalety i wady ekonomiczne, lecz równie ważne będą przy tym ich implikacje polityczne i społeczne.

Zielińska podkreśla, że potrzeba większej efektywności ekonomicznej jest tak wielka w Europie Wschodniej, że reformy gospodarcze same przez się nie są już oznaką liberalizacji kraju który je podejmuje. Jednocześnie zrodziło się już dawno rozczarowanie z powodu niepowodzenia reform. Społeczeństwo zdało sobie wreszcie sprawę z tego, że biurokracja socjalistyczna nie doprowadza — wbrew optymistycznym przepowiedniom — szybko do dobrobytu. Można wysunąć tezę, że biurokracja ta raczej przeszkadza w naturalnym osiągnięciu dobrobytu pod wpływem intensywnych wysiłków w kierunku wzrostu gospodarczego.

W swej ocenie efektywności polskich reform gospodarczych Zieliński, używając wskaźników ilościowych do roku 1971, dochodzi do wniosku, że reformy te były nieskuteczne. Wyniki planów wykazały wysoki stopień błędów w planowaniu, a wewnętrzna zgodność planu była co najmniej niedostateczna. Wprowadzono ustawiczne zmiany w mechanizmie zarządzania gospodarką, i nawet czynniki oficjalne krytykowały ten mechanizm.

Analizując przyczyny niepowodzenia polskich reform gospodarczych Zieliński wymienia następujące ich grupy: (1) sprzeczności wynikające z jednoczesnego posługiwania się zarządzeniami administracyjnymi i parametrami ekonomicznymi; (2) zachowa-

nie podstawowych cech tradycyjnego, scentralizowanego systemu gospodarczego, co wykluczało zmiany w zachowaniu się przedsiębiorstw i co prowadzi m.in. do zniekształceń informacji, do specjalnych strategii w rozłożeniu strumienia produkcji w czasie, w sposób dogodny dla przedsiębiorstwa, do zniekształcenia asortymentu produkcji, i do unikania ryzyka i innowacji; (3) jednocześnie stosowanie rocznych zadań planowych i długoterminowych norm finansowych, co jest nie do pogodzenia; (4) wewnętrzna sprzeczność jednoczesnej decentralizacji na szczeblu przedsiębiorstwa i zjednoczenia; (5) wewnętrzna sprzeczność napiętych planów, która uniemożliwia dokonywanie efektywnych zmian w mechanizmie zarządzania, co wyraża się m.in. w pogarszającej się jakości towarów i w ukrytych zwyczajach cen.

Zieliński poświęcił mało miejsca najnowszym reformom z okresu Gierka, częściowo może dlatego, że sukcesy tego okresu były w dużej mierze wynikiem przyczyn zewnętrznych, w szczególności zaś pomocy z Zachodu. Wysychanie źródeł tej pomocy podnosi wątpliwości co do skuteczności dotychczasowych wewnętrznych reform, ale pełna ocena tego będzie możliwa dopiero za kilka lat. Obecnie można jedynie stwierdzić, że jeszcze jedna runda reform gospodarczych ma ograniczony charakter, i że efektywność jej pozostaje pod dużym znakiem zapytania.

Bogdan MIECZKOWSKI

Muza i kamena

Po długim dniu przedzierania się przez gąszcz dokumentów, cytatów, przypisów i odnośników szuka się wieczorem lektury, przy której można zapomnieć o kłopotach, o czekającej następnego ranka pracy, o spotkaniach, dyskusjach, sporach, po prostu przy której można odpocząć.

Dwa są rodzaje książek, które na to pozwalają. Można sięgnąć do klasyków i po raz nie wiadomo który poddać się urokowi wspaniałego języka i bezbłędnej budowy literackiego dzieła, można także rozejrzeć się za literaturą najdawniejszych wieków i zagłębić się w starożytności, z całkowitym oderwaniem się od chwili obecnej.

Ignacy Wieniewski, wybitny tłumacz tej literatury, posiadający na swym koncie tak poważne pozycje jak *Iliadę* Homera i *Eneidę* Wergiliusza, znowu dał nam do ręki uroczy tomik przekładów pod tytułem *Muza i kamena*. *Muza* obejmuje dzieła greckie z Homerem, Sofoną, Sofoklesem, Tucydylesem, Platonem i Lukianem z Samosaty, *Kamena* — dzieła rzymskie z Cyceronem, Wergiliuszem, Horacjuszem, Owidiuszem i Seneką.

* Ignacy Wieniewski, *Muza i kamena*, z przedmową Stanisława Balińskiego, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1976, str. 158, ilustracje.

Fachowy krytyk musiałby znać grekę i łacinę i to znać doskonale, musiałby sięgnąć do oryginałów, porównać je z przekładem i wtedy dopiero dać ocenę wartości cytowanego tomiku. Greki nigdy się nie uczyłem, łacinę prawie zupełnie zapomniałem, mogę więc jedynie wypowiedzieć opinię zwyczajnego czytelnika.

Cóż za piękna, przyjemna, uspakajająca lektura, jaka różnorodność tematyki, stylu, sposobu wyrażania się i przedstawiania opisywanych spraw. Wieniewski, mimo że zgodnie z własnymi założeniami, trzyma się wiernie oryginału, potrafi z pełną swobodą operować naszym językiem.

Jeżeli chodzi o treść, to tłumacz trzymał się zasadniczo chronologii z jednym tylko wyjątkiem: *Bój żabiomyśi* umieścił zaraz po *Iliadzie*, choć powstał on kilka wieków później. Stało się tak, bo *Bój* jest parodią eposu Homera.

Interesujący jest *Dodatek*, który stanowi ostatnią część książki. Znalazły się w nim dwa wiersze Wieniewskiego, pisane tak, jakby były tłumaczeniem dawnych tekstów, i głośny testament Stanisława Wyspiańskiego *Niech nikt nad grobem mi nie płacze*. Dając ten ostatni utwór, Wieniewski chciał wskazać jak wielki wpływ na Wyspiańskiego miał Horacjusz — w tym konkretnym wypadku jego oda *Do Mecenas*. Wpływ ten uwidoczni się i w formie i w treści.

Książkę, wydaną bardzo starannie, zdobią piękne ilustracje Danuty Laskowskiej.

Józef GARLIŃSKI

Klasycy po hiszpańsku

W ostatnich latach przekłady z literatury hiszpańskiej liczbą swoją ustępowały przekładom z literatury ibero-amerykańskich i zasadniczo ograniczały się do pozycji beletrystycznych. Tym bardziej więc na zanotowanie zasługują polskie wersje klasyków.

Bardzo ambitnym, pracowitym i w dużej mierze udanym przedsięwzięciem, przekładem „Pieśni o Cydzie” zakończyła zasłużoną działalność Anna Ludwika Czerna, na łożu śmierci korygując i usprawniając swoją pracę¹.

„Pieśń o Cydzie” to najstarszy hiszpański poemat epicki pochodzący z połowy dwunastego wieku. Opiewa orężne czyny Ruy Diaza de Bivar zwanego przez Maurów Cydem. Ten historyczny rycerz awanturnik urósł do legendarnego bohatera, butnego szlachetki ale najwierniejszego wasala i pogromcy Maurów. Epos jest realistyczny, niesyntemamentalny, bez wielkich uroków poetyckich ale napełniony duchem patriotycznym. Jego atrakcją są prostota i wielka ludzkość. Zdaje się być zasadniczo wezwaniem

1. *Pieśń o Cydzie*. Przełożyła Anna Ludwika Czerna. Posłowiem opatrzył Zygmunt Czerny. Opracowanie graficzne Józef Wilkoń. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1970.

do walki z afrykańskim okupantem ziem hiszpańskich i sugerować taką krucjatę pod przywództwem Kastylii.

Wersyfikacja utworu jest nieregularna, wiersze o różnej, do 22 zgłosek dochodzącej, długości, mają średniówkę a na końcu asonans. Tłumaczka naśladowując oryginał usiłowała zachować asonans a więc te same dwie samogłoski w końcowych wyrazach:

*I pędem rusza grabia, nie zwleka ani chwili,
Ale głowę odwraca i czarne łęki żywi,
Jedzie trwożny, że pan nasz jeszcze się rozmyśli,
Lecz tego doskonały rycerz nie uczyni,
Za nic w świecie prawości nigdy nie uchybi.
Odjechał grabia. Zwołał Bivaru pan wszystkich
Swych wojowników w drogę. Ci jadą szczęśliwi,
Że tyle dobra mają na rozkosze i zbytki
I tacy są bogaci, jak nigdy nie byli.*

Przekład czyta się dobrze. Ponieważ obejmuje całość, daje dobre wyobrażenie o walorach oryginału. Będzie on też z pewnością podstawą do dalszych, bardziej doskonałych wersji. Bo drobnych usterek trochę się znajdzie. Nie ma powodu by np. pisać „Calatayuth” skoro wszyscy znają miasto jako Calatayud i tak jest we współczesnych edycjach hiszpańskich. Nie istnieje „San Jago”. Trzeba było zostawić wersję oryginału albo dać nowsze „Santiago”. Sądzę, że hiszpańskie „doña” można śmiało spolszczyć i pisać „donia”, bo niezręcznie wypadły te w liczbie mnogiej „doñe”. Mam także zastrzeżenia do nadużywania słów mocnych: „wojska sukinsyna” czy „owych psów” szczególnie jeżeli nie mają one pokrycia w oryginale. Tłumaczka najwidoczniej „watowała”, aby uzyskać asonansy. Ale cena to zbyt wysoka.

Książka jest pięknie i barwnie ilustrowana, okazała się prezentuje i warta jest pokazania obcym.

Zapewne opróżniając pośpiesznie szuflady przed nadejściem nieubłaganego końca, Cervantes wydał tom złożony z ośmiu dramatów i ośmiu intermedii² nigdy przedtem nie wystawionych. Był rok 1615. Śmierć przyszła w 1616.

Teatr pasjonował go całe życie. Po powrocie z pięcioletniej niewoli u korsarzy algierskich osiadł w Madrycie i rzuciwszy się w wir prac literackich wziął się także do pisania sztuk. Mając w pamięci oglądane w dzieciństwie przedstawienie oraz lekturę epigonów dramatu klasycznego o wielkiej powadze moralnej, pisał wedle tego wzorca bez większego powodzenia aczkolwiek sztuki jego, jak sam wyznaje, nie zostały obrzucone ogórkami ani żadnymi innymi przedmiotami. Ale z wymienionych sztuk (20-30) znamy zaledwie kilka a z nich „Numancja” doczekała się sławy będąc artystyczną apoteozą kolektywnej akcji, bohaterskiej obrony celtyberyjskiego miasta przed Rzymianami.

2. Cervantes de Saavedra, Miguel, *Intermedia*. Przełożyła Zofia Szleyen. Ilustrował Józef Wilkoń. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1968.

Do drugiego okresu należą sztuki wydane przez Cervantesa w 1615. Tymczasem wszechmocny Lope de Vega zawładnął teatrem hiszpańskim i swym nowym stylem rozgromił wszystkich rywali. Cervantes próbował walczyć z nowym prądem, przegrał i sam się w końcu zgodził na innowacje.

Będąc znośnym autorem sztuk, jest bezapelacyjnie mistrzem intermedii. Te krótkie dramatyczne obrazki pełne szczegółów ze współczesnego mu życia mają kapitalnie nakreślone postacie. Choć przeszły mimo uwagi ludzi epoki, Cervantes obdarzył je najbardziej ludzkim humorem i piękną formą wierszowaną (2) względnie prozaiczną (6). Te jednoaktówki świadczące o wnikliwej obserwacji starego Cervantesa, dziś stanowią żywy teatr i są solidną podstawą jego sławy jako dramaturga.

Aczkolwiek „Teatr cudów”, „Pieczarę Salamanki” i „Czujnego strażnika” wystawiano już na polskich scenach, to dopiero teraz otrzymaliśmy intermedia drukiem. Mając komplet tekstów nic nie stoi na przeszkodzie, byśmy poznali Cervantesa dramaturga. Należy się spodziewać, że jednoaktówki te podbiją sobie polskiego widza. Oby także na emigracji.

Całość przełożyła Zofia Szleyen na ogół doskonale aczkolwiek minimalne poprawki wydają mi się na miejscu. Nie rozumiem np. dlaczego nie używa ona istniejącego polskiego słowa „gubernator” a pisze i odmienia „gubernadora”. Ma też „alkald” choć utarł się już „Alkad z Zalamei”. Mówi też o „autorach komedii”, choć w innym miejscu wie, że „autor” w czasach Cervantesa znacząco „dyrektor” teatru.

Florian SMIEJA

Manipulacja

Ireneusz IREDYŃSKI: *Manipulacja*. Warszawa, 1975, Czytelnik, str. 103, nakład 30.290 egzemplarzy.

Nowa powieść Iredyńskiego (drukowana poprzednio w *Literaturze*) oparta jest na zasadniczo dobrym pomysle: bohater jej, artysta-rzeźbiarz (?) zaproszony jest na pół roku do Zurychu przez tamtejszą galerię. Leci przeto do Szwajcarii, nie znając żadnego języka obcego. Jest zdany na pomoc przygodnego znajomego, syna Polaka i Szwajcarki, bogatego jedynaka wyżywającego się w bezsensownej działalności szajki terrorystów, których podrzuca bohaterowi powieści do jego luksusowego (bo jakże by inaczej) mieszkania. Wynikają stąd przykre powikłania i wpadka rodaka-artysty, dająca mu jednak możliwość opisaną przygodę w zaciszu i dobrych warunkach szwajcarskiego więzienia.

Dawni mistrzowie omijali zakazy kościelne, malując frywolne sceny w piekle, czyśćcu, kuszeniach świętych i starannie przemyślanych uosobieniach grzechów głównych. Iredyński demonstrowa podobną technikę: tu

i ówdzie daje nam do zrozumienia że nie pochwała cynicznego stosunku rzeźbiarza do produkowanych przez niego „wyróbów” przedstawiających zdeformowane nogi. Drwi także w żywe oczy ze szwajcarskich krytyków dopatrujących się głębszego znaczenia w wulgarniej awanturze na wernisażu, w czasie której Stefan Pękała, bohater powieści, obrzuca elegancką publiczność niemytymi jelitami bydlęcymi, co znakomicie ułatwia zbyt jego „arcydzieł” i podwyższa ich ceny. Powieść, pisana zajmująco i dowcipnie, podsuwa jednak raczej młodzieży zgoła inne myśli. Że oto można, cynicznie nabierając publikę i szwajcarskich „chlebobawców”, żyć wygodnie, rozbijając się nowo zakupionym autem, zapijać się i obżerać do woli, mając pod bokiem selekcję chętnych do łózka dziewcząt. Finał powieści wygląda na zreżne doczepienie właściwego morału, ale — nie traćmy nadziei — sprytny rodak potrafi się wykaraskać z rąk policji szwajcarskiej!

Ta prymitywna szmira — bo, niestety, tak trzeba ją zakwalifikować — napisana jest dobrze, ze świetną znajomością młodzieżowego *slang'u*, pracowicie wzbogacanego odkryciami językowymi Marka Nowakowskiego, Mariana Pilota a ostatnio jeszcze jednego Marka — Harnego. Obawiać się należy, że i oni znajdują kontynuatorów — a przepaść między językiem literackim a mową potoczną jeszcze się pogłębi. Trzydzieści tysięcy egzemplarzy „Manipulacji” odegra tu swoją rolę.

Dalszą pretensją do autora jest sprawa lekceważącego traktowania wszystkiego co szwajcarskie. Bohater powieści, nie obdarzony przez autora przesadną inteligencją, komunikujący się z otoczeniem na miגי, skwapliwie korzystający z plusów szwajcarskiego standardu życia, kpi ze Szwajcarów przy każdej okazji — że „straszni mieszczanie”, naiwniacy, obstawieni policją itp. Takie ujęcie tłumaczyć można tylko bardzo powierzchowną znajomością Szwajcarii. W sumie — książka poniżej poziomu możliwości pisarskich Iredyńskiego.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Nadesłane nowości wydawnicze

GŁOGOWSKI (Barbara i Frank). *Historia Polski w perspektywie kanadyjskiej 1914-1975*. Tom II. (Dla starszych klas szkół polonijnych w Kanadzie). Str. 165 i 3 nlb. (Nakładem Komitetu Oświaty Fundacji Władysława Reymonta, Toronto, 1975).

Artyleria konna w kampanii wrześniowej 1939 roku. Książka pamiątkowa. Opracowanie i redakcja płk dypl. J. Boguski. Str. 320. (Wyd. nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1976).

Rzeczpospolita Podchorążacka. Nr 11, Marzec 1976 r. Str. 48 i 1 nlb. (vartypier). (Wyd. Koło Szkoły Podchorążych Piechoty, Londyn).

Abencerraje i piękna Haryfa. Przekładził Florian Śmieja. Str. 35 i 1 nlb. (Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1975; cena zł 10).

STACHIEWICZ (Wanda M.). *Kopernik i jego świat*. Szkic biograficzny. Str. 57 i 3 nlb. z ilustracjami w tekście. (Wyd. Polski Instytut Naukowy w Ameryce, Oddział Kanadyjski, Montreal, 1973).

WIENIEWSKI (Ignacy). *Muza i Kamena*. Wybór przekładów z literatury greckiej i rzymskiej. Przedmowa Stanisława Balińskiego, okładka i rysunki Danuty Laskowskiej. Str. 158 i 2 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1976).

Pamiętnik Literacki. Str. 190 i 2 nlb. Okładkę projektował Tadeusz Terlecki. (Wydawca Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, Londyn, 1976).

BUKIET (Albert). *Materiały do bibliografii polonica Ameryki Łacińskiej*. Str. 246 i 1 nlb. (vartypier). (Nakładem Autora, Buenos Aires, 1975).

DUSZYŃSKA (J.) i WITWICKI (A.). *Historia Polski*. Tom I. (Elementarna nauka dla szkół powszechnych w Kanadzie). Str. 142 i 2 nlb. (Nakładem Komitetu Oświaty Fundacji Władysława Reymonta, Toronto, 1975).

The Great Powers and the Polish Question 1941-1945. A Documentary Study in Cold War Origins edited by Antony Polonsky. Str. 282 i 4 nlb. (Wyd. London School of Economics and Political Science, Londyn, maj 1976, cena £. 5.00).

Sociology and Jurisprudence of Leon Petrażycki. Opracowanie Jana Góreckiego. Str. 144 i 4 nlb. (Wyd. University of Illinois, Urbana-Chicago-London, 1975, cena \$ 6,95).

HACKEL (Sergei). *The Poet and the Revolution*. Aleksander Blok's „The Twelve”. Str. 254 i 2 nlb. (Wyd. Oxford and The Clarendon Press, London, 1975; cena £. 10.50 net).

BOROWSKI (Tadeusz). *This Way for the Gas, Ladies and Gentlemen*. Wybór i tłumaczenie Barbara Vedder. Przedmowa Jana Kotta w tłumaczeniu Michaela Kandel'a. Str. 180 i 2 nlb. (Wyd. Penguin Books Inc., New York-Baltimore, 1976, cena \$ 2,95).

SZNYCER (Bernard W.). *Chekhov The Gull*. A new translation from the russian. A Linguistic approach to the translation of dramatic style. Str. 141 i 3 nlb. (Wyd. Poets' and Painters' Press, London, 1974).

BUKOVSKY (Vladimir) and GLUZMAN (Semyon, Dr.). *A Manual on Psychiatry for Dissidents*.

(Nadbitka z *Survey*, Winter/Spring 1975, str. 176-198, London, 1976).

RÓŻEWICZ (Tadeusz). *Selected Poems*. Tłumaczenie Adama Czerniawskiego. Str. 140 i 4 nlb. (Wyd. Penguin Books Ltd., Harmondsworth, Mddx., 1976).

The Alfred Jurzykowski Foundation Awards for 1975. (fotokopia). Tekst opracowany przez Halinę Janiszewską. Str. 23 i 1 nlb. (Wyd. Sigma Press, New York, N.Y., 1975, cena 0.90 p.; \$ 3,95).

Ukrainians in North America. A Biographical Directory of Noteworthy Men and Women of Ukrainian Origin in the United States and Canada. Redakcja Dmytro M. Shtohryn. Str. 424. (Wyd. Association for the Advancement of Ukrainian Studies, Champaign, Ill., 1975).

SUBOTIN (Stojan). *Ukraińska Književnost*. (Nadbitka z Księgi 7 *Povijest Svjetske Književnosti*, Knjiga 7, str. 427-470; Wyd. Liber-Mladost, Beograd).

DROZDZYŃSKI (Alexander). *Jiddische Witze und Schmonzes*. Ilustracje Szymona Kobylńskiego. Str. 240. (Wyd. Droste Verlag. Düsseldorf, 1976; cena MD 19,80).

KUNSTMANN (Heinrich). *Über Witold Gombrowicz's Iwona, księżniczka Burgunda*. (Nadbitka z *Die Welt der Slaven*, Halbjahresschrift für Slavistik, Jahrgang XVIII, str. 236-246, wyd. Böhlau Verlag, Köln-Wien, 1973).

KOPIELEV (Lev). *Chranit' vieczno*. Str. 729 i 5 nlb. (Wyd. Ardis, Ann Arbor, 1975).

DUDKO (Dmitrij, Swiaszcz.). *O naszem upowanii*. Biesiedy, Moskwa, 1974. Str. 271 i 1 nlb., papier bible. (Wyd. YMCA-Press, Paryż, 1975).

SOLŻENICYN (A.). *Archipelag GULag. 1918-1956* — Opyt chudożestwiennogo issliedowanija, Tom 3, cz. V-VI-VII. Str. 581 i 11 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż, 1976).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

15-3-76

Zmarł w Warszawie, w wieku 85 lat, Stanisław Sheybal, profesor Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, b. profesor Liceum Krzemienieckiego i b. radny m. Krzemieńca.

19-3-76

W Rabce zmarł, w wieku lat 85, Leon Orłowski, b. minister RP na Węgrzech.

28-3-76

W Krakowie zmarł Władysław Jarema, aktor, reżyser, dyrektor teatrów lalkowych. W czasie wojny prowadził teatr lalek w Grodnie i w Nowogródku (1940-41). W 1945 roku założył w Krakowie teatr „Grotteska”.

7-4-76

W Warszawie zmarł, w wieku 92 lat, Józef Grzeczmarowski, długoletni działacz polskiego ruchu robotniczego.

8-4-76

Władze sowieckie ostatecznie pozwoliły wyjechać z ZSSR rodzinie Wiktora Niekrasowa. Jak wiadomo Wiktor Niekrasow mieszka w Paryżu.

10-4-76

Konstytucja PRL ukazała się nakładem Książki i Wiedzy. Wydawnictwo to przygotowuje również wydanie bibliofilskie. ■ Flota PLO liczy 179 statków, których tonaż wynosi milion ton nośności.

15-4-76

Wybitny polski anglista, prof. Stanisław Helsztyński, obchodził 85-tą rocznicę urodzin; w dorobku ma on ponad 100 publikacji. ■ Rada Państwa PRL przyznała złote odznaki orderu Zasługi PRL malarzowi Markowi Żuławskiemu i pisarzowi Stefanowi Themersonowi za „wkład w rozwój stosunków polsko-brytyjskich”.

20-4-76

Polskie Wydawnictwo Muzyczne przygotowuje 10-ciotomową Encyklopedię Muzyki Światowej. Siedem tomów obejmie 10.000 haseł biograficznych, tomy 8-10 zawierają hasła rzeczowe. Przy redagowaniu encyklopedii pracuje 120-tu muzykologów polskich. Pierwszy tom ukaze się w bież. roku. ■ Z okazji 60-tej rocznicy urodzin Wojciech Żukrowski otrzymał order Budowniczego Polski Ludowej. Łączny nakład jego książek wynosi 3.113.000 egzemplarzy.

22-4-76

W Warszawie zmarł, w wieku 81 lat, Stefan Michalski, dziennikarz, znany przed wojną współpracownik m.in. *Expresu Porannego* i *Kuriera Czerwonego*.

1-5-76

Doroczne nagrody PEN-Clubu za wybitne osiągnięcia przekładowe otrzymały: Kazimiera Jezewska za nowy przekład poetycki „Illiady” Homera i

Wanda Kragen za całokształt prac przekładowych z literatury niemieckiej. ■ W Krakowie zmarła, w wieku 91 lat, Aniela Gruszecka-Nitschowa, pisarka, której głównym dziełem była pentalogia „Powieść o Kronice Galla”. Wydawnictwo Literackie w Krakowie wydaje jej ostatnią pracę o dziele jej męża, wybitnego językoznawcy prof. Kazimierza Nitscha, pt. „Całe życie w przyrodzie mowy ojczystej”. ■ W PRL funkcjonuje 22 tysiące tak-sówek. Dla odnowienia taboru co 10 lat potrzeba rocznie 3 tysiące nowych wozów. Przynależność za rok ubiegły wyniosł 200.

5-5-76

Z uwagi na działania ochronne sanitarno-weterynaryjne władze NRD zamknęły czasowo osiem turystycznych przejść granicznych pomiędzy PRL i NRD. Są to: Swinoujście, Lubieszyn, Szczecin-Gumieńce, Kołbaskowo, Krajnik, Stubice, Swiecko i Gubin. ■ Odbył się pierwszy zjazd Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, który powstał z połączenia Związku Młodzieży Socjalistycznej, Związku Socjalistycznej Młodzieży Wiejskiej i Socjalistycznego Związku Młodzieży Wojskowej. Przewodniczącym został Krzysztof Trębaczewicz. ■ Papież mianował ks. Edwarda Kisielewskiego biskupem tytularnym Limaty, czyniąc go jednocześnie administratorem apostolskim *Ad nutum Sancte Sedis* Archidiecezji w Białymstoku. Ks. E. Kisielewski od 15. 1. br. był wikariuszem kapitulnym tej Archidiecezji po mianowaniu Metropolity wrocławskim dotychczasowego administratora apostolskiego, Ks. Arcybiskupa Gulbinowicza.

14-5-76

Ostatnio miał miejsce strajk w przemyśle włókienniczym w Łodzi. Robotnicy zamiast domagać się przybycia władz do Łodzi, zgodzili się na wysłanie delegacji do Warszawy, która nic nie załatwiła, natomiast kilkadziesiąt osób, uważanych za przywódców strajku, natychmiast wyrzucono z pracy. Kilku z usuniętych robotników — z inicjatywy i przy pomocy łódzkich adwokatów — zaskarżyło tę decyzję do sądu i uzyskało odszkodowanie w wysokości kilkudziesięciu tysięcy złotych każdy. ■ Zapowiedziane są w kraju podwyżki cen, które mają w pierwszym rzędzie objąć: mięso, cukier, mąkę i kartofle. Podwyżki te zostały już dawno przez władze przygotowane, jednak na opóźnienie ogłoszenia ich wpływała obawa wzrostu niezadowolonych ludności. Ostatecznie podwyżki rozłożono na 2 raty: pierwsza podwyżka ma nastąpić 15 czerwca, a druga 15 sierpnia br. Władze wytypowały podobno 120 zakładów pracy, które mają otrzymać jakąś rekompensatę. Natomiast już wprowadzono bardzo znaczne podwyżki płac w wojsku i w milicji. Te posunięcia wywołują ogromne podrażnienie w społeczeństwie. ■ Naczelny redaktor miesięcznika *Więź*, Tadeusz Mazowiecki, nie otrzymał paszportu na wyjazd za granicę, tak samo Jacek Woźniakowski, dyrektor wydawnictwa *Znak*, natomiast Stefan Kisielewski — po kilku tygodniach przymusowego milczenia znów publikuje swoje felietony w *Tygodniku Powszechnym*.

ZACHÓD — EMIGRACJA

1-4-76

Na uniwersytecie Paris I dr Eugeniusz Zaleski prowadzi seminarium „La planification des pays socialistes”, a na uniwersytecie Paris II dr Jerzy Mond prowadzi seminarium „Histoire, droit et politique de l'information dans les pays socialistes”.

12-4-76

W Sztokholmie zmarł Tadeusz Norwid-Nowacki, znany dziennikarz i publicysta.

15-4-76

Zmarł w Wiedniu, zamieszkały stale w Londynie, płk dypl. Jan Leśniak.

18-4-76

Uniwersytet w Kolonii (NRF) nadał tytuł doktora *honoris causa* Karolowi Dedeciusowi, tłumaczowi z polskiego na niemiecki. W ciągu 17-tu lat wydał on 48 książek będących antologiami poezji i prozy polskiej.

22-4-76

Francuska Academie Goncourt jednogłośnie uchwaliła wybranie na członka korespondenta sowieckiego pisarza Walentina Katajewa. Academie Goncourt projektuje zorganizowanie kolegalnej wycieczki do ZSSR. ■ W Brukseli miały miejsce dwie wystawy Jana Lebensteina: w Galerie Présence — „La République des Animaux” i w Galerie Montjoie — „L'Ile des Morts”.

23-4-76

W Galerie Royale w Paryżu miała miejsce wystawa malarza ukraińskiego Lubo Hutsaliuka.

24-4-76

Narodowy Teatr szwedzki „Dramaten” wystawił sztukę Tadeusza Różewicza „Vitt Aktenskap” („Białe małżeństwo”). Przedstawienie cieszy się dużym powodzeniem.

25-4-76

Związek Polskich Towarzystw Kobietych we Francji obchodził 50-lecie swego założenia.

28-4-76

W Londynie zmarł dr Lucjan Turkowski, profesor etnologii i etnografii Wydziału Humanistycznego Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie.

3-5-76

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbyło się doroczne zebranie Towarzystwa Historyczno-Literackiego, na którym złożono sprawozdanie z działalności Towarzystwa za ubiegły rok; płk Marian Czarnecki wygłosił odczyt „Niedoceniony polski wkład do wojny — kryptologia”.

8-5-76

W Szwajcarii zmarł, w wieku lat 82, Mark Lwowicz Słonin, pisarz i krytyk literacki, współpracownik tygodnika *Russkaja Mysl* w Paryżu i Radio Liberty, b. profesor literatury rosyjskiej Sara Laurens College w Ameryce, b. redaktor pisma *Wolia Rossiji*, które ukazywało się w Paryżu w latach 1922-1932.

13-5-76

W paryskim domu wydawniczym Denoël ukazały się dwie książki W. Gombrowicza: *Journal* (1957-1960). Przekład C. Jeżewski i D. Autrand oraz *Trans-Atlantyk* w przekładzie K. A. Jeleńskiego i G. Serreau.

14-5-76

W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się odczyt prof. Wojciecha Skalmowskiego z uniwersytetu w Louvain w Belgii, pt. Wizja George'a Orwella. ■ Paryski *Le Monde* z 14 maja br. podając charakterystykę Josepha Grimonda, który został tymczasowym kierownikiem angielskiej partii Liberalnej pisze: „Jego więzy ze Szkocją są niezmiernie ścisłe, ale nie obawia się on — przy okazji — krytykować Szkotów, których określił w swoim czasie jako naród politycznie najgłupszy — może z wyjątkiem Polaków”. ■ W londyńskim klubie *Kultury* prof. J. Goldberg z Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie wygłosił odczyt pt. „Między Związkiem Sowieckim, PRL a emigracją”. Odczyt spowodował bardzo ożywioną dyskusję.

21-5-76

Prof. Jan Błoński z uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie wygłosił odczyt w Centre du Dialogue w Paryżu, pt. „Witkacy wśród katastrofistów”.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

3. 4. br. w Nowym Jorku odbyło się doroczne walne zebranie Polskiego Towarzystwa Prawniczego w USA. Po sprawozdaniach i dyskusji wybrano nowe władze Towarzystwa: prezesem został ponownie dr Jan Morelewski. ■ 15. 3. br. staraniem Fundacji Kościuszkowskiej prof. prawa St. Walto wygłosił prelekcję na uniwersytecie Columbia na temat ostatniego procesu sądowego, znoszącego przed 200-tu laty torturowanie skazanych w Polsce. Byłoby bardziej wskazane i bardziej aktualne by Fundacja Kościuszkowska zainaugurowała inny odczyt na temat, jak wygląda obecnie sprawa tortur w Polsce. ■ Polish Heritage Society w Filadelfii przyznała nagrodę prawną im. Stefana Sokołowskiego wydawnictwu *Nowego Dziennika*. ■ W ramach obchodów 200-lecia Stanów Zjednoczonych została otwarta w Bostonie Biblioteka Polska, która jest własnością Koła S.P.K. nr 19. Biblioteka liczy 1.250 tomów. ■ Polsko-Amerykańskie Towarzystwo Lekarskie „Medicus” nadało *Medicus Gold Medal of the Millenium of Poland* prof. Janowi J. Danekowi za całokształt pracy naukowej i zawodowej oraz A. Mazewskiemu, prezesowi Kongresu Polonii Amerykańskiej. ■ University of Michigan Slavic Papers wydaje 400-stronicowy tom wierszy Czesława Miłosza *w języku polskim*, jedynie przedmowa jest w języku angielskim. Jednocześnie znane wydawnictwo „L'Age de l'Homme” w Lozannie przygotowuje tom esejów Miłosza w języku francuskim.

KRONIKA AUSTRALIJSKA

Język polski został uznany przez władze szkolne w Tasmanii, jako jeden z przedmiotów, z których można zdawać na maturze. Kurs języka polskiego prowadzi p. Roman Wołoszynowicz. ■ 22. 3. br. w Sydney występował zespół sowiecki „Syberyjscy Kozacy”. W związku z tym Ukraińcy, a przede wszystkim Zw. Ukrainek im. O. Basarab, zorganizowali oryginalną akcję. Mianowicie przed teatrem, w którym występował wspomniany zespół, ustawiono auto ciężarowe, otoczone drutem kolczastym, na którym znajdowała się grupa więźniów żeńskiego obozu pod dozorem wartownika KGB. Nad autem był napis: „Gułag 17”. Przed teatrem znajdowały się transparenty z napisami: „Wolność dla politycznych więźniów ukraińskich” i rozdawano odpowiednie

ulotki. Na zakończenie występów „Syberyjskich Kozaków” znów na ciężarowym aucie pokazano pokój w sowieckiej klinice psychiatrycznej, w którym lekarz KGB w asyście wartownika i siostry pielęgniarki KGB „leczył” zdrowego więźnia. Akcja ta cieszyła się dużym powodzeniem i odbiła się odpowiednio na frekwencji.

KRONIKA KANADYJSKA

6. 4. br. miała miejsce w Ottawie manifestacja z okazji 30-tej rocznicy likwidacji Kościoła Grecko-katolickiego na ziemiach R.P. wcielonych do ZSSR. Na protestacyjnej akademii było obecnych m.in. 54-ch biskupów katolickich, zebranych w Ottawie na konferencji episkopatu katolickiego w Kanadzie. ■ Canada Council ofiarował Polakom Instytutowi Naukowemu w Kanadzie rzadki egzemplarz „Pamiętników” ks. Adama Czartoryskiego, które ukazały się w dwutomowej wersji angielskiej w Londynie w 1888 roku. ■ *Bieloruski Hołas*, wychodzący w Toronto, w nr. 23-im z kwietnia br. podaje wzmiankę (wraz z fotografią) pod tytułem „Bielarusy na priniacji w Białym Domie”, że prez. Gerald Ford przyjął nowo wyznaczony administratora Departamentu Drobnej Przemysłu M. Kobielińskiego wraz z przewodniczącym Białoruskich Klubów Republikańskich W. Kipilem. Jakiej narodowości jest p. Kobieliński, którego praca Polonijna podaje jako Polaka i który do niedawna był w zarządzie Kongresu Polonii Kanadyjskiej?

KRONIKA NIEMIECKA

Polski germanista, prof. Ludwik Zabrocki, otrzymał nagrodę im. Konrada Dudena (10 tys. marek), ufundowaną przez miasto Mannheim. ■ Wirtemburski Związek Sztuki w Sztutgarcie, urządził wystawę pn. *Polska Sztuka Współczesna*. ■ Dwaj szpiedzy w służbie wywiadu PRL — Henryk Wróblewicz i Zdzisław Butkiewicz, aresztowani w Monachium (nie w obzbie koncentracyjnym w Dachau, jak podawała prasa reżymowa) na początku listopada ub. roku, zostali 5 grudnia wymienieni na dwóch obywateli zachodniemieckich, odbywających kary w reżymowych więzieniach. Do NRF powrócili: kapitan statku Johannes Wenzel i drugi Niemiec o nazwisku Kaschnig. Butkiewicz w wywiadzie udzielonym *Życiu Warszawy* — udając literata — powiedział, że jest autorem aż 6 książek „napisanych razem z A. Przypkowskim”. Po ukazaniu się wywiadu A. Przypkowski zamierzał wytoczyć proces Butkiewiczowi, którego podobno w ogóle nie zna... „Prześladowani” przez policję bawarską „dyplomaci” mieli przy sobie po dwa paszporty wystawione na różne nazwiska. ■ W wydawnictwie *Suhrkamp Verlag*, ukazała się książka Jerzego Szaniawskiego *Der weisse Rabe* (Biały kruk). ■ NRF dostarczyła Polsce 7 statków drobnicowych o wyporności 14 tys. ton każdy. ■ W NRD ukazała się antologia noweli polskiej wydana przez *Evangelische Verlag*. ■ *Mickiewicz-Blätter*, wychodzące dotąd w Heidelbergu przestały się ukazywać. Wydawca — Herman Buddensieg ukończył 83 lata. Opracował i wydał 57 numerów pisma poświęconego twórczości A. Mickiewicza. ■ *Insel-Verlag* we Frankfurcie wydał nową książkę Stanisława Lema pt. *Das Hospital der Verklärunk* (Szpital uduchowienia). ■ *Werkstattbühne* w Bonn wystawiła *Tango* Sławomira Mrożka. ■ Prof. prof. Zygmunt Knyziak (ekonomista) i Jan Szczepański (socjolog), wzięli udział w sympozjum urządzonym przez Centralę Szkolenia Politycznego (*Ostkolleg*) w Kolonii. ■ Wielkim sukcesem zakończył się koncert

młodego polskiego pianisty Janusza Olejniczaka w Düsseldorfie. Koncertowi patronował Julian Godlewski (Lugano) oraz Fundacja Thyssena. ■ Znany pisarz niemiecki Günter Grass, przebywał ponownie w rodzinnym Gdańsku. Jego *Blaszany bębenek* — już dawno wydrukowany i częściowo oprawiony, od pięciu lat znajduje się pod pieczęią cenzury. ■ XIV Międzynarodowy Konkurs Muzyczny im. Mendelssohna-Bertholdy'ego, przyniósł wielki sukces polskiemu skrzypkowi Edwardowi Zienkowskiemu, który zdobył w Berlinie I-szą nagrodę. ■ W Ministerstwie Kultury i Sztuki w Warszawie podpisano protokół wykonawczy na lata 1976/77 planu realizacji umowy o współpracy kulturalnej między PRL i NRD. Polska sprzedała do NRD w roku 1975 20 filmów. ■ Kazimierz Wejchert, architekt z Warszawy otrzymał jedną z tegorocznych nagród (20 tys. marek) Fundacji im. Gottfrieda von Herdera. ■ Nadrenia-Westfalia przyjmie 60 tysięcy Niemców, spośród 125 tysięcy, którzy w ciągu następnych 3-4 lat wyjadą z Polski. ■ *Frankfurter Rundschau*: od 1950 do końca 1975 roku — 470.792 Niemców opuściło Polskę, przenosząc się do NRF. ■ Fundacja im. Maksymiliana Kolbe, powołana do życia w NRF przez niemieckich biskupów, pomaga materialnie ofiarom nazistowskiego terroru żyjącym w Polsce. W ciągu lutego br. zebrano na ten cel 170 tysięcy marek. Prasa krajowa przemieliła fakt istnienia tej Fundacji. ■ Nakładem wydawnictwa *Spranger-Verlag*, ukazała się książka Andrzeja Szczypiorskiego pt. *Und Sie gingen an Emmaus vorbei* (I przeszli obok Emmaus), w tłumaczeniu Danki Spranger. Andrzej Szczypiorski miał wieczerz literacki w ramach programu *Dni Polskiej Kultury* w Siegburgu k/Kolonii, zorganizowanych przez zarząd miasta i Uniwersytet Ludowy. ■ W teatrze *Schauspielhaus* w Düsseldorfie, odbyła się prapremiera sztuki Jerzego Pomianowskiego *Król Benia* (według Izaaka Babla), w reżyserii Heinza Engelsa. Pomianowski jest profesorem teatrologii i literatury słowiańskiej na uniwersytecie w Bari. ■ Po śmierci ks. infułata Edwarda Lubowieckiego, na czele polskiego Duszpasterstwa w NRF stanął ks. Stefan Leciejewski. Watykan zniósł status „Kurii Biskupiej dla Polaków w Niemczech”, obniżając rangę do stopnia „Rektoratu Misji Katolickiej”. Obecnie wikariusz generalny podlega Konferencji Biskupów Niemieckich a nie wprost Stolicy Apostolskiej. ■ Roman Polański reżyseruje w Monachium operę Verdiego *Rigoletto*.

Andrzej J. CHILECKI

KRONIKA GOSPODARCZA

Praga, 12. 20. 4. br. Odbył się XV Zjazd Komunistycznej Partii Czechosłowacji. Na zjeździe nie było Breżniewa, zastępował go Kirilenko. Zjazd zatwierdził wytyczne planu 5-letniego: produkcja przemysłu maszynowego ma wzrosnąć o 50 %, w tym produkcja na eksport o 73 %, ogólnie nacisk będzie położony na rozwój grupy A kosztem grupy B (konsumpcja) — ta ostatnia wzrośnie tylko o 25 %, produkcja rolna o 14 %. Inwestycje wzrosną o 30 % i wyniosą ok. 33 % dochodu narodowego (28 % w ubiegłej pięcioletce). ■ *New Delhi*, 12. 4. br. ZSSR dokona dużej inwestycji w Indiach, mianowicie zbuduje hutę aluminium, której cała produkcja (500.000 ton rocznie) będzie początkowo w całości eksportowana do ZSSR. Nie podano terminu rozpoczęcia budowy. ■ 20. 4. br. podpisano umowę handlową między ZSSR a Indiami na lata 1976-80. Umowa przewiduje wzrost obrotów między obu krajami o 70 % w porównaniu z ub. pięcioletciem (do 1 miliarda dolarów). ■ *Londyn*, 12. 4. br. Wizyta polskiego ministra Górnictwa J. Kulpińskiego. Strona brytyjska nalega na podniesienie ceny polskiego węgla, która jest sztucznie i arbitralnie zaniżona przez rząd PRL

celem zdobycia dewiz. ■ *Tirana, 18. 4. br.* Albania zażądała 4,5 mld. dol. odszkodowania od NRF za szkody pod okupacją niemiecką w okresie 1943-45. Rząd niemiecki twierdzi, że żądania wniesione po 1953 roku są przedawnione. ■ W 1975 roku Rumunia miała 3,2 miliony turystów zagranicznych (w tym 2,6 miliona z krajów socjalistycznych), co jest o 700.000 mniej niż w roku poprzednim. Najwięcej spadła liczba turystów z Jugosławii i Czechosłowacji, natomiast z PRL było ich o 30 % więcej. ■ *Warszawa, 11. 4. br.* Przychody pieniężne ludności były w 1 kwartale bież. roku o 9 % większe niż w tym samym okresie ub. roku. (Plan przewidywał wzrost o 7,6 %). Największy wzrost wykazały dochody ze świadczeń społecznych, najmniejszy — ze skupu rolnego i gospodarki prywatnej. Wydatki na zakup towarów wzrosły o 13 % (plan 7 %), w związku z czym wzrost oszczędności jest o 15 % mniejszy. ■ *16. 4. br.* Polska nabyła od Norwegii dwa statki (zbudowane w Japonii) o nośności 64.000 t. każdy. Statki przeznaczone są do wożenia towarów masowych (ruda, węgiel, zboże). Dzięki temu nabytkowi łączna nośność floty polskiej przekroczyła 3 miliony ton. ■ *20. 4. br.* Wicepremier PRL Kazimierz Olszowski pisze w *Nowych Drogach*, że handel polsko-sowiecki był w latach 1971-75 o 25 % wyższy, niż przewidywała umowa, a o 80 % wyższy niż w ub. pięcioletce. Maszyny stanowią 61 % polskiego eksportu (54 % w ub. okresie) i 51 % polskiego importu z ZSSR (36 % w ub. okresie). ■ *27. 4. br.* Amerykańska firma RCA zbuduje w Polsce fabrykę lamp ekranowych do kolorowej telewizji. Produkcja lamp rozpocznie się w 1979 roku i wyniesie w pierwszym okresie 300.000 lamp rocznie, w późniejszym — 600.000. Wartość obiektu wynosi 80 milionów dolarów. Początkowa produkcja pójdzie w całości na zaspokojenie popytu krajowego, późniejsza również na eksport. ■ *2. 5. br.* *Trybuna Ludu* podaje, że dla zaoszczędzenia dewiz niektóre inwestycje ulegną zmniejszeniu. Nacisk zostanie położony na wykończenie 92 kluczowych obiektów, szczególnie huty Katowice. Budownictwo mieszkaniowe nie ulegnie zmniejszeniu. (Plan przewiduje wybudowanie ponad 1,5 miliona nowych mieszkań w bież. 5-leciu). ■ *Kair, 22. 4. br.* Egipt i Chiny podpisały umowę, na podstawie której Chiny dostarczą Egipcjom części zamiennych do rosyjskich MIG'ów. W ub. miesiącu Egipt wymógł pakt przyjaźni z ZSSR i znajduje się w tej samej sytuacji, w jakiej Chiny były 15 lat temu, tzn. bez obsługi i części zamiennych do maszyn dostarczonych przez Sowiety. W komunikacie wydanym w związku z umową strona chińska stwierdza, że „Sowiety potraktowały Egipt w haniebny sposób”. ■ *Brno, 26. 4. br.* Zaczęły się tu międzynarodowe targi dóbr konsumpcyjnych. W porównaniu z ub. rokiem jest mniej wystawców, z Zachodu o 33 % mniej. Czechosłowacja poświęca wiele uwagi przemysłowym towarom konsumpcyjnym — stanowią one obecnie 18 % eksportu i 16 % dochodu narodowego. ■ *Moskwa, 24. 4. br.* Wyniki gospodarki za 1-szy kwartał 1976: produkcja przemysłowa wzrosła o 5 % w porównaniu z analogicznym okresem ub. roku, ale mięsa i mleka wyprodukowano mniej. Nie wykonano zadań planu w dziedzinie szeregu dóbr konsumpcyjnych. ■ *27. 4. br.* Szereg firm amerykańskich stara się o przywrócenie do życia projektu „Gwiazda Północy”, w ramach którego zbudowano by rurociąg z zagłębia Tiumen (ZSSR) do Murmańska. Gaz byłby upłynniany w Murmańsku i eksportowany do Stanów Zjednoczonych. Projekt wymaga kredytów w wysokości 8 mld. dol. Upadł on trzy lata temu gdy Kongres Stanów Zjednoczonych zabronił Bankowi Eksport-Import finansowania go. ■ Deficyt Związku Sowieckiego w handlu z Zachodem wyniósł w 1975 roku 4,8 mld. dol. Kraje satelickie przekazały Sowiетom 1,2 mld. dol., deficyt netto wyniósł więc 3,6 mld. dol. ■ Angielskie firmy naftowe prowadzą rozmowy z przedsiębiorstwami sowieckimi w sprawie eksportu angielskiej technologii wydobywania podmorskiej ropy. ZSSR chce zastosować tę technologię na morzu Kaspijskim. ■

3. 5. br. Francuska firma Pechiney Ugine Kuhlmann (PUK) zawarła z Sowiетami kontrakt wartości 350 mln. dol. w sprawie budowy huty aluminium nad morzem Czarnym. Produkcować ona będzie 1 milion ton aluminium rocznie, z czego Francja będzie kupowała 50.000 ton. Umowę tę nazwano we Francji „kontraktem stulecia”. ■ Straty w oziminach na terenie ZSSR wywołane suszą i mrozem wynoszą ok. 25 % zasiewów. ■ *Paryż, 6. 5. br.* Szereg firm francuskich i polskich central handlowych podpisał 16 umów o współpracy. Największa z nich dotyczy budowy w Polsce kompleksu chemicznego (nawozy sztuczne, amoniak) wartości 550 mln. dol., w którym udział francuski wyniesie ok. 400 mln. dol. Strona finansowa większości umów jest w rękach Banque Nationale de Paris. Bank ten razem z polskim przedsiębiorstwem Polimex-Cekop stworzy spółkę handlową do sprzedaży na rynkach światowych produkcji, pochodzącej ze współpracy. ■ Według nieoficjalnych, lecz powtarzających się doniesień z Polski, rząd PRL nosi się z projektem dopuszczenia inwestycji z zagranicy (ale tylko pochodzenia polonijnego) do pewnych dziedzin gospodarczych w kraju. Nie wydaje się, aby projekt ten miał szanse realizacji.

B. B.

STANISŁAW KARPIŃSKI

NA SKRZYDŁACH HURAGANU

Dzieje lotnictwa polskiego w czasie ostatniej wojny — opowieść osnuta na kanwie autentycznych zdarzeń i przeżyć z lat 1939-1949. Autor, generał, pilot polskiego lotnictwa odtwarza sugestywnie klimat i dzieje tych czasów i ludzi.

Opowieść w 4-ch tomach ukaże się w ramach „Biblioteki Polskiej” Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas” — 4/8 Praed Mews, London, W.2. 1QZ. Tomy I-II (T. 81 „Biblioteki Polskiej”) zawierają będzie około 700 stron. Cena w przedpłacie za całość £.10.00 lub \$ 25,00.

Termin przedpłaty i przekazania połowy należności upływa 30 czerwca 1976 — w Europie i 31 lipca 1976 — poza Europą.

Tomy III-IV (T. 82) „Biblioteki Polskiej”) zawierać będzie około 600 stron z ilustracjami. Cena w przedpłacie za całość £.10.000 lub \$ 25,00.

Termin wpłaty reszty należności upływa 30 listopada 1976 w Europie i 31 grudnia 1976 — poza Europą.

Obydwa tomy w oprawie płóciennej i z barwną obwolutą.

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Tangier, 17 marca 1976.

Zarzut pana Dainauskasa, że mówimy „na Litwie”, a nie „w Litwie” jest niezrozumiały. Składnia języka jest wynikiem jego rozwoju niezależnie nie tylko od opinii cudzoziemców, ale nawet od woli krajowców. Prawa, które rządzą składnią są często niezbadane. Mówimy „na Łotwie”, ale „w Estonii”, choć dzieje tych krajów w stosunku do Polski przebiegały podobnie. Mówimy „na Wołoszczyźnie”, ale „w Mołdawii”, choć z dwóch gospodarstw, które stworzyły Rumunię, Mołdawia leży bliżej Polski. Wreszcie mówimy „w Galicji” lub „w Wielkopolsce”, choć idzie tu o ziemie polskie. Kiedy w roku 1940 grupa uchodźców polskich we Włoszech szykowała się do dalszej wędrowki, mówiło się wtedy, nie wiem dlaczego o „jeździe na Tangier”. Dzisiaj do głowy by mi nie przyszło użyć tego wyrażenia. Mówię „jadę do Tangieru”.

Jest zresztą uznanym prawem językowym, nie tylko jeśli idzie o składnię, ale nawet o nazwy państw i narodów, że w obcych językach istnieje pełna swoboda w tej dziedzinie. Już Cezar pisał, że Gallowie to nazwa łacińska ludu, który we własnym języku nazywa się Celtowie. Takie nazwy jak Włochy, Niemcy, Germany, Allemagne nie mają nic wspólnego z Italią lub Deutschland. Polski termin „Stany Zjednoczone” to po prostu błędne tłumaczenie, bo „United States” oznacza „Państwa Zjednoczone”. Ale angielski wyraz *state*, podobnie jak francuski *état* oznacza wiele rzeczy, między nimi „państwo” i „stan” jako grupa społeczna (*tiers état*, „wiwat wszystkie stany”). Polacy przetłumaczyli *state* na „stan”, i jakoś Amerykanie się o to nie dają.

Wreszcie jeśli idzie o Adama Mickiewicza, to gdybym był litewskim patriotą, nie rewindykowałbym go. Mickiewicz kochał przeszłość Litwy, ale był obcy narodowo kulturalnym aspiracjom Litwinów. Co więcej, on Litwę pogrzebał i wystawił jej piękny nagrobek. Niech pan Dainauskas przypomni sobie przedmowę do „Konrada Wallenroda”:

„Najświetniejsza epoka Litwy przypada na czasy Olgierda i Witolda, których władza rozciągała się od Bałtyckiego do Czarnego morza. Ale to ogromne państwo zbyt nagle wzrastając, nie zdołało wyrobić w sobie wewnętrznej siły, która by różnorodne części jego spajała i ożywiała. Narodowość litewska rozlana po zbyt obszernych ziemiach, straciła swoją właściwą barwę. Litwini ujarzmili wiele pokoleń Ruskich, i weszli w stosunki polityczne z Polską. Słowianie od dawna już chrześcijanie, stali na wyższym poziomie cywilizacyjnym; a lubo podbili lub zagrożeni od Litwy, powolnym wpływem odzyskali moralną przewagę nad silnym ale barbarzyńskim ciemniejszymi, i pochłonęli go, jak Chiny najeźdźców Tatarskich. Jagiellonowie i możniejsi ich wasale stali się Polakami; wielu książąt litewskich na Rusi, przyjęło religię, język i narodowość ruską. Tym sposobem Wielkie Księstwo Litewskie przestało być Litewskim, a właściwy naród Litewski ujrzał się w dawnych swoich granicach; jego mowa przestała być językiem dworu i możnych,

i zachowała się tylko między pospólstwem. Litwa przedstawia ciekawy widok ludu, który w ogromie swoich zdobyczy zniknął, jak strumyk po zbytecznym wylewie opada i płynie węższym niżeli pierwiej korytem... zeszyły ze sceny życia politycznego i Litwa i... Zakon krzyżowy... Litwa jest już całkiem w przeszłości... Co ma ożyć w pieśni zagać musi w rzeczywistości”.

Dla Mickiewicza Litwa historyczna już nie istnieje, naród litewski, to drobna grupa etniczna, która zeszyła z życia politycznego i może ożyć tylko w pieśni, język litewski to gwara ludowa. Nie można się dziś zgodzić z tą opinią. Ale czy dzisiejsi patrioci litewscy powinni uważać Mickiewicza za swego poetę?

Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego szacunku,

Anatol ESTRYN

Londyn, 22 kwietnia 1976.

W notatce o życiu wydawniczym w polskim Londynie (nr. 4/343 *Kultury*) ustęp, dotyczący wydawnictwa „Gryf” mógł przez niejasne sformułowanie, wywołać pewien zamęt, sugerując niezgodnie z rzeczywistością powstanie jakiegoś koncernu wydawniczego, obejmującego również *Wiadomości*.

Ponieważ zaniepokoiło to szereg osób — o czym świadczą listy do *Wiadomości* — pragnę wyjaśnić, że *Wiadomości* nie były, nie są — i mam nadzieję nigdy nie będą — związane w jakikolwiek sposób z żadnym innym piśmie, wydawnictwem czy instytucją. Nie „drukują się po stronie *Orła*” — jak enigmatycznie informuje notatka w *Kulturze*. Są klientem prywatnej drukarni „White Eagle Press”, takim samym jak inne pisma polskie, angielskie, greckie itd., które jej właściciel p. Stanisław Janicki drukuje.

Stefania KOSSOWSKA
Wiadomości

Kopenhaga, 16 kwietnia 1976.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z zainteresowaniem przeczytałem w *Kulturze* nr 4/343 „Późne refleksje po Kopenhadze” prof. Stanisława Swianiewicza. Uważam jednak, że fragment „Polacy w Rosji” wzbudzi również u innych czytelników uzasadnione zdziwienie. Idzie mianowicie o to, że organizatorzy „Przesłuchania Sacharowa” nie mogli nikogo znaleźć „kto znałby z autopsji obecną sytuację Polaków w Rosji...”.

Trudno zrozumieć, by wśród rodaków, którzy od przeszło 30 lat napływają z kraju na Zachód, w tym także Polaków, którzy repatriowali się ze Związku Sowieckiego przed 15, 10... laty, nie było godnych i chętnych wystąpienia w obronie tych skazanych na zagładę. Nie żądamy jednak, by ktoś bezpośrednio przyjechał znad Jenisieju na „przesłuchanie” takie czy inne.

Nie sądzę również, by treść memoriału opracowanego przez organizatorów odpowiadała aktualnym możliwościom emigracji polskiej, nawet gdyby ograniczyć się tylko do terenu Skandynawii.

Warto przy sposobności dodać, że organizatorzy „przesłuchania” niestety tylko w bardzo ograniczonym stopniu korzystali z zaoferowanej im pomocy Polaków miejscowych.

Z wyrazami szacunku i poważania,

Dr Eugeniusz KRUSZEWSKI

Cooma (Australia), kwiecień 1976.

Szanowny Panie Redaktorze!

W kwietniowym numerze *Kultury* (nr 4/343) ukazał się nie podpisany artykuł pt. „Życie wydawnicze w polskim Londynie”. Dowiadujemy się z niego między innymi: że „tzw. domy wydawnicze stają się drukarniami, drukującymi co klient przyniesie”; że nakłady są już minimalne, a raczej symboliczne, bo handlowo nierealne; że mimo to „życie wydawnicze toczy się nadal i to dość bujnie” dzięki faktowi, że „niejeden inwestuje swoje życiowe oszczędności w książkę, która będzie jego pomnikiem a przynajmniej pamiątką dla potomnych”. Może, dodajmy, w książkę która została uprzednio odrzucona przez wszystkich dostępnych wydawców. Krótko mówiąc: nieśmiertelność po drukarskich cenach rynkowych.

Tyle o stronie autorskiej tego smutnego zagadnienia.

O ile chodzi o niewinnego czytelnika — to aż narzucają się pewne nieprzyjemne wnioski. Przede wszystkim: że byle grafoman z dostateczną ilością uciulanych funtów szterlingów może stać się autorem — bo zanika rola kontrolno-selekcyjna wydawcy.

Nazwanie tego londyńskiego stanu rzeczy bujnie tocącym się polskim życiem wydawniczym jest chyba przesadą, i to niemałą.

Łączę najlepsze pozdrowienia,

Adam NASIELSKI

Szanowny Panie Redaktorze,

Dział „Sprawy i troski” w marcowej *Kulturze* wypełnia „Raptularz Londyński” z podpisem: „P. Emigrant”. „Sprawą” jest dla niego starość emigracyjnych polityków, „troską”: jak tym staruszkom boleśnie dopieć. Nie wystarczają mu fakty, ucieka się do fantazji. Jak to wygląda?

1) Rada Ministrów omawiała 22 grudnia i 11 stycznia historyczne listy intelektualistów i młodzieży polskiej w obronie wolności. Dyskusja ujawniła różnicę ocen i wniosków dla polityki rządu pomiędzy większością obecnych i mną, jako ministrem spraw krajowych. Minister, którego polityka nie znajduje poparcia premiera i rządu ma do wyboru: zmienić politykę, albo ustąpić. Wybrałem to drugie i złożyłem prośbę o zwolnienie mnie z urzędu nalegając na pośpiech. Uzyskałem zwolnienie od 20 stycznia. Już bez mego udziału rząd wydał apel do narodu, datowany 15 i ogłoszony 22 stycznia, z poprawką uzgodnioną między rządem i redakcją *Dziennika Polskiego*. Wszystko odbyło się spokojnie i demokratycznie. P. Emigrant zrobił z tego ni mniej ni więcej jak powtórkę historii wizyty dra Czaji. Co ma piernik do wiatraka — nie wyjaśnił. A dalej: ... „nasi staruszkowie za żadną cenę nie chcieli dopuścić, żeby ktoś ich ubiegł w akcji solidaryzowania się z krajem. W tym pośpiechu wyrzucili ministra spraw krajowych — osobę istniejącą w tym właśnie celu”... A wobec dokonanej poprawki w apelu „rodzi się zasadnicza obiekcja: od kiedy to podaje się cudzy tekst nie informując o dokonanych w nim zmianach?”. Ta pedanteria byłaby bardziej na miejscu przy sprawdzaniu faktów.

Nie było żadnego wyścigu; tempo działania mogło być większe. Nikogo nie wyrzucono. Nie było nadużycia ze strony *Dziennika*. Nie było i nie ma analogii ze sprawą Czaji. Jest nadużycie wolności słowa i brak poczucia odpowiedzialności w „Raptularzu”.

2) Zdaniem P. Emigranta, gdyby rząd brano na serio, wspomniany jego

apel „ma charakter wezwania do rewolucji”. Takiego wezwania nie ma w apelu *explicite* ani *implicite*, niezależnie od powagi rządu. Wzywa do masowej akcji protestacyjnej i potępienia zamiarów reżymu komunistycznego w Polsce. Zrobienie z tego — wezwania do rewolucji, to daleko posunięta dowolność, jak i domysł, że „rząd odpowie z rozbijającym usmiechem, że nikt go w ten sposób nie bierze, nawet on sam. Typowa rozmowa z wariatem, pijakiem, dziada z obrazem”. Ależ mamy tu tylko rozmowę P. Emigranta z sobą samym! Apelu nie chwale, urojonych i obelżywych jego ocen — także.

3) Młodym dostało się za to, że do prezydium doskonale przez nich zorganizowanego wiecu zaprosili „starych emigrantów”, pp. Ciołkosza i Garlińskiego. Motywem reprimendy jest: zepsuło to obraz trwałej współpracy studentów z nowymi emigrantami. Boli więc P. Emigranta, że nie udało się pokazać fikcji, która obych kiedyś stała się ciałem. Droga do tego nie prowadzi przez ostracyzm wobec „staruszków”, zwłaszcza takich jak ci dwaj.

4) Instytut Badania Zagadnień Krajowych jest rzeczywiście od roku prawie bezczynny. Przyczyną będą omówione na najbliższym jego walnym zebraniu. To nie uprawnia do twierdzenia, jakoby „Instytut praktycznie przestał istnieć”, do lania łez nad faktem, że „ktoś do dzisiaj występuje jako jego prezes”, a już najmniej do złośliwych bajeczek. Jakież pokrycie ma frazes w „Raptularzu”, że Instytut przed 25 laty „wypełniony został po brzegi ludźmi niekoniecznie zainteresowanymi badaniami naukowymi, ale za to legitymującymi się nienaganną postawą emigracyjną”? Albo, że na walne zebrania „Przychodził tłum *outsider*ów, pilnujących linii i klucza partyjnego”? Kto przytomny wyobrazi sobie w Londynie podobne sytuacje: partie realizujące swe ambicje w IBZK i zdolne delegować tłumy swych adherentów czy agentów na jego zebrania? Nawet majaczenia mogłyby być bardziej prawdopodobne.

5) Obok insynuacji jest propozycja nie nowa ale słuszna, by Instytut odmłodzić. Powtarzanie truizmów może być pożyteczne, jeśli towarzyszy im jakiś wysiłek myśli twórczej. Powiedzieć, jak radzi P. Emigrant, „że ślepiemy, głuchniemy, paraliż nas unieruchamia i prosimy młodszych, by się tym zajęli”, to niewiele. Wątpię, czy zdolni i chętni do zastąpienia nas młodzi potrzebowaliby czekać na takie zaproszenie. Od lat omawiamy ten temat z młodymi w atmosferze dobrej woli i zrozumienia. Znaleźnieniu takich, którzy by mogli i chcieli sporą część czasu tym sprawom poświęcić jest obiektywnie trudne. Myślę jednak, że idziemy w dobrym kierunku, i że nie wolno iść na łatwiznę, jaką byłoby zastosowanie się do rady P. Emigranta.

6) P. Emigrantowi wiele się podoba „ostatni rozdział” wydanej pod koniec 1975 roku przez Koło Oficerów Dyplomowanych na Obczyźnie broszury „Polska racja stanu na tle rzeczywistości politycznej — teraz i w przyszłości”. Wnioski są jego zdaniem „uderzające w swej prostocie, a jednocześnie — uwzględniając że pochodzą ze środowiska, które jest tradycyjnie podporą wszelkich *Establishment*ów — miazdzące”. W szczególności ten, „że kierownictwo emigracyjne powinno zająć się sporządzeniem swego testamentu politycznego i przekazać następnemu pokoleniu nowe formy organizacyjne, oparte o wymogi realizmu politycznego. Nie ująć, nie dodać” — zachwyca się P. Emigrant.

Autor nie dojrzał pewnych osobliwości owej broszury. Największą chyba jest uporczywe prezentowanie końcowych wniosków jako „wniosków” z 6 prelekcji wygłoszonych na zaproszenie Koła „w formie syntezy i wynikającej z niej *resumé*. Wynikałoby stąd, że prelegenci są współtwórcami odpowiedzialnymi za treść „Ostatniego rozdziału”. Prelegentów tak dobrano, że trzej (Edward Raczynski, Bohdan Podoski, Józef Poniatowski) stoją na gruncie legalizmu, trzej pozostali (Antoni Dargas, Stanisław Wąsik, Rowmund Pił-

sudski) go nie uznają. Między stronami nie mogło jednak być dyskusji, gdyż każdy prelegent miał inny temat i np. mój: „Dzisiejsza rzeczywistość polityczna w Polsce” wcale nie dotyczył organizacji uchodźców*. Jakaż mogła być tego synteza? Toteż rzekome *resumé* nawet nie wspomina o referatach i zupełnie pomija argumenty referatu marsz. Podoskiego na rzecz zachowania legalizmu. Referaty były potrzebne tylko dla stworzenia pozoru szukania obiektywnego tła dla wniosków, nie będących wnioskami ale tezami redakcji. Swoje tezy redaktorzy poddali dyskusji wśród członków Koła i rozesłali słuchaczom prelekcji, ale uznali za zbędne zapoznanie z nimi prelegentów. W rozmowie ze mną Redaktor wspominał o jakiejś „konkluzji”. Wobec mego zdumienia i prośby o zaniechanie tego pomysłu obiecał mi przesłać ów tekst w ciągu najwyżej tygodnia i zapewniał, że nikogo nie atakuje. Otrzymałem po 6 tygodniach — gotową broszurę. Żeby było zabawniej, Zarząd Koła deklaruje: „Koło nasze, zgodnie z tradycją i statutem, nie może wchodzić w rozgrywki polityczne i w związku z tym nie może popierać jakiegokolwiek z istniejących ośrodków politycznych”. Zwalczanie ośrodka legalistycznego, i to przy pełnym pominięciu argumentów przeciwnych, widocznie rozgrywką polityczną nie jest?

Łączę wyrazy poważania,

Józef PONIATOWSKI

* Stał się za to ofiarą rekordowego wyczynu korekty: druga połowa rozdziału 2-go („Ośrodki decyzji”), 56 wierszy, znalazła się po środku rozdziału 1-szego („Miejsce w światowym układzie sił”), co skutecznie zniekształca całość.

ODPOWIEDZ P. EMIGRANTA:

List długi, tzw. wyjaśnień mało. Przyjęcie przez rząd kursu odmiennego od kursu stosowanego przez ministra jest formą pozbycia się ministra; nie było mowy o niedemokratyczności tej metody. Tekst apelu w *Dzienniku Polskim* był inny, mianowicie krótszy, niż np. w *Ostatnich Wiadomościach*; o tym, jak kto przyjmie apel, zależy m.in. od wieku odbiorcy, można się zgodzić, że w grupie wieku, do której należy p. Józef Poniatowski nie potraktowano apelu jako wezwania do rewolucji. Jeśli p. Józef Poniatowski jest poinformowany w sprawach IBZK to mógłby podać, kiedy było ostatnie walne zebranie, jak długo prezes piastuje swoją funkcję, co i kiedy ów prezes zdziałał w Instytucie. Istotną sprawą „Polskiej Racji Stanu” jest fakt wystąpienia zawodowych oficerów przeciwko fikcji państwa na emigracji. Poglądy prelegentów zaproszonych przez tychże oficerów do wygłoszenia pogadank, nie grają tu roli.

P. EMIGRANT

Londyn, 15 kwietnia 1976.

Drogi Panie Redaktorze!

Dopiero po przyjeździe w połowie kwietnia do Londynu miałem możliwość zapoznania się z marcową *Kulturą* (Nr 3/342), gdzie w kilku listach dyskutowane było zagadnienie „narodowości” tych lub innych osób. Przy tej okazji stwierdziłem, że z panem Józefem Lewandowskim dzieli mnie nie tylko różnica pokoleń.

W zasadzie podzielałając jego troskę „by pomyłki nie zadomowiły się w nauce”, sędzę że niechętnie podjęte przez niego „nudne i belferskie” zadanie prostowania moich pomyłek było w pewnym co najmniej stopniu chy-

bione. Do zauważonej przez kilka innych osób omyłki w sprawie K. Skirmunta sam się przyznałem i ją sprostowałem w dość dawno napisanym ale dopiero w majowej *Kulturze* wydrukowanym „Białoruskim pokłosiu”, natomiast wydaje mi się, że zarzucanie mi innych pomyłek opiera się raczej na nieporozumieniu.

Niezanego bodaj p. Lewandowskiemu „regionalnego” czy białoruskiego powiedzenia „kurom na śmiech” użyłem nie przy wypowiedzianiu własnych poglądów na „narodowość” Bersona czy Frunzego, lecz w raczej ironicznej polemice z pismami białoruskimi. Cytatą z nich było określenie jako „Żyda-Polaka” Bersona, do którego p. Lewandowski wydaje się żywić wiele sympatii podnosząc, moim zdaniem, zbyt jednostronnie jego rzekome zasługi dla Wilna i Wileńszczyzny, w roku oczywiście 1919, a nie w 1939. Że Berson wówczas „nie dopuścił 'Czeki’ do działania na tym terenie” prawdzie nie odpowiada, natomiast prawdą jest, że wileńska Czerwiczajka była w pewnym stopniu krępowana i ograniczana przez rząd sowieckiego *Libietu*, którego premier, Mickiewicz-Kapsukas, następnie kajał się za to publicznie w sowieckiej prasie. Rzekome zasługi Bersona zostały zresztą tragicznie pokwitowane przez zastrzelenie go przez oficera zwycięskich wówczas wojsk polskich, czego bynajmniej nie pochwalam.

Jeśli chodzi o Frunzego, to nazwałem go „Kirgizem” ponieważ w Kirgizji się urodził, czemu żadna fotografia nie może zaprzeczyć, ani potwierdzić. Nie mam wątpliwości, że „poczuwał się do rosyjskości”, natomiast nie miałem dotąd okazji stwierdzenia, że „pochodzenia był polskiego, przynajmniej po ojcu”. Biegłe po polsku mówiła matka Stołypina, a także żona Lenina Krupska, i Krylenko; „władali językiem polskim” Stołypin, Lenin i wielu innych wybitnych Rosjan, z czego jednak, moim zdaniem, nie wynika by wszystkich ich można było zaliczyć do „narodowości polskiej”.

Dzieje Polski i Polaków są istotnie wielce powikłane i często tragiczne. Weźmy dla przykładu losy obecnych banitów z „ludowej” Polski! nie mam wątpliwości, że więcej jest w nich tragedii osobistych, niż powodów do śmiechu czy drwin.

Pozdrowienia,

Wiktor SUKIENNICKI

Londyn, 7 maja 1976.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z umieszczonym w *Kulturze* Nr 4/343 kwiecień 1976 odpisu listu kmr. inż. Piotra Bukraby z 5 marca 1975 skierowanego do Zarządu Głównego Stowarzyszenia Marynarki Wojennej — prosimy o łaskawe zamieszczenie niniejszego oświadczenia.

List kmr. Bukraby do Zarządu Stowarzyszenia został przekazany redakcji periodyku *Nasze Sygnały* i tam zaginął.

Fakt ten został ogłoszony w numerze 134 *Naszych Sygnałów* lipiec-grudzień 1975 w następującej notatce:

„Komandor inż. P. Bukraba przesłał do Zarządu list z protestem przeciwko a) działalności Komisji Historycznej; b) postępowaniu zarządu; c) zorganizowaniu Zjazdu Światowego Marynarki Wojennej. Na skutek swojej niezgody z powyższymi punktami kmr. Bukraba zgłosił swoją rezygnację z członkostwa S.M.W. i poprosił o ogłoszenie jego listu w całości w *Naszych Sygnałach*. List niestety zawieruszyl się gdzieś i gdy go tylko odnajdziemy ogłosimy go w następnym numerze *Naszych Sygnałów*”.

Kmr. Bukraba ogłaszając w *Kulturze* swoje wystąpienie z naszego Stowarzyszenia pragnął nadać temu faktowi jakieś wyjątkowe znaczenie, bądź

też zdyskredytować w szerokiej opinii działalność organizacji, której przez wiele lat był członkiem.

Nie wydaje nam się aby wystąpienie z naszego Stowarzyszenia jednego członka nawet kmdr. Bukraby było czymś tak ważnym aby publikować je w *Kulturze*. Natomiast zarzuty „zaniedbania przez Stowarzyszenie tak doniosłych problemów jak:

- a) odtworzenie dziejów Marynarki Wojennej okresu międzywojennego;
- b) stosunek Stowarzyszenia do budowy Ośrodka Społeczno Kulturalnego w Londynie”

wymagają beznamietnej obiektywnej odpowiedzi.

Ad a) Kmdr. Bukraba pisze: „Zapomniano całkowicie o moralnym obowiązku Stowarzyszenia odtworzenia dziejów Marynarki Wojennej okresu międzywojennego”.

Art. 5 Statutu naszego Stowarzyszenia określa jego cele w sposób następujący: „Celem Stowarzyszenia jest wzajemna pomoc, współpraca i opieka, oraz utrzymanie więzi ideowej i tradycji Marynarki Wojennej”.

Stowarzyszenie nasze które zostało zawiązane trzydzieści lat temu powstało nie jako Komisja Historyczna Marynarki Wojennej, ale jako organizacja koleżeńsko-samopomocowa (Pierwsza nazwa „Samopomoc Marynarki Wojennej”).

Tym niemniej celem utrzymania tradycji Marynarki Wojennej Stowarzyszeniu, czy poszczególnym jego zarządom leżało na sercu upamiętnienie nie tylko okresu międzywojennego ale i wojennego naszej marynarki.

Na szczęście przeszło 300 osób, które na tym zjeździe zasiadły do wspólnej mu „Od pierwszej do ostatniej salwy”. Dzięki wydatnej pomocy finansowej naszego Stowarzyszenia w tomie I wydawnictwa „Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej” ukazała się jako część 5 tego tomu osobna książka pt. „Marynarka Wojenna i obrona wybrzeża w 1939 roku”. Książka ta, licząca przeszło 200 stron napisana przez jednego z członków Stowarzyszenia jest poświęcona okresowi międzywojennemu począwszy od dekretu Naczelnika Państwa z 28 listopada 1918 o utworzeniu Marynarki aż do przygotowań mobilizacyjnych w sierpniu 1939 oraz wrześnieowym walkom na wybrzeżu. O wartości tego opracowania świadczą słowa admirała Unruka który na egzemplarzu autorskim napisał:

„Drogiemu Panu Komandorowi autorowi tej doskonałej historii dziejów naszej floty tą drogą wyrażam serdeczne podziękowanie w imieniu wszystkich kolegów z marynarki wojennej i moim własnym” — J. Unrug”.

(Być może adm. Unrug zbyt pochopnie napisał „wszystkich”).

Książka ta ukazała się w roku 1962.

W roku 1968 z okazji 50-lecia utworzenia Marynarki Wojennej, Stowarzyszenie nasze wydało książkę „Marynarka Wojenna, dokumenty i opracowania”. W książce tej znajdują się dokumenty i relacje tak okresu międzywojennego jak i wojennego.

Jeśli chodzi o ten drugi to we wspomnianym już dziele „Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej” tom II poświęcony jest opisowi działań naszych sił zbrojnych na obczyźnie. Redaktorem tego tomu jest jeden z członków naszego stowarzyszenia a w ramach tego tomu dział „Marynarka Wojenna” przedstawia działania naszych okrętów i instytucji lądowych Marynarki Wojennej.

I znowuż stowarzyszenie nasze przez pomoc finansową wydatnie przyczyniło się do wydania dwóch części tego tomu. Ponadto komisje historyczne różnych zarządów uporządkowały archiwum fotograficzne i filmowe Marynarki, a obecnie przystąpiono do uporządkowania archiwum pisanego.

Tyle na zarzut o „pełnym zapomnieniu o moralnym obowiązku”.

Ad b) Jeśli chodzi o stosunek Stowarzyszenia do budowy tzw. POSK'u — to tylko możemy przypomnieć Komandorowi Bukraby, że tak kolejne zarządy Stowarzyszenia, jak i Walne Zjazdy na których poruszano tę sprawę stały i stoją na stanowisku że dopóki stowarzyszenie istnieje dopóty nie można się wyzywać majątku, który jest materialną podstawą naszej statutowej działalności. Na razie znakomita większość członków stowarzyszenia nie chce go rozwiązywać. Poszczególnemu członkowi wolno mieć inne zdanie, ale na szczęście w naszym stowarzyszeniu nie ma *liberum veto*.

Wreszcie pretensja Komandora Bukraby że jego opracowanie „Działy techniczne Polskiej Marynarki Wojennej i ich udział w jej rozbudowie w latach 1918-1939” Komisja Historyczna Stowarzyszenia w 1971 roku „wręcz uniemożliwiła jego wydanie przez Stowarzyszenie, posługując się przy tym wprost lub za pośrednictwem ówczesnego prezesa Zarządu Głównego wykrętnymi uzasadnieniami” — jest niesłuszna. Ówczesny prezes zarządu głównego proponował kmdr. Bukraby pracę jego wydrukować częściami (które później można było scalić i oprawić) w *Naszych Sygnatach*.

Tę propozycję kmdr. Bukraba odrzucił a odnośnie korespondencji którą kmdr. Bukraba nazywa „wykrętną” można nazwać raczej „cierpliwą”.

W formułowaniu oskarżeń lepiej unikać przymiotników a trzymać się faktów.

Silenie się na sarkazm co do krawatów i odznak stowarzyszenia oraz Światowego Zjazdu najlepiej świadczy o pojmowaniu przez autora więzi koleżeńskiej i naszej wspólnoty.

Na szczęście przeszło 300 osób, które na tym zjeździe zasiadło do wspólnej wieczery było innego zdania. Żałowaliśmy że nie było między nami Kmdr. Bukraby — tak jak teraz żałujemy że po długiej wspólnej służbie w Marynarce Wojennej oraz doli i niedoli emigracyjnej rozstajemy się tym listem. Życzymy mu jak najlepiej.

Łączymy Panu Redaktorowi wyrazy szacunku,

Za Zarząd Główny
Stowarzyszenia Marynarki Wojennej
B. JABŁOŃSKI B. WRÓŃSKI
Sekretarz Prezes

Monachium, 21 kwietnia 1976.

Szanowny Panie Redaktorze,

Ze zdumieniem przeczytałem w numerze *Kultury* za kwiecień br., w rubryce pt.: „Najważniejsze wydarzenia 1975 roku”, następującą notatkę:

„Czerwiec: Spotkanie w kosmosie statków Sojuz i Apollo. Związek Sowiecki uzyskuje rewanż za klęskę w wyścigu do Księżyca”.

Związek Sowiecki nawet w przybliżeniu nie ocenił swego udziału w tym spotkaniu tak wysoko jak uczyniła to *Kultura*, mimo, że — jak wiemy — przesadną skromnością nie grzeszy. Powody są oczywiste ale — jak się okazuje — nie dla każdego. Przypomnijmy więc sobie krótko jak to naprawdę było.

Do krążącego na orbicie okołoziemskiej Sojuza doleciał Apollo i przeprowadził zarówno manewr spotkania jak i mechanicznego połączenia obu statków. Przez łączący je tunel wewnętrzny odbyła się następnie kolejno wymiana członków obu załóg. Po okresie wspólnego lotu Apollo odłączył się od Sojuza. To wszystko.

W tym standartowym locie orbitalnym sowiecki Sojuz został zreduko-

wany do pasywnego obiektu docelowego, ponieważ pod względem technicznym jest w stosunku do amerykańskiego Apolla statkiem wręcz prymitywnym.

Warto też przypomnieć, że manewr spotkania i łączenia dwóch statków załogowych z wymianą członków załóg przez tunel przeprowadzili jako pierwsi Amerykanie w marcu 1969 roku (Apollo-Lunar Moduł) w ramach przygotowań do wypraw księżycowych. Manewr ten stanowił kluczowy element wypraw na Księżyc i był przeprowadzany przez Amerykanów w orbicie dookoła księżycowej podczas każdej wyprawy. Skąd więc ten „rewanż”? Obawiam się, że Redakcja *Kultury* dała się po prostu nabrać na wypowiedź jakiegoś dziennikarza francuskiego, który w ocenie osiągnięć amerykańskich i sowieckich w kosmosie ignoruje oczywiste fakty.

O rewanżu Związku Sowieckiego za klęskę w wysięgu do Księżycza można byłoby mówić dopiero wtedy, gdyby kosmonauci sowieccy wylądowali na Marsie jako pierwsi. Na razie jednak „Przodujący Kraj” byłby niewymownie szczęśliwy gdyby mógł „tylko” dogonić Amerykę i wysłać swych kosmonautów na Księżyc. Ale i to pozostanie dla Związku Sowieckiego jeszcze przez długi okres czasu wyłącznie w sferze marzeń. Wie o tym każdy, kto interesuje się lotami kosmicznymi.

Łączę wyrazy szacunku,

Stefan WYSOCKI

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 258 — ALEKSANDER SOŁŻENICYN

ARCHIPELAG GUŁag

Tom II (Część III i IV)

PRZEKŁAD MICHAŁA KANIOWSKIEGO

Str. 608.

Cena F. 65 (z przesyłką F. 72,50)

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Londyński korespondent „Kultury”: Bohdan BRODZIŃSKI,
87, Park Hill, London, S.W.4. 9NX. — Telefon: 622 17 14.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 - Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal: 2^e Trimestre 1976.

Commission Paritaire N° 21 267.

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-rocznia	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
ARGENTYNA: Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
AUSTRALIA: Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$A 2,25	\$A 12,00	\$A 22,50
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tél. 52-40-762	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20 Tel. 218-69-23	F.B. 110,00	F.B. 650,00	F.B. 1200,00
BRAZYLIA: prosimy o przesyłanie czeków do adm. „Kultury”	\$ US 3,00	\$ US 15,00	\$ US 28,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 11,00	F. 60,00	F. 110,00
HOLANDIA: Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, Tel.: (01184) 14073, Postgiro 1379176	Fl. h. 8,00	Fl. h. 45,00	Fl. h. 80,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal, Que, H4A 1Z1 Tel 486-2839; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiastowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 3,00	\$ Can. 15,00	\$ Can. 28,00
NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 —	DM. 7,00	DM. 40,00	DM. 75,00
NORWEGIA: Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss —	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 9,50	F.S. 50,00	F.S. 85,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Källskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 11,00	K.S. 65,00	K.S. 120,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetyński, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868; Ada Dziewanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172- T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 8714847; Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715, tel. 886-2128. M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; Polish Book Store, 7970 Summerdale Ave. Philadelphia, Pa, 19111; The Polish Book Importing Co, 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sae-Babczynski, 10472 Barnwall Street, Bellflower Cal. 90706. Tél. 920-2017; Jan Wojcik 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211.	\$ US 3,00	\$ US 15,00	\$ US 28,00
W. BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210.	£ 1,20	£ 7,00	£ 13,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27., Tel. 75-67-241	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00

lub równowartość

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 120, półroczna — F. 65.
Przesyłka pojedynczego numeru: F. 1,80.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le-Mesnil-le Roi,
par 78600-MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

TOM 262 — LESZEK KOŁAKOWSKI

GŁÓWNE NURTY MARKSIZMU

Powstanie — Rozwój — Rozkład

Tom I

Książka jest krytycznym przeglądem dziejów doktryny marksistowskiej z uwzględnieniem jej filozoficznych i politycznych źródeł. Tom I obejmuje powstanie i ewolucję doktryny za życia jej twórców oraz zawiera krytyczne komentarze autora, odnoszące się do jej kluczowych składników.

Tom II ukaże się niebawem i poświęcony jest odmianom marksizmu, powstałym w Europie w epoce II Międzynarodówki.

Tom III, który autor spodziewa się rychło ukończyć obejmuje rozwój i rozpad marksistowskiego dziedzictwa w ciągu dziesięcioleci jakie upłynęły od Rewolucji Rosyjskiej i końca II-ej Wojny Światowej.

Str. 432.

Cena F. 75,00.



TOM 263 — TOMASZ STALIŃSKI

LUDZIE W AKWARIUM

Nowa powieść autora wydanych już przez Instytut Literacki powieści „Widziane z góry”, „Cienie w pieczarze”, „Romans zimowy” i „Śledztwo”.

Powieść, rozgrywająca się we współczesnej Warszawie, daje przekrój rozmaitych środowisk społeczno-politycznych poruszając również problemy emigracyjne w sposób kontrowersyjny lecz nowy i interesujący.

Str. 148.

Cena F. 25,00.



TOM 264 — WITOLD SUŁKOWSKI

SZKOŁA ZDOBYWCÓW

Tomik prozy poetyckiej młodego pisarza krajowego. Trzy próby wydania go w kraju skończyły się niepowodzeniem. Jedna z najciekawszych pozycji poetów „nowej fali” w Polsce. Sułkowski, urodzony w roku 1943, z wykształcenia filolog, debiutował w *Więzi* i publikował swoje utwory w *Literaturze*, *Poezji* i *Nowym Wyrazie*. Był więziony pół roku w związku ze sprawą tzw. grupy „Ruch”. Pracuje obecnie jako urzędnik w Łódzkim Domu Kultury. Przedmowę do *Szkoły zdobywców* napisał krytyk krajowy, ukrywający się pod pseudonimem Marek Gruda.

Str. 64.

Cena F. 15,00.